Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 15,80 zł w tym 8% VAT • NR 44–45 (1832–1833) • 31 października–13 listopada 2025

NIE

Podwójny numer!



WESOŁYCH ŚWIĄT

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 1d3e1214be

Podwójny numer – cmentarny i marszowy. A w nim:

3: **Dlaczego nie grozi nam III wojna światowa** – na Ukrainie walczą o Ukrainę
4–5: **Lista białoruska** – pora na posła mniejszości; **Ego z Excela** – Mateusz Morawiecki gwiazdą filmową
6: **Awans pod but** – czy wszyscy będziemy szczęśliwsi, bo PO to teraz KO?; **Wykluczeni do wora, wór do jeziora** – gdzie rząd ma socjal
7: **Jak zostałem latającym Żydem** – moralne koszty apropriacji kulinarnej
8: **Polska zbrojna** – zamiast broń kupować, zacznijmy ją sprzedawać, będziemy bezpieczni i bogaci; **Polityka gwałtu** – prawactwo wygra, ale ducha nie gaśmy
9: **Psychoza czy dwubiegunówka?** – o pojebach w polskiej polityce
10: **Obłęd i totalna wojna bliźniaków** – dwa lata tańca świętego Wita; **Zezwierzęcenie Kaczyńskiego** – prezes zdradził koty z konfederatami
11: **Polsat kłamie, bezrobocie puka do drzwi** – ludzie uwięzieni w Exelu
12: **Skąd się bierze szmal** – pierwsza część cyku o wstydliwych tajemnicach banksterki
13: **Bida z nędzą** – uczciwy raport z „20. gospodarki świata"
14: **Język jako źródło cierpień** – a może by tak przestać gadać?
15: **Wieczne odpoczywanie?** – okolicznościowy reportaż z polskich cmentarzy
16–17: **Złoto po sam kuper** – duma narodowa nie ma ceny, ale kosztuje; **Kto daje ten odbiera** – ordery jak bumerangi; **Śmiercio-żercy** – nie umierajcie, nie tuczcie kleru
18: **Lifestyle na konserwę** – nowoczesna mizoginia; **Chcemy cycków i fiutów!** – reportaż uczestniczący z życia transkobiety
19: **Tęczowo-brunatni** – patrioci kochający inaczej
20: **Co wolno idiotom?** – niebezpieczeństwo posiadania rodziców; **Powtórki nie będzie** – między niewolnictwem dyspozycyjności i nieróbstwem zamożności.
21: **Wykształcenie wyższe bez podstawowego** – rozpacz akademii; **Jak wydymać dziadka i wnuczka** – o co chodzi z najmem senioralnym?
22: **Łódzkie tronowanie** – jedna pani drugiej pani, a obie z KO; **I love Łódź** – lepsi goście Igrzysk Wolności; **Łowczyni powraca** – polska Mata Hari, gnębiona przez PiS
23: **Dni Merza są policzone** – zaskakujące nowiny o przyszłości Niemiec
24: **Petro nie klęka** – prezydent Kolumbii nadzieją lewicy
25: **Gwiazda Zohrana** – lewak-muzułmanin merem Nowego Jorku? **Siostrzeństwo dla wybranych** – snobizm feminizmu
26: **Rewolucja inżynierów; Egzekucja po chińsku; Jak ludowe są Chiny** – trzy spojrzenia na Państwo Środka
28: **Papieskie reparacje** – specjalne miejsce Polski na mapie księżej pedofilii; **Gulbinovičiaus** – co Litwa ma zrobić z niesławnym polskim kardynałem?
29: **Młyny boże** – w sutannie do sądu
30: **Nierozerwalne współżycie społeczne** – ślubowanie niewierności nie działa
31: **Po lewej stronie sportu** – szmaje na korcie i boisku

A poza tym, jak zwykle: **Blog wszystkich świętych, Wojna Domowa, Prasa śniadaniowa, Móżdżek tygodnia, Życie w dobrobycie, Wieści gminne, Z czarnej dupy się wyrwało, Wieści z kruchty, Słówka Półgłówka, Dialogi Dam, komiks Dąbrowskiego (aż dwa razy).**

Następny, pojedynczy numer „NIE" ukaże się 14 listopada.

WOJNA DOMOWA

Prokuratura wystąpiła do sejmu o uchylenie ziobrowego immunitetu, a także o zgodę na wsadzenie go tymczasowo do paki. Ma dla Ziobry 26 zarzutów w związku z Funduszem Sprawiedliwości, a najlepszy jest ten o „założeniu i kierowaniu zorganizowaną grupą przestępczą" w postaci kierownictwa ministerstwa sprawiedliwości. Normalnie byśmy uznali, że jest to jednak pewne przegięcie: niewątpliwe nadużycia resortu Ziobry miały charakter polityczny, a nie gangsterski i sądzenie konstytucyjnego ministra za jego ministrowanie z paragrafu o przestępczości zorganizowanej jest niepoważnym i manipulatorskim podejściem do prawa. Ale przypomnijcie nam: kto skarżył Wojciecha Jaruzelskiego z paragrafu o „kierowanie związkiem przestępczym o charakterze zbrojnym"? W sumie mamy zatem jedno zastrzeżenie: dzielenie paragrafu z Generałem to zaszczyt, na który Ziobro nie zasługuje.

1 grudnia 2023 r., na 12 dni przed tym drugim 13 grudnia – czyli za czasów tymczasowego rządu Morawieckiego – Krajowy Ośrodek Wsparcia Rolnictwa (d. Agencja Nieruchomości Rolnych) pogonił 160 hektarów pola uprawiającemu je od dawna dzierżawcy za niewygórowaną cenę 22,8 mln zł. Kłopot polega wszakże na tym, że przez to akurat pole ma przebiegać szybka kolej do CPK i dodatkowo miało tam powstać centrum usługowo-magazynowe, co sprawia, że rychło działka ta może być warta baniek 400. Jak donosi Wirtualna Polska, ówczesny chwilowy pisowski minister rolnictwa Robert Telus podjął decyzję o sprzedaży działki po osobistej wizycie u nabywcy. Tak naprawdę w całej tej historii nurtuje nas jedno pytanie: jakim trzeba być idiotą, żeby myśleć, że to się nie wyda? Choć może jest to pytanie postawione niewłaściwie. 380 baniek warte jest kompromitacji. Kto nie ryzykuje, nie pije szampana.

Poseł Konfederacji, wiceprezes Nowej Nadziei Konrad Berkowicz został przyłapany w krakowskiej IKEI, po tym, jak w kasie samoobsługowej zapłacił za mniej rzeczy, niż wyniósł. Uprzejmie zapłacił ochroniarzom mandat – 500 zł – nie zasłaniał się immunitetem i przeprosił, mówiąc, że nie zauważył, że wynosi nie płacąc, bo miał słuchawki: „Kasowałem wszystko, ale okazało się, że nie wszystko się nabiło. Zwykła nieuwaga. Patelnia i talerze". Dziennikarz Radia Zet, który z radością poinformował o sprawie, doniósł, że Berkowicz skręcił towaru na 390 zł. W sprawie głos zabrał Prezes Rady Ministrów Rzeczypospolitej Polskiej: „Jeden z liderów Konfederacji Berkowicz przyłapany na próbie kradzieży w Ikei. Mało w porównaniu z PiS, ale od czegoś trzeba przecież zacząć". Poseł Berkowicz odpowiedział: „Jesteś, cyniku zakłamany, ostatnią osobą, która może kogokolwiek oskarżać o »złodziejstwo«". Jak to dobrze, że mamy dojrzałą klasę polityczną, która nie zajmuje się bzdetami, tylko pracuje dla Polski.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Październik 2013 r.

Świętego Dymitra

Redaktor Sakiewicz prowadzi wycieczkę swych wyznawców do Lwowa, Kamienia Podolskiego i Żółkwi. „Jedziemy, aby przywieźć trochę Polski do miast, w których bije jej serce" – pisze. Zawał pewny.

Także świętego Dymitra

Sharon Stone, przymilając się w sejmie, ogłosiła, że kocha Polskę. To samo klepią przez mikrofony wszystkie przyjezdne gwiazdy filmowe, muzyki i sportu. Gdybym był Polską, którą Sakiewicz wywiózł na kresy, nadałbym miłości Sharon wymiar płciowy. Pieprzyć Polskę, bo od miłosnych deklaracji gwiazd ludność dostaje mdłości.

Wciąż świętego Dymitra

Rząd próbuje III Rzeczpospolitą zmienić w Rzeszę o tym samym numerze i pedofilów, gwałcicieli, zabójców, którzy odsiedzieli swoje, ale są zdaniem władz niebezpieczni, zamykać w domu wariatów. Chodzi o ochronę ludności. W przedszkolach i szkołach roi się od przyszłych pedofilów, gwałcicieli i morderców. Prewencja powinna więc objąć całą populację.

Świętej Enelivy

Dziennikarz „Gazety Wyborczej" obliczył i ogłosił, że na kawę w jego redakcji wydaje 1800 zł rocznie. Niech się przeniesie do „NIE", gdzie kawa jest bezpłatna, bywać ani pracować nie trzeba, wolno pić, palić i bluzgać, urządzać prywatki i orgie. Koszt własny takiej posady jest nikły: nie przyjmują w porządnych domach.

Świętej Simony-Żydówki

Dwaj lekarze wyleczyli Daniszewską. Jest teraz ciężko chora ze złości na wielu lekarzy, którzy wcześniej tego nie potrafili. A przecież to był na pewno cud sprawiony przez polskiego martwego papieża.

Świętego Narcyza

Film „Życie Adeli" (Złota Palma w Cannes) o pięknie lesbijstwa i garbach każdej miłości oglądaliśmy z Daniszewską w dwóch ratach, gdyż trwa trzy godziny. Połowę w kinie jednego wieczoru i nazajutrz drugą. Powrót był błędem. W każdym razie po spotkaniu Emmy w kawiarni z porzuconą Adelą należy wyjść z kina. Reszta filmu przedstawia męki reżysera błądzącego tędy i owędy, bo szukającego, jak tę piękną opowieść wreszcie zakończyć. Nudne sceny Adeli z bachorami nie skuszą pedofilów.

Świętej Banwueli

Macierewicz powinien znaleźć i przedstawić człowieka, który, jak on twierdzi, na cztery dni przed śmiercią polskiej wycieczki lotniczej do Katynia latał na lotni nad rosyjskim lotniskiem wojskowym koło Smoleńska i fotografował ten obiekt militarny. A także okalające go zarośla, żeby mieć na zdjęciach brak brzozy, o którą zdaniem komisji państwowej Jerzego Millera uderzył skrzydłem samolot spadający cztery dni później.

Mamy w redakcyjnym zasobie zdjęcie Kaczyńskiego, na którym go nie ma.

Świętej Paczelli

Prasa spekulowała, że Leszek Miller odbywa z Tuskiem czułe spotkania polityczne. Wiadomości o częstych ich nasiadówkach i dyskusjach programowych potwierdził mi ważny polityk SLD. Źródłem pogłosek może być sam Miller, bo służą one umacnianiu jego pozycji w partii i sejmie. Oraz wspomagają przedsięwzięcia pozapolityczne Millera. Wiadomości ze źródła, którym jest Miller, mogą być miarodajne, ale na ogół nie są. Pogłoski, że źródłem ich jest Miller, niekoniecznie więc są prawdziwe. Jeśli zaś rozpuszcza je Miller, mogą być przykrywką np. dla jego tajnych spotkań z Kaczyńskim, czyli kolejnej zdrady towarzyszy.

Pozycja lidera SLD w jego partii jest bardzo szczególna: wszyscy wierzą w jego moc i sprawność polityczną. W to, że już zaklepuje im u Tuska posady wiceministrów i wojewodów dla kolegów. A zarazem nikt nie ma do Millera zaufania. Pewne jest tylko, że wybitny historyk Joński dostanie resort nauki.

Świętego Quentina

„Gazeta Wyborcza" z 26/27 października szczegółowo opisała arogancję Piotra Ikonowicza wobec sędziów i lekceważenie ich wyroków. Tę brawurę przypisuje się jego dobremu samopoczuciu, a samopoczucie – ważnej misji społecznej, jaką Ikonowicz spełnia. „Wyborcza" nie rozumie jednak, że sama jest inkubatorem buty towarzysza Piotra. W PRL należał on do opozycji, a to grono tworzy stado świętych krów, nadobywateli Polski, którym wolno więcej. Sama red. Ewa Milewicz, która teraz żąda ułaskawienia Ikonowicza, publikowała teorię o obywatelach, którym mniej wolno, co oznaczało, że jej gronu politycznemu wolno najwięcej.

Dziś „Wyborcza" brzydzi się tych swoich wychowanków, którzy idą inną niż ona drogą. Ja zaś, jeden z bezczelniejszych ludzi w kraju, zrozumiałem, dlaczego przed sądem popiskuję jak myszka na widok kota. My, czerwoni wrogowie dawnej Solidarności, daliśmy sobie wmówić, że w ojczyźnie rządzącej przez nadludzi jesteśmy podludźmi, którzy powinni popiskiwać.

Świętego Tussanta

Co i kogo w ubiegłym tygodniu miałem w dupie? Daniszewska wierzy w środowisko naturalne i każe oszczędzać papier. Nie mogę więc zużyć hektara lasu przecież. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Prezes Kaczyński** jest przerażony projektem ustawy o nieformalnych związkach. Na Halloween dla Prezesa: związek albo psikus?
- **Janusz Palikot** oferuje doradztwo biznesowe za 5 tys. zł. To jakby księża doradzali w sprawach pedofilii.
- **Estonia** w szkołach uczy obsługi dronów. W Polsce dzieci modlą się o pokój.
- **Donald Tusk** uważa, że jego żona i córka były podsłuchiwane Pegasusem. Wreszcie wyda się, czy różowy można łączyć z fuksją.
- **Karol Nawrocki** gościł w pałacu rapera Peję. Dziwne, że orderu żadnego nie wręczył.
- **Portal fronda.pl** ostrzega, że soja zabija powoli. To dlatego populacja Azji tak dramatycznie spadła.

MARTA M.



Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Z kuferka pamięci

Redaktor Piotr Gadzinowski tekstem „Kuferek pamięci" („NIE", nr 42/2025 – red.) sprawił, że zapragnąłem zajrzeć i ja do swojego. Tak, mam swój kuferek pełen listów, zdjęć, pamiętników, notatek, karteluszków, dokumentujący w zasadzie moją młodość. Na dnie znalazłem np. mój pierwszy bilet lotniczy LOT, na lot z Warszawy do Wrocławia. (…) Ten kuferek wędrował ze mną, raz był w piwnicy, raz na strychu, i zawsze się o niego troszczyłem. Redaktor analizuje, dlaczego w Polsce rzadko się spotyka takie domowe archiwa. Uderza jednak w wysokie tony: wojny, zabory, mieszczaństwo. Ja widzę sprawę bardziej prozaicznie. Kiedyś zapytałem moją byłą (…) dziewczynę, czy ma moje listy, a był to czas, gdy epistolografia kwitła. Nie ma, wszystkie wyrzuciła, bo jej mąż był zazdrosny. Odparłem, że ja wszystkie jej listy mam w swoim kuferku, przewiązane wstążeczką. Myślę, że nie mamy serca do naszej przeszłości, nie jest w naszej naturze takie zbieractwo, a potem delektowanie się tym, co minęło, ale mimo wszystko jest ciągle z nami. Pragnę jednak zwrócić uwagę, że wszystko się zmienia, a te zmiany nie sprzyjają kuferkom. Bilet lotniczy teraz ląduje po zakupie w smartfonie i nic z niego po dobytej podróży nie zostaje. Listy, kto dziś umie je pisać? (…) SMS-y, e-maile przychodzą i po przeczytaniu znikają, to w końcu kilka zdań, nawet bez troski o ortografię, składnię, zresztą trudno o nią w pisaniu w pośpiechu na małej klawiaturze. Najbardziej ubolewam nad zdjęciami. Mam ich setki w kuferku. Dziś zdjęcia rzadko są drukowane, zalegają w nośnikach pamięci i wyświetlane są na ekranie, gdy trzeba, i to wystarczy. Kiedyś nawet usiłowałem je drukować i chować do kuferka, ale to już nie to samo (…). A przecież, elektroniczny zapis jest taki nietrwały. Czas kuferków minął bezpowrotnie, zabiła je digitalizacja, a szkoda.

Z uszanowaniem dla Redaktora i całej Redakcji,

Jerzy Dryzek

Cmentarna katastrofa

Czeka nas kolejna ekologiczna katastrofa, gdy Polacy przyniosą na cmentarze tony plastiku w postaci sztucznych kwiatów i zniczy. Wszystko to trzeba później utylizować. Czy nie jest już najwyższy czas, by bezwzględnie zakazać znoszenia śmieci na cmentarze? W Szwecji taki zakaz obowiązuje już dawno. To bardzo praktyczny i mądry naród, w przeciwieństwie do nas Polaków. Wiadomo, różnica polega na tym, że my jesteśmy katolikami, a oni ateistami. Widać więc jasno , że mądrość zależy od światopoglądu. Opcja religijna, każda, to głupota, ciemnota i zabobony. My jesteśmy strasznym narodem. (…) Wstyd mi za mój kraj. Dopóki nie zrobimy porządku z katolicyzmem, to nic się nie zmieni.

Waldemar Szydłowski, Gdańsk

eprasa.pl 1d3e1214be



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ukraina nie rozleje się na cały świat

Dlaczego nie grozi nam III wojna światowa

11 listopada inaczej kojarzy się w Polsce, a inaczej w świecie. U nas to Dzień Niepodległości. Nietrafnie i arbitralnie wybrany. W tym dniu w 1918 r. nic szczególnego się w kwestii niepodległości nie działo. Tak naprawdę Polska już była niepodległa – i to od pewnego czasu.

Pociąg w Warszawie, wagon w Compiègne

Istniały i sprawowały realną władzę trzy polskie rządy: w Warszawie (od kilku miesięcy rząd Królestwa Polskiego powołany przez Radę Regencyjną), w Lublinie (od tygodnia rząd Polskiej Republiki Ludowej pod przewodnictwem Ignacego Daszyńskiego utworzony w wyniku społecznego porozumienia po rozpadzie Austro-Węgier) i w Paryżu (Komitet Narodowy Polski Romana Dmowskiego uznany przez aliantów rządem polskim de facto).

Wszystkie trzy dysponowały wojskiem. 10 listopada do Warszawy wrócił specjalnym pociągiem niemieckim Józef Piłsudski, kilka dni wcześniej zwolniony z internowania w twierdzy magdeburskiej. Władze wojskowe Niemiec spodziewały się, że wykorzystując swój niewątpliwy autorytet wojenny, zapewni on warunki do bezkolizyjnego wycofania się przez Polskę wojsk niemieckich ze wschodu, czego domagały się zwycięskie mocarstwa alianckie w warunkach rozejmu. Piłsudski to Niemcom obiecał i 11 listopada bez przeszkód objął władzę nad wojskiem w Królestwie, a trzy dni później – urząd naczelnika państwa na mocy decyzji ustępującej Rady Regencyjnej. 11 listopada prawem kaduka uznano za datę odzyskania niepodległości dopiero w 1937 r. Czyli po śmierci Piłsudskiego, gdyż za życia nie dawał on na to przyzwolenia – zbyt szanował fakty historyczne.

Z kolei wysoka – przez wiele dziesięcioleci – ranga daty 11 listopada w opinii światowej wzięła się stąd, że tegoż dnia w 1918 r. w lasku Compiègne nieopodal Paryża, w wagonie sztabowym niemiecka delegacja podpisała akt kapitulacji i poprosiła o rozejm. Zakończyła się czteroletnia I wojna światowa, do 1939 r. zwana Wielką Wojną.

Wybuchła ona latem 1914 r., ale dojrzewała przez długi czas, miała poważne powody. Kończyła prawie stuletnie trwanie ładu międzynarodowego ustanowionego po wojnach napoleońskich traktatem wiedeńskim (1815). Była skutkiem radykalnego zachwiania równowagi międzynarodowej w wyniku zmiany układu sił i wieloletniej rywalizacji: Niemiec z Wielką Brytanią o panowanie na morzach i w koloniach; Francji z Niemcami o odzyskanie dwu prowincji, Alzacji i Lotaryngii, utraconych w wojnie z Prusami w 1870 r.; Rosji z Austro-Węgrami o sukcesję po upadającej Turcji otomańskiej i supremację na Bałkanach. Z tych rywalizacji wyłoniły się dwa bloki wojenne: państw centralnych: Niemiec i Austro-Węgier oraz państw zachodnich: Francji i Wielkiej Brytanii sprzymierzonych z Rosją. Każdy z tych bloków miał grono sojuszników. Wojna długo pozostawała europejską; dopiero przystąpienie do niej w kwietniu 1917 r. Stanów Zjednoczonych uczyniło ją światową.

Spodziewano się, że karabin maszynowy sprawi jej szybkie rozstrzygnięcie, na wagonach wiozących żołnierzy niemieckich na front pisano: „na śniadanie w Paryżu!”. Wojna przeciągnęła się na ponad cztery lata i pochłonęła 10 mln poległych żołnierzy. Użyto w niej obok broni maszynowej gazów bojowych (1915), czołgów (1916), lotnictwa (od początku) i na wielką skalę okrętów podwodnych. Blok państw centralnych wojnę tę przegrał, we wszystkich państwach tego bloku upadły monarchie, Austro-Węgry się rozpadły. W bloku przeciwnym rewolucja wstrząsnęła Rosją i obaliła carat, a imperium stanęło w obliczu rozpadu. Ocalało na 70 lat tylko dzięki surowej bolszewickiej dyktaturze.

Polska – mimowolny beneficjent

Pokój nie trwał długo, po 20 latach ponownie zburzyły go Niemcy. Według opinii Henry’ego Kissingera, wybitnego amerykańskiego historyka i męża stanu, spowodował to sam traktat wersalski podyktowany przez zwycięzców w 1919 r. Niezwykle surowy, nakładający na Niemcy ogromne i nierealistyczne kontrybucje. Był ten traktat – pisze Kissinger w dziele „Dyplomacja” – zbyt surowy, aby naród wielkości niemieckiego mógł go znieść bez buntu, ale zbyt łagodny, aby ten bunt uniemożliwić. Zdesperowani dodatkowo wielkim kryzysem ekonomicznym, Niemcy w 1933 r. wynieśli w demokratycznym trybie do władzy nacjonalistyczną faszystowską partię Adolfa Hitlera, która energicznie przyjęła i zrealizowała plan odwetu za klęskę 1918 r. Wykorzystała talenty organizacyjne i potencjał naukowo-techniczny swego narodu, siłę niemieckiej gospodarki oraz doświadczenie wojskowe pruskiej generalicji. Brutalnie – i niestety bezkarnie – złamała wszystkie reguły traktatu wersalskiego. W ciągu czterech lat zbudowała machinę wojenną zdolną pokonać każde ówczesne mocarstwo, a nawet koalicję dwu mocarstw. I rozpętała wojnę – początkowo tylko europejską – o obalenie powersalskiego ładu i supremację Niemiec w Europie. Światową ta wojna stała się dopiero w 1941 r.

Polska padła jej pierwszą ofiarą.

Skłonność do nacjonalistyczno-mesjanistycznych urojeń sprawiła, że w Polsce przyjęło się sądzić, że to zmowa Hitlera ze Stalinem – w pocie skierowanego przeciw Polsce paktu Ribbentrop–Mołotow – umożliwiła wywołanie II wojny światowej. To złudzenie. Hitler początkowo nie zamierzał Polski podbijać, chciał jedynie ją zwasalizować i włączyć do swego obozu. Opór, na jaki napotkał, sprawił, że zdecydował się na militarne jej wyeliminowanie. Jego głównym zamiarem było zaatakowanie i pokonanie Francji, a następnie Rosji radzieckiej, którą zamierzał skolonizować i przekształcić w niemiecką przestrzeń życiową (Lebensraum).

Włodzimierz Borodziej – przedwcześnie zmarły wybitny warszawski historyk, doskonały znawca niemieckich archiwaliów – dowodził, że w 1939 r. Hitler dla wyeliminowania Polski nie potrzebował przymierza ze Stalinem. Mógł to zrobić własnymi siłami. 17 września 1939 r. niemieckie zagony pancerne w rejonie Włodawy były o kilkanaście kilometrów od zamknięcia w kręgu okrążenia wszystkich walczących jeszcze polskich wojsk i pokrzyżowania szans na utworzenie tzw. rumuńskiego przedmościa. Hitler zawarł taktyczne, obliczone na krótki czas porozumienie ze Stalinem po to, aby uspokoić własną generalicję, która panicznie bała się wojny na dwa fronty.

Wojny tej Hitler zresztą nie uniknął. Mimo błyskawicznego pogromu Francji i zdobycia supremacji w prawie całej Europie nie zdołał uzyskać przewagi lotniczej nad Wielką Brytanią niezbędnej do inwazji na wyspy. Poniechał zatem tego zamiaru i zgodnie z zasadniczym swym planem wojny zaatakował Rosję radziecką, osiągając w pierwszych miesiącach błyskotliwe sukcesy. Niewystarczające jednak do pokonania tego mocarstwa. Na przedpolach Moskwy jesienią 1941 r. załamał się niemiecki blitzkrieg. Zdesperowany Hitler, wykorzystując rozpętaną w grudniu 1941 r. wojnę Japonii przeciw Stanom Zjednoczonym, temu mocarstwu też wypowiedział wojnę. Spodziewał się, że z wdzięczności Japonia zaatakuje Rosję od wschodu i ułatwi jej pokonanie. Zawiódł się i przekreślił w ten sposób wszelkie szanse Niemiec na wygranie wojny.

Brytyjski historyk drugiej wojny światowej R.A.C. Parker twierdzi, że Hitler miał szansę wojnę w Europie wygrać w dwu tylko przypadkach: gdyby pokonał Wielką Brytanię przed atakiem na ZSRR lub gdyby pokonał ZSRR przed przystąpieniem USA do wojny.

Ostatecznie wojna została wygrana przez Wielką Koalicję Antyhitlerowską, dzięki przewadze sił i środków. Oraz dzięki bardzo konsekwentnie realizowanemu planowi Franklina D. Roosevelta połączenia rosyjskiej – czy raczej radzieckiej – siły ludzkiej z amerykańską potęgą gospodarczą i zbrojeniową.

Niemcy prawie do końca wojny zachowały przewagę w bitności wojska oraz w technice uzbrojenia. Na jednego żołnierza Wehrmachtu na froncie wschodnim ginęło dwu czerwonoarmistów. Niemcy miały lepsze od aliantów czołgi, dla zrównoważenia jednej Pantery (PzKpfw IV) potrzeba było czterech radzieckich T-34 lub amerykańskich Shermanów, ale Niemcy miały tych Panter o wiele za mało. Niemcy produkowali też lepsze myśliwce i zdołali jeszcze w czasie wojny wprowadzić do walki odrzutowce, jednak już nie mieli dla tych maszyn paliwa. Wyciągając wnioski z I wojny światowej, po następnej nałożono na Niemcy znacznie mniejsze wojenne odszkodowania, ale za to na trzy lata rozwiązano niemieckie państwo, a na następne 40 lat podzielono je na dwa.

Polska, wbrew woli swego oficjalnego emigracyjnego rządu, została największym terytorialnym beneficjentem niemieckiej klęski. Przesunięta terytorialnie na zachód, otrzymała 20 proc. terytorium państwowego Niemiec. Nie były to ziemie „odzyskane”: znaczna ich część nigdy przedtem we władaniu polskiego państwa nie była, a ta, która do Polski kiedyś należała – Śląsk – odeszła od niej bez wojny, na mocy ugody z Czechami przed 600 laty.

Ziemie te w 1945 r. były radzieckim łupem wojennym przyznanym Polsce. Miały kolosalną wartość ze względu ma wysiedlenie z nich rdzennej niemieckiej ludności. Państwo polskie przejęło w rezultacie nie tylko majątek publiczny, lecz też ogromny prywatny, co umożliwiło błyskawiczne rozwiązanie głównego polskiego problemu – likwidację przeludnienia wsi.

Zaskakująca trzeźwość Donalda

Ten krótki – i z konieczności uproszczony – przegląd historii obu poprzednich wojen światowych rzuca jednak wystarczające światło na modne dziś rozważania o grożącej nam podobno nowej wojnie powszechnej, a co najmniej europejskiej. Według przewidywań licznych „ekspertów” tym razem lont podpali Rosja. Rzecz jednak w tym, że w sytuacji globalnej nie widać sprzeczności tej rangi jak te, które wywołały poprzednie wojny światowe.

Ponadto możliwości dzisiejszej Rosji są nieporównywalne z niemieckimi w przededniu obu wojen światowych. Niemcy wszczynały te wojny jako potęga gospodarcza i militarna, największa w Europie. I dowodziły tego naocznie. W 1914 r., miesiąc po wypowiedzeniu wojny, wojska niemieckie zagroziły Paryżowi; Francuzi ten atak odparli z wielkim trudem i ofiarami w słynnej bitwie nad Marną. Sukcesy niemieckie w pierwszych dwu latach II wojny światowej też były oszałamiające i przerażające. W obu też przypadkach apetyty i cele wojenne Niemiec miały groźny wymiar globalny.

Dzisiejsza rzeczywistość jest odmienna. Rosja po rozpadzie Związku Radzieckiego, zredukowana terytorialnie do granic z XVIII w. oraz osłabiona po długotrwałym borykaniu się z wewnętrznym chaosem, z rodzajem smuty, podjęła jak na razie kilka prób skorygowania na swoją korzyść terytorialnej i politycznej sukcesji poradzieckiej: na Kaukazie i – najpoważniejszą – na Ukrainie.

Tę ostatnią proroczo przewidział 100 lat temu Roman Dmowski. Pisał, że po uzyskaniu przez Ukrainę niepodległości dojdzie do jej konfliktu z Rosją. Według ojca polskiego nacjonalizmu „naród rosyjski byłby najnędzniejszy w świecie, gdyby spokojnie pogodził się ze stratą Ukrainy”. I nie pogodził się.

Niezależnie od wielu wzniosłych interpretacji i analogii z minioną wielką zimną wojną

wojna ta w rzeczywistości toczy się o terytorium i polityczne uzależnienie Ukrainy. Konflikt o Ukrainę i lokalne napięcie na wschodniej flance NATO to zbyt słaby zapalnik na wojnę światową. Co trzeźwo i trafnie odczytał prezydent Donald Trump

– i na tym opiera swą chwilami zaskakującą politykę. Ukraina jako ofiara agresji otrzymała ogromne wsparcie międzynarodowe, polityczne i materialne; decydujące – od Stanów Zjednoczonych. Swą imponującą obronę prowadzi za cudze pieniądze i przy pomocy zagranicznej, w większości podarowanej broni. Wbrew propagandowym przechwałkom – niestety przy raczej ambiwalentnym nastawieniu własnej ludności. Ponad 600 tys. mężczyzn wyemigrowało z Ukrainy, aby uniknąć mobilizacji i frontu. Ostatnio władze niemieckie sygnalizowały, że po uchyleniu ukraińskiego zakazu wyjazdu z kraju dla mężczyzn w wieku 18–23 lata ich napływ do Niemiec wzrósł 10-krotnie. Jak donoszą liczni korespondenci, Ukrainie dziś bardziej niż broni brakuje żołnierzy.

Wojna ujawniła też zadziwiająca słabość militarną Rosji. Ma rację Trump, gdy pokpiwa z Putina, że od czterech lat toczy wojnę, którą powinien był wygrać w tydzień i mimo wielkiej przewagi osiąga raczej mizerne sukcesy. Jeśli nie liczyć Krymu, który Rosja odzyskała wcześniej i bez walki – wojenne zdobycze terytorialne wynoszą nieco ponad 10 proc. terytorium Ukrainy. W tym roku wojna utknęła w impasie, żadna ze stron nie przeważa. Trudno odmówić racji – skądinąd dość niesympatycznemu – Trumpowi, że chce zdystansować swój kraj od tej wojny i proponuje rozejm na linii ognia: „niech każda ze stron ogłosi zwycięstwo, ale poniecha zabijania”. Bardzo źle o rozsądku Putina świadczy, że tej propozycji nie przyjmuje. Na nic lepszego liczyć nie powinien.

Założenie, że państwo, które nie zdołało poradzić sobie militarnie z bardzo słabą Ukrainą, byłoby w stanie poważnie zagrozić NATO, to urojenie. Innym urojeniem jest pomysł, iż możliwa jest wojna światowa, a nawet europejska bez Stanów Zjednoczonych, których przewaga nad Rosją jest obecnie ogromna. A Stany uczestniczyć w takiej wojnie wyraźnie nie zamierzają. Nie chcą też zniszczenia Rosji jako mocarstwa – choćby drugiego rzędu, ale nuklearnego. Obawiają się otwarcia wielkiej pustki politycznej w Azji, którą natychmiast wypełniłyby Chiny.

Gra, jaką zdają się prowadzić nastawione proukraińsko państwa europejskie – w tym Polska – wydaje się bardzo ryzykowna. Z wolna wpełzają w konflikt z Trumpem. Nie są w stanie zastąpić Stanów Zjednoczonych we wspieraniu Ukrainy. Pieniędzmi może od biedy, ale bronią i amunicją nie, bo tego nie mają.

UE jest zresztą w tej sprawie podzielona, a w kilku państwach członkowskich – w ślad za Czechami – szykują się do skoku na władzę partie Ukrainie niechętne. Ale nawet postawa tych chętnych i proukraińskich jak Polska, nacechowana jest dwuznacznością.

Są nie tyle proukraińskie, co antyrosyjskie. Ukrainie nie skąpią na razie grosza i w miarę możliwości uzbrojenia. Podbechtują ją do wojny, ale zarzekają się, że nie wyślą tam choćby jednego żołnierza. Można odnieść wrażenie, że zamierzyły walczyć z Rosją, której nienawidzą, ale tylko do ostatniego Ukraińca. To podejrzana moralnie i krótkowzroczna polityka. Trump na tym tle wygląda bardziej prostolinijnie.

M.Z.

eprasa.pl 1d3e1214be

Lista białoruska

Mniejszości mają w Polsce prawa. Skorzystajmy z nich.

Władza znowu się na nas wypięła. Zaczęli poprzednicy, kontynuują ci, którzy mieli okazać się o wiele lepsi. Nie są lepsi. 70 lat psu na budę, bo matura z języka białoruskiego nie jest już w naszych „Białorusach" – bielskim i hajnowskim – *na amin'* obowiązkowa. Tak postanowiła władza w konkretnym rozporządzeniu rządowym, z jej lewicową ministrą na czele. I na nic zda się pisanie w tej sprawie do Rady Europy, bo to ciało bezwolne i zupełnie niesprawcze. W tej skomplikowanej strukturze unijnej rządzi bowiem Komisja, tyle że Komisja zajęta jest w tej chwili mocno grą wojenną i takie duperele jak kultywowanie tradycji językowej w pobliżu polsko-białoruskiej granicy jej nie obchodzą.

Chyba że, a czego wykluczyć nie można, to część szerszego planu, aby mniejszości takie jak nasza stopniowo pozbawiać tożsamości, gdyż dla większości decyzyjnych polityków, tych w Polsce również, jesteśmy – w tym i moja *usoposzaja* babcia Kowszyłowa z drewnalu na budynku hajnowskiego dworca – forpocztą rosyjskiego etnosu i jego mocarstwowych ambicji. Oni tego nie powiedzą wprost, ale przecież tak jest.

Dlatego, Siostry i Bracia, czasu mamy niewiele, aby móc skutecznie napisać i wdrożyć w życie polityczny projekt pn. „Prawosławni Białorusini do sejmu!". Wiem dobrze, że takie próby w przeszłości podejmowano wielokrotnie, ale bez sukcesu. W naszej społeczności bowiem od niepamiętnych czasów każdy sobie rzepkę skrobie i nie myśli w szerszej perspektywie. A trzeba być jak mniejszość niemiecka, która w sytuacjach wyborczych stosuje prostą zasadę, że wszystkie ręce na pokład bez względu na światopogląd ekonomiczny czy wyznaniowy. Dlatego wołam na puszczy, a jednak proszę tych, którzy rozumieją, o co idzie tak naprawdę gra.

A gra idzie o podmiotowość w polityce maleńkiego narodu na krańcach europejskiego projektu polityczno-ekonomicznego. Trzeba próbować stworzyć w końcu swoją listę,

już o niej myśleć, bo rok 2027 coraz bliżej. Jeśli nie pochłonie nas wojenna apokalipsa, daj Boże, oby nie, to wprowadzenie do sejmu chociażby jednego czy dwóch posłów, którzy zostaną języczkiem u wagi i nie będą zależni od wielkich partii, które wzięły ich sobie wcześniej na listy wyborcze, da siłę, żeby durne rozporządzenia wyrzucać do kosza.

Zatem Wielce Czcigodni Panowie Czykwin, Wasyluk, Łukaszuk, Janowski* (przepraszam, jeśli kogoś pominąłem): bierzcie się już teraz do roboty i myślcie w kategoriach politycznych, a nie najpierw osobistych. I błagam, nie mówcie mi o D'Hondcie i takich tam. Od tego się nie zaczyna. Zaczyna się od marzenia i mocnego postanowienia o niewchodzeniu w tyłek większym od siebie. Pozdrawiam serdecznie.

ARKADIUSZ PANASIUK

* W kolejności dla niezorientowanych w niuansach P.T. Czytelników spoza Podlasia: szef „Przeglądu Prawosławnego" i wieloletni poseł RP; działacz mniejszościowy i wybitny fotograf; dyrektor Liceum Ogólnokształcącego z Dodatkową Nauką Języka Białoruskiego w Hajnówce; wieloletni radny sejmiku województwa podlaskiego.

To fragment listopadowego stałego felietonu, którego druku odmówiono mi w „Czasopisie" – miesięczniku wydawanym przez Stowarzyszenie Dziennikarzy Białoruskich w Polsce. Uznano, że w tej formie nie ma on prawa do ukazania się na łamach dotowanego przez każdą kolejną władzę tytułu.

Arkadiusz Panasiuk

Ego z

Tysiąc filmów

Jeżeli ktoś pamięta mój zeszłotygodniowy tekst o „Wielkim Hetmanie Morawieckim", to winien jestem jedno sprostowanie. Napisałem wtedy, że były premier się nudzi. Otóż nieprawda. On jest w chuj zapracowany. Tak zapracowany, że gdyby istniała olimpiada w autopromocji, już dawno miałby medal złoty, srebrny, brązowy i order za zasługi dla samego siebie.

Wałęsa nie czytał, Lenin pisał tomy

Dla każdego polityka w dobrym tonie jest wydać choć jedną książkę pod własnym nazwiskiem – z obowiązkowym tytułem w stylu „Słowo, honor i coś tam". Nawet Lech Wałęsa jedną wydał – choć, jak sam zeznał, żadnej nie przeczytał.

Niewielu polityków wniosło jednak tak potężny wkład w kulturę jak Włodzimierz Lenin, którego wielka edycja jubileuszowa dzieł wszystkich liczyła 60 tomów. To absolutny rekord wszech czasów. Nikt wcześniej ani później nie napisał tyle o sobie i o własnej nieomylności w tak krótkim czasie. Wódz rewolucji zmarł, mając zaledwie 53 lata, a zdążył już nie tylko obalić carat, ale też zostawić po sobie biblioteczny odpowiednik mauzoleum – z liter zamiast marmuru. Przyznam, że próbowałem to czytać. Próbowałem. Do dziś czuję w oczach ukłucia cyrylicy i zapach szczerej ideologii.

Drugim literackim herosem polityki był Winston Churchill. Jego „Pamiętniki o drugiej wojnie światowej" to 12 woluminów w polskim wydaniu. Dzieło monumentalne, heroiczne i zupełnie nie do czytania, ale każdy inteligent trzyma to na półce, żeby wyglądało, że wie, kto wygrał. A także dostał Nobla.

Czasy jednak się zmieniły. Ludzie nie czytają już książek, tylko memy, paragony z Biedronki i gazetki Lidla. Pisanie z sensem nie ma sensu. Nową formą pamiętnika politycznego oraz predykcji stał się YouTube, a jego najgorliwszym obecnie politycznym eksploatatorem – Mateusz Morawiecki. Od września 2024 r. opublikował ponad 1100 filmów, czyli średnio dwa dziennie. Tyle, co Lenin przez całe życie.

Oczywiście ani Lenin, ani Churchill nie pisali po to, żeby ich czytać. Pisali, żeby ich czcić. Bo przeczytanie ich dzieł wymagałoby nie tyle cierpliwości, co urlopu zdrowotnego. Szacunkowo – przy ośmiu godzinach lektury dziennie – zajęłoby to od trzech miesięcy w Londynie do dziewięciu w Smoleńsku. Ale nie o to chodziło. Dzieła wszystkie Lenina miały podtrzymać jego boskość w granicach ZSRR, a pamiętniki Churchilla – jego pomnik w granicach zdrowego rozsądku. Jeden zbudował imperium, które się rozpadło, drugi opisał imperium, które już się rozpadało. Obaj jednak zrobili to z klasą: piórem, papierem, przypisami i redaktorami, którzy jeszcze coś rozumieli z interpunkcji.

Kubek, laptop i dwie flagi

Dziś mamy nowy wymiar wielkości: MorawieckiTV. Nikt przy zdrowych zmysłach nie przejrzy 1100 odcinków z tą samą gadającą głową w okularach – stale napiętą, rozgrzaną retorycznie, ideowo niezmienną. 1100 filmów z jednym aktorem? Hollywood się kłania i wraca do szkoły. Powstała epopeja serialowa bez precedensu: każdy odcinek wygląda jak poprzedni, a jednak, jak u Lenina, każde słowo udaje, że właśnie odmienia bieg historii. Wszystkiego nie zniosłem, ale poglądowo opiszę, jak to wygląda.

Pierwszy plan: kubek lub szklanka – w zależności od nastroju – oraz laptop typu Yoga, co to po odłączeniu klawiatury można złożyć w tablet albo w origami. Następnie blat biurka: sosna bejcowana na mahoń w półpołysku – klasyka polskiego patriotyzmu wizualnego. Drewniany prestiż, ale bez przepychu, taki luksus z Castoramy.

Drugi plan: On – we własnej osobie. Zazwyczaj w białej koszuli, czasem niebieskiej (żeby pokazać, że jest też człowiekiem z ludu). Przypięty mikrofonik, co wygląda, jakby zaraz miał prowadzić wiadomości w Telewizji Republika albo zapowiadać promocję w Biedronce.

Trzeci plan: dwie polskie flagi – w razie gdyby ktoś wątpił, że to Polska. Zasłonka w kolorze kawa z mlekiem (czyli neutralna politycznie) i doniczka z domowym zielskiem.

I teraz zaczyna się kanonada. Napierdalanie z armaty retoryki, festiwal przeinaczeń i popis demagogii artystycznej. Każdy odcinek to kopniak w krocze rzeczywistości, a każdy tytuł brzmi jak rozdział z Biblii Straszenia Narodu Polskiego. Morawiecki nie robi filmów. On wydaje codzienny biuletyn zagłady. Wystarczy spojrzeć na same tytuły tej sagi nienawiści:

– „Dlaczego obniżenie ratingu przez Moody's to ZŁY SYGNAŁ dla Polski!" – czyli wstęp do kursu „Jak przestraszyć obywatela bez użycia broni";

– „Ukryty kryzys: rekordowe zwolnienia w Polsce!" – odcinek, w którym Polska tradycyjnie stoi nad przepaścią, ale Mateusz zapewnia, że już wie, kto ją tam zaprowadził;

– „Tonący statek polskich finansów. Dokąd zmierza Polska?" – Titanic, kapitan Tusk przy sterze, orkiestra gra hymn;

– „Rekordowy DEFICYT Tuska. 156,7 mld długu!" – liczby jak z horoskopu, tylko bardziej katastroficzne;

– „Tusk robi SHOW zamiast reform? »Piramida PR-u« zamiast deregulacji!" – archeologia oburzenia w praktyce.

Potem już tylko powtórki z rozrywki: „Gospodarczy chaos", „Państwo z tektury", „Rząd nie ma

DĄBROWSKI RYSUJE

eprasa.pl 1d3e1214be

Excela o Mateuszu


Rys. MARCIN CHUDZIK

planu", „Zielony Ład, ale brudna prawda", „Europa na rozdrożu"… Słowem – ten człowiek ma jedną melodię, ale gra ją na wszystkich instrumentach nieszczęścia.

Mydło, wałki i makaron

Każdy tytuł wygląda jak komunikat alarmowy w TVP Info z 2020 r., tylko bez podpisu „na żywo". Morawiecki w roli głównej, Morawiecki w roli komentatora, Morawiecki w roli ofiary. Autotematyzm godny Felliniego albo polityka, który pomylił kamerę z lustrem.

To nie kanał informacyjny. To telewizja terapeutyczna dla człowieka, który nie pogodził się z utratą stołka. Każdy odcinek kończy się tym samym wnioskiem: „Tusk winny", „Unia podejrzana", „Polska w ruinie", a Mateusz – na posterunku. To już nie publicystyka, to liturgia apokalipsy.

Projekcje przerywane są reklamami mydła, wałków do malowania i makaronu. Nie twierdzę, że Morawiecki sam wybiera te reklamy – choć po jego minie czasem można odnieść wrażenie, że właśnie negocjuje kontrakt z Lidlem. To algorytm YouTube'a dobiera przekaz do widza, a ten algorytm, proszę Państwa, nie ma złudzeń co do publiczności. Wie, że kto ogląda Morawieckiego, ten potrzebuje czystości (po wiadomościach), remontu (po rządach) i węglowodanów (żeby to wszystko przetrwać). To nie przypadek – to nowy rodzaj targetowania: polityczno-egzystencjalny.

Oczywiście Morawiecki na wszystkie katastrofy, które – jak twierdzi – przyszły wraz z Tuskiem, ma gotowe antidotum. I to w stylu klasycznego dowcipu o cyrku, w którym publiczność została opryskana kroplami gówna. Gdy kurz, smród i panika sięgają sufitu, z ciemności wychodzi konferansjer, cały w bieli, uśmiechnięty od ucha do ucha i mówi z dumą: „A teraz, proszę państwa, wystąpię ja!".

Otóż dokładnie tak działa Morawiecki. Po każdej katastrofie, którą sam przez osiem lat współtworzył, pojawia się z filmikiem, żeby ogłosić, że to on był zawsze po stronie czystości, rozsądku i odkupienia. W jego narracji wszystko, co robiły rządy PiS po 2014 r. – kiedy, jak pamiętamy, zastały „Polskę w ruinie" – było sensowne, godne i sprawiedliwe, a przy okazji jeszcze nowatorskie, prorocze i na wieki wieków mądre. PiS nie tylko ocalił kraj, ale jeszcze wynalazł elektryczność, węgiel bez dymu i polski dobrobyt w proszku instant. A obecne rządy? Oni, proszę państwa, nie mają żadnych własnych pomysłów – jedynie kontynuują linię PiS-u, którą, będąc w opozycji, krytykowali. Czyli klasyka: „zabrali nam władzę, ale niech przynajmniej przyznają, że mieliśmy rację".

Prawda na urlopie

Obiektywnie rzecz biorąc, jakie wrażenie robi to wszystko na przeciętnie krytycznym widzu? Widzi on przed sobą 57-letniego faceta o umyśle księgowego, który z nabożną powagą opowiada o miliardach w deficycie, wskaźnikach inflacji i „koniecznościach dziejowych", jakby świat kończył się na tabelce w Excelu. Człowieka, który życie utożsamia z arkuszem kalkulacyjnym, a moralność z rubryką „wydatki bieżące".

Nie ma w nim ani odrobiny autoironii, za to pełno autopromocji i samozachwytu. To typ, który potrafi patrzeć prosto w kamerę i kłamać z przekonaniem profesora etyki stosowanej. Jego światopogląd jest prosty jak linia trendu: wszystko, co dobre, to PiS; wszystko, co złe, to Tusk. Momentami wygląda, jakby czytał z promptera ustawionego przez ducha Balcerowicza albo – co bardziej prawdopodobne – jakby był własnym awatarem. I szczerze mówiąc, nie można tego wykluczyć. Niektóre filmiki Morawieckiego mają tak nienaturalną mimikę i tak gładkie kadry, że wygląda, jakby sam siebie wygenerował w AI – wersja „Mateusz 2.0, Premier w Chmurze".

Morawiecki jest zarośnięty wiarą w siebie i własną misję. Wyraźnie cierpi na deficyt władzy – największy, jakiego nie da się załatać w żadnym budżecie. Bo prawda jest taka, że nie naród go odsunął, lecz arytmetyka sejmowa – chwiejna, dramatyczna, na granicy kilku głosów.

Niewiele brakowało, a dalej siedziałby w KPRM, przekonany, że historia ma w rubryce „premier" tylko jedno nazwisko. W rezultacie oglądamy kogoś, kto nadal przemawia słowotokiem jak staccato Kałasznikowa, z rytmiczną pewnością, że jeśli wystrzeli wystarczająco dużo słów, to któreś z nich trafi w przyszłość.

YouTube zamiast jachtu

Oczywiście powstaje pytanie: kim on właściwie dziś jest? Vlogerem? Prorokiem? Czy może nieudanym spin doktorem własnego mitu? Czy on w to wszystko naprawdę wierzy? Bo jak mawiają finansiści – prawdziwy test wiary polega na tym, czy postawiłbyś na to własne pieniądze.

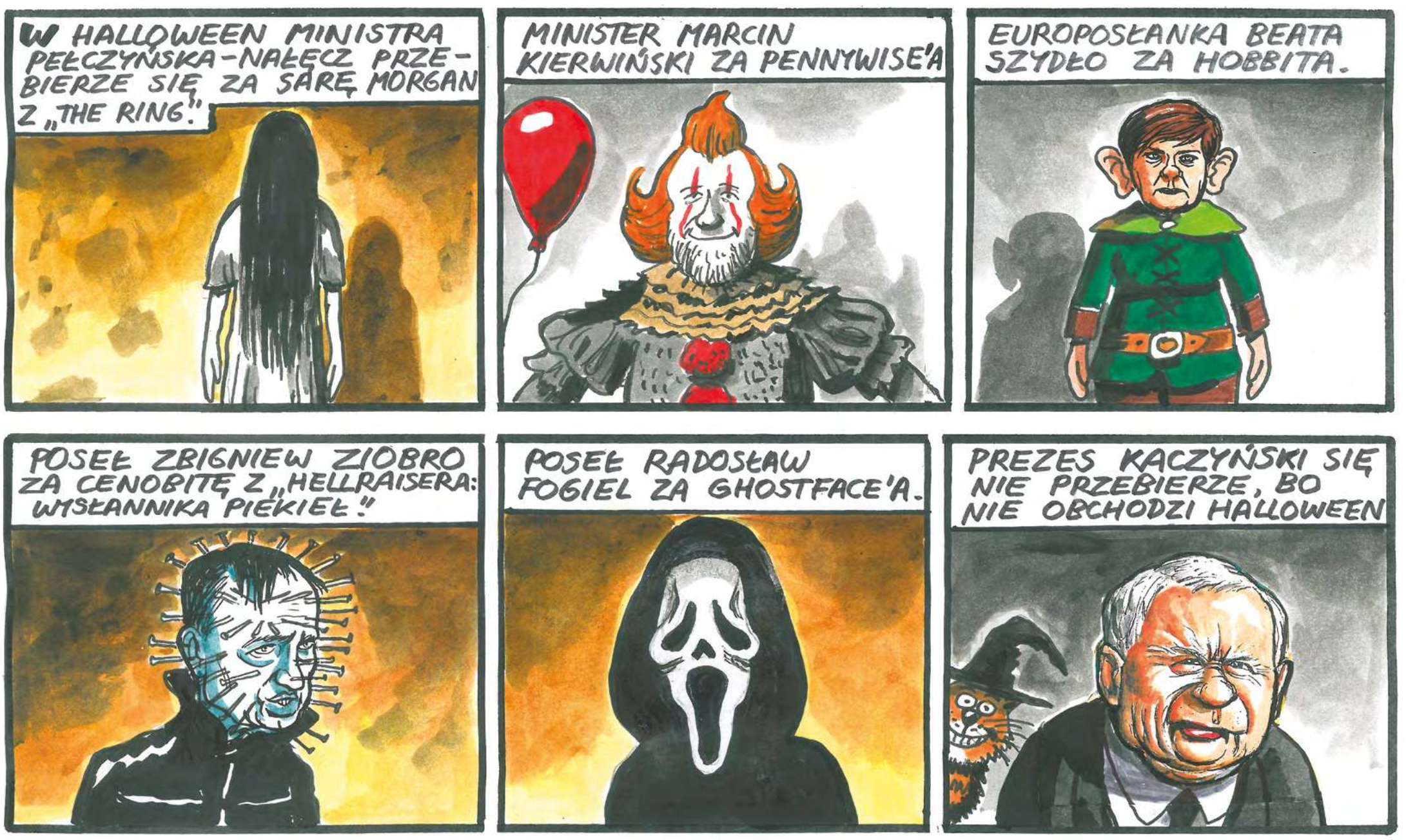
No więc postawił. I to niemało. Nagranie 1100 filmów po rynkowych stawkach to koszt około miliona złotych, do tego 70 odcinków sponsorowanych, czyli kolejne 140 tys. Oficjalnie właścicielem kanału jest Biuro Poselskie Mateusza Morawieckiego, ale tu zaczyna się ciekawiej. W sprawozdaniach finansowych biura składanych w sejmie nie ma żadnych wydatków na reklamę, sponsoring czy kampanię wizerunkową. Niewykluczone więc, że rachunki opłaca któraś z fundacji, które Morawiecki hojnie wspierał jeszcze jako premier, lub że sam finansuje tę produkcję ze swojej kieszeni. Jeśli tak, to trzeba przyznać: inwestycja godna wizjonera. Zamiast kupić sobie jacht, wczasy na Seszelach albo kolejny złoty zegarek, zainwestował w samego siebie – bez gwarancji zwrotu. Mateusz Morawiecki najwyraźniej naprawdę wierzy w siebie.

I to, proszę Państwa, jest dla Polski zła wiadomość.

Bo o ile w harvardzkiej księgowości „wiara" nie figuruje w kolumnie „aktywa", to jednak – jak uczy historia – wiara potrafi przenosić góry, zawracać rzeki i od czasu do czasu przywracać stołki.

Recepcja filmografii Morawieckiego jest, delikatnie mówiąc, mizerna. Najpopularniejszy film osiągnął około 200 tys. wyświetleń. Reszta kręci się poniżej 40 tys. Ale jak mawiał pewien znany minister propagandy: „Ludzie uwierzą w każdą bzdurę, byleby powtarzać ją wystarczająco często". A Morawiecki powtarza. Z zapałem, dyscypliną i statywem.

ROBERT JARUGA



eprasa.pl 1d3e1214be

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Podejrzany Michał Woś – ziobrysta i pisowiec wreszcie z zarzutami przekroczenia uprawnień i niedopełnienia obowiązków. Komunikat prokuratury: „Prokurator zastosował wobec podejrzanego środek zapobiegawczy w postaci poręczenia majątkowego w kwocie 200 tys. zł. Nadto prokurator zmienił sposób wykonywania dozoru policji poprzez zobowiązanie podejrzanego do stawiennictwa w odpowiedniej komendzie policji w odstępach 14-dniowych”. Oraz: „Prokurator zabezpieczył wykonanie orzeczenia na mieniu oskarżonego, ponieważ zachodzi uzasadniona obawa, że bez takiego zabezpieczenia wykonanie orzeczenia będzie niemożliwe albo znacznie utrudnione”. A także na koniec: „Obawa ta wynika z wysokiej wartości wyrządzonej szkody, ograniczonych możliwości finansowych podejrzanego oraz realnego ryzyka wyzbycia się przez niego majątku przed prawomocnym zakończeniem postępowania”.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Co na to były wiceminister sprawiedliwości, praworządny obywatel? „Nie jestem milionerem, więc tego majątku za dużo nie zajmą. Wpisem do hipoteki zabezpieczono dom, samochód i zajęto moje rachunki. Na tych ostatnich zostawiłem całe 12 groszy, niech sobie to Żurek z Tuskiem wezmą”.

Kazik, któremu dziś do PiS-u coraz bliżej, śpiewał kiedyś proroczo: „12 groszy, tylko nie płacz, proszę, 12 groszy w zębach tu przynoszę”.

Awans pod but

KO to nie SLD

Kiedy patrzyliście, jak Donald Tusk zasysa przystawki – a przy okazji prywatyzuje wspólny sztandar powiewający dotychczas nad archipelagiem różnych partnerskich ponoć podmiotów – czy coś Wam się przypomniało? A przynajmniej tym z Państwa, którzy, jak ja, korzystają z przywileju wczesnego urodzenia?

Rok 1999. Leszek Miller zrobił do samo ze sztandarem Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Połknął 27 z 32 podmiotów lewicowej koalicji (kanibalizacji oparła się PPS i cztery inne niewielkie organizacje), wprowadził zamordyzm tam, gdzie wcześniej panował pluralizm – i, owszem, poprowadził SLD do zwycięstwa wyborczego w roku 2001. Nie należy jednak wyciągać pochopnych wniosków z tej analogii.

Pluralizm koalicji SLD, a także SdRP jako partii, był specyficzny, bo oparty na koteriach budowanych wokół różnych polityków – Kwaśniewskiego, Borowskiego, Oleksego, Millera, Janika – ale był pluralizmem autentycznym. To – co zrozumiałam poniewczasie – nadawało temu środowisku rzeczywistą wartość, intelektualny ferment, umiejętność reprezentowania różnych grup społecznych. I nie da się ukryć, że zglajchszaltowanie tej formacji uczyniło ją bardziej sterowalną, co stanowiło różnicę jakościową: to, co lewica straciła w różnorodności i wszechstronności, nadrobiła w dyscyplinie. Co dało jej pojedynczy sukces wyborczy – a potem zjazd po równi pochyłej, który do dziś się nie zakończył. I nie, nie uważam roli przystawki Tuska za zmianę trajektorii. Z drugiej strony –

Koalicja Obywatelska, podobnie jak Platforma Obywatelska, jest trzymana za twarz od zarania; tu nic się nie zmieni po tym, jak Nowacka i Szłapka staną się podwładnymi Tuska nie tylko w rządzie i w koalicji, ale także w partii.

Nawiasem mówiąc, bardzo znamienna była wypowiedź premiera na konwencji zjednoczeniowej: „Mam dzisiaj wielki respekt i wielkie uznanie dla pani przewodniczącej Barbary Nowackiej, dla przewodniczącego Adama Szłapki, dla siebie też w jakimś sensie, no bo w trójkę zdecydowaliśmy się na rzecz przecież niełatwą”… Kierownik już nawet nie udaje, że są jakieś struktury, ciała statutowe, że nie wspomnę o aktywie: ot, z dwójką podwładnych coś sobie postanowili i to by było na tyle.

To jest kierunek dokładnie odwrotny od tego, którego potrzebuje dziś formacja rządząca, jeśli po 2027 r. chciałaby nadal rządzić. Bardziej precyzyjne mieszczenie się pod butem Tuska nie rozwiąże problemów tej koalicji, która nie spełnia oczekiwań obywateli. Albowiem – przy wszystkich baśniach o „20. gospodarce świata” i „złotej dekadzie” – władza ma w dupie rozwój społeczny. Działa w dwóch trybach, jakie posiada jej lider: straszenie Ruskimi i straszenie PiS-em.

A najlepiej jeśli daje się je połączyć – jak w wystąpieniu na zjednoczeniowej konwencji, gdzie Tusk mniej więcej wprost powiedział, że PiS uprawia „zaplanowane przez Moskwę działania”. Co Kaczyński nieco mu ułatwił wystąpieniem na swojej konwencji, gdzie ogłosił, że „Niemcy chcą nam zabrać państwo, a Francuzi razem z nimi”; bo ksenofobia obu przywódców jest sobie równa, tylko czasem gdzie indziej skierowana. Tusk może nie nienawidzi UE z taką mocą jak Kaczyński – ale jego pogarda dla wartości, które legły u podstaw europejskiej wspólnoty, jest wręcz namacalna. Koncept, żeby wypowiedzieć Europejską Konwencję Praw Człowieka, bo wtedy już nie będzie musiał słuchać „sądów, zgodnie z którymi prawa człowieka są znacznie ważniejsze niż bezpieczeństwo” – to idea, na którą Kaczyński nie wpadł.

Tak, prawa człowieka są ważniejsze niż bezpieczeństwo. I każdy totalitaryzm zaczyna się od zaprzeczenia tej zasadzie.

Nie idźmy tą drogą.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Wykluczeni do wora, wór do jeziora

Wszystko przez Unię

W Ministerstwie Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej dzieją się niemiłe dla obywateli rzeczy. Z projektu nowelizacji ustawy o pomocy społecznej usunięto zapis gwarantujący podwyżkę wynagrodzenia dla pracowników socjalnych po uzyskaniu awansu zawodowego. Podległy ministerstwu PFRON cichaczem zmienił kryteria w jednym z trwających już programów i usunął ze strony internetowej jego treść, bez trybu zamieszczając nową, z mniej korzystnymi warunkami finansowania i warunkami dostępu, które odwracają całą ideę i cele projektu. To wina Unii Europejskiej – tak rząd (póki co częściowo) tłumaczy politykę zaciskania pasa. Oczywiście to gówno prawda.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Grosz do grosza

– Nie ma obecnie planów cięcia wydatków socjalnych – poinformował z końcem lipca na konferencji prasowej minister finansów i gospodarki Andrzej Domański. – Pracujemy nad budżetem, mamy w tej chwili szóste najwyższe wydatki socjalne w relacji do PKB pośród wszystkich państw Unii Europejskiej – uzupełnił minister. Brzydko się zestarzało.

Minister rodziny, pracy i polityki społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk ma dobre intencje, wygląda na to, że się stara, ale możliwości realizacji czegokolwiek – jak można było przewidzieć – ma dokładnie żadne. Niestety, wszystko wskazuje na to, że w rządzie pod wodzą premiera Tuska nie będzie prospołecznych reform. Gwoli ścisłości, tych mniej medialnych.

Wydatki socjalne to najogólniej rzecz ujmując, kasa transferowana ze środków publicznych do gospodarstw domowych w postaci różnego rodzaju świadczeń pieniężnych, rzeczowych i usług oraz fundusze na funkcjonowanie instytucji publicznych, które te wydatki obsługują. Najważniejsze wydatki socjalne obejmują sektor ubezpieczeń społecznych, ubezpieczenia zdrowotnego, pomocy społecznej oraz świadczenia rodzinne i wydatki związane z polityką rynku pracy. Warto to podkreślić, bo słynny socjal to nie tylko 800 plus i chętnie podnoszona w konfederackich dyskusjach o bezsensownych wydatkach renta alkoholowa.

Wspomniane wydatki realizowane są poprzez państwowe fundusze celowe, programy wieloletnie i środki europejskie. Jak to możliwe, że w 20. gospodarce świata nie ma ochłapów dla najbardziej wrażliwych sektorów?

Zdechła kokosza

W Polsce dramatycznie brakuje pracowników socjalnych. Liczba osób zatrudnionych w tym zawodzie maleje, mimo rosnącego zapotrzebowania na ich pracę. Robota ta, delikatnie mówiąc, do łatwych nie należy. Obciąża psychicznie i fizycznie, a zarobki są zdecydowanie nieproporcjonalne do odpowiedzialności zawodowej. Od 4970 zł do 5255 zł brutto zarabiają średnio pracownicy socjalni w poszczególnych województwach. Średnie wynagrodzenia głównych specjalistów i specjalistów koordynatorów tylko w kilku regionach przekraczają 6 tys. zł brutto – wynika z badania przeprowadzonego wiosną 2025 r. przez resort pracy. Dupy nie urywa i miało się to zmienić.

W projekcie nowelizacji ustawy o pomocy społecznej zapowiedziano „uporządkowanie ścieżki awansu zawodowego oraz wprowadzenie gwarantowanej podwyżki wynagrodzenia po jego wprowadzeniu”. Niestety, istotny fragment z projektu wyparował. Dlaczego? Bo przyszedł minister Domański i zepsuł zabawę. Resort Dziemianowicz-Bąk tłumaczy, że skreślenie podwyżek wynikało z zaleceń Ministerstwa Finansów i Gospodarki. Resort finansów zasłania się koniecznością działania zgodnie z regułami fiskalnymi, bo Polska została objęta procedurą nadmiernego deficytu (PND) od lipca 2024 r. Oznacza to konieczne wdrażanie działań naprawczych zmierzających do konsolidacji finansów publicznych i obniżenia deficytu w kolejnych latach, co także będzie ograniczać przestrzeń na możliwe zwiększanie wydatków budżetowych.

PND to mechanizm UE uruchamiany, gdy deficyt sektora finansów publicznych danego państwa przekroczy 3 proc. PKB lub gdy dług publiczny wyjedzie poza 60 proc. Ma na celu skłonienie państw do korekty ich deficytu budżetowego poprzez realizację zaleceń rady UE w określonym terminie w celu zapobiegnięcia destabilizacji gospodarczej. Co istotne, Unia Europejska nie wymusza bezpośrednio cięć w konkretnych obszarach budżetowych, takich jak edukacja, opieka zdrowotna czy programy socjalne. Ponieważ UE szanuje suwerenność budżetową państw, to kraj decyduje, czy podniesie podatki dla najbogatszych, czy obniży renty. I jeszcze ciekawostka: wydatki na obronność są wyłączane z limitów ścieżki wydatków netto, jeśli przekraczają średnią UE (ok. 1,5 proc. PKB w 2024 r.). W przypadku Polski, której wydatki na ten cel w 2025 r. wyniosły ok. 4 proc. PKB, nadwyżka ponad średnią UE nie jest wliczana do limitów fiskalnych. Przekładając z ekonomicznego na polski: można zwiększać budżet obronny bez konieczności ograniczeń finansowych w innych obszarach, nawet w procedurze nadmiernego deficytu…

Prętem i pałką

Socjal i prawa pracownicze to nie są akurat pozycje, z których powinny być wyciskane oszczędności, ale cóż szkodzi spróbować. Na forach rodziców i opiekunów dzieci niepełnosprawnych od kilku dni wrze. Dopiero co świętowaliśmy piątą rocznicę wprowadzenia zakazu „aborcji eugenicznej”, a już się oberwało osobom z tzw. najgłębszymi niepełnosprawnościami i niepełnosprawnościami sprzężonymi.

W latach 2022–2023 pisowski rząd sporządził program Wspomaganych Społeczności Mieszkaniowych. To domy, w których będą mogły żyć osoby z niepełnosprawnościami, wymagające wysokiego poziomu wsparcia. Ku zdziwieniu wszystkich zainteresowanych PFRON cichaczem dokonał „korekty” zasad finansowania programu. Zwyczajnie obniżył finansowanie i tak już zdewaluowanych stawek nominalnych sprzed dwóch lat. Np. według pierwotnej wersji programu z 2023 r. utrzymanie miejsca wraz z opieką dla osoby niesamodzielnej z 95 punktami (na 100 możliwych) ustalonymi przez lekarza orzecznika ZUS wyceniono na 15 tys. zł miesięcznie. W nowym kosztorysie kwotę dla tego samego podopiecznego wyliczono już tylko na 13,2 tys. zł.

Żeby nie było za wesoło, w odświeżonej wersji projektu nieco podkręcono kryteria pierwszeństwa rekrutacji, tak aby uderzyły w osoby najsłabsze i niesamodzielne. Otóż m.in. pierwszeństwo mają mieć osoby, które samodzielnie prowadzą gospodarstwo domowe, choć wspomagane społeczności mieszkaniowe to forma zbiorowego mieszkalnictwa dla osób niebędących w stanie funkcjonować nawet w dostosowanym mieszkaniu przy wsparciu asystenta (jak np. aktywna społecznie i zawodowo osoba poruszająca się na wózku). Mniej punktów od lekarza orzecznika, budżetowi lżej.

Na razie Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej nie odniosło się do sprawy, ale przypuszczenie graniczące z pewnością zdaje się wskazywać, skąd wieje wiatr zmian…

Zamiast zwiększać wpływy do budżetu poprzez opodatkowanie tłustych kotów, miłościwie nam panujący wolą walić w obszary wrażliwe społecznie i budować prawicy pas startowy do władzy, na dokładkę podlewając benzyną antyunijne pożary.

To dopiero początek golenia poszczególnych resortów. Zresztą podejmowane w nich decyzje są drugorzędne. Władzę ma ten, kto kontroluje Ministerstwo Finansów, reszta to tylko petenci skamlący na wycieraczce neoliberałów.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 1d3e1214be

Ze wspomnień parlamentarzysty



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jak zostałem latającym Żydem

To Bruksela ocaliła mą polskość

Wiem, że dziś przyznawanie się do jakichkolwiek związków z Żydami grozi bojkotem towarzyskim ze strony młodych, lewicowych środowisk. Hejtem i wyzwiskami. Ale prawdzie trzeba dać świadectwo. Przeszłość, nawet najbardziej bolesną, trzeba rozliczyć.

Żydem latającym zostałem z chciwości. Typowej, bo polskiej.

Czkawka po WC

Namówił mnie do tego narodowo-patriotyczny szołmen Wojciech Cejrowski. Przy okazji wysmażania wspólnego programu telewizyjnego.

Cejrowski był wtedy gwiazdą „WC Kwadransa", pierwszego hardcor'eowego prawicowego programu telewizyjnego. Za liczne obelgi pokochano go na prawicy i w seminariach duchownych. Znienawidzono – w liberalnym centrum i na lewicy wszelkiej maści.

Ja, po 10 latach redagowania tygodnika „NIE" i czterech latach posłowania, byłem znanym „bijącym sercem lewicy". Czasem przywalającym.

Nic dziwnego, że reżyser Paweł Pitera wpadł na szatański pomysł. Chciał połączyć mój lewicowy żar z wrzącą cejrowską wodą święconą. Stworzyć publicystyczną mieszankę wybuchową, która rozsadzi ramy dotychczasowych form telewizyjnych. Nowy rewelacyjny tok-szoł pod zajebistym tytułem „WC – GADZINA".

Pomimo tak atrakcyjnej receptury mikstura nie wystrzeliła. Na nic były reżyserskie zabiegi, fajerwerki pomysłów, próby szczucia nas wzajemnie. Nie zaiskrzyło między nami. Nadawaliśmy na innych falach. Może niespodziewanie ujawniły się nasze głęboko skrywane pokłady empatii?

Tak to telewizyjną gwiazdą nie zostałem, co zapewne zauważyliście.

Zostałem za to Żydem. Szczególnym, bo bywałem nim jedynie po oderwaniu się od polskiej ziemi. Tej, której Ślimak z „Placówki" nie chciał sprzedać Niemcom, gorzej dziś od Żydów na prawicy notowanym. Zostałem, bo przy okazji pogaduchy o podróżach ekspercki Cejrowski poradził mi, abym przed każdym lotem zagranicznym zamawiał sobie jedzenie koszerne. Przekonywał, że dania koszerne serwowane w klasie ekonomicznej są większe i smaczniejsze od chrześcijańskich.

Skuszony cięższą gramaturą darmowej wyżerki wyparłem się polskości wielokrotnie. Na świński ryj gadzi przeszedłem na żydostwo.

Kiedy byłem młodym posłem hej, latałem zwykle z Warszawy na posiedzenia plenarne i trzech komisji Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. Tam przez lat sześć pracowałem.

W sejmie bilety kupowało mi Biuro Spraw Międzynarodowych, spersonifikowane w postaci niezwykle kompetentnych pań. Ponieważ sejm zarządzany był wtedy przez lewicowych marszałków, to zaczął na posłach oszczędzać. Nakazano kupować mi bilet najtańszy, klasy najniższej, nierzadko z długimi przesiadkami na lotniskach. Bo polski poseł za samo oderwanie się od ziemi krwią przodków skąpanej zniesie wszystko.

Zachęcony przez Cejrowskiego udałem się do BSM i poprosiłem o dopisanie do znanych już tam mych biletowych preferencji, czyli „miejsce przy oknie, ale nie na skrzydle" – bom mąż postury niewysokiej, łatwo mieszczący się pod zaokrąglonym sufitem i sentymentalnie gapiący się – jeszcze jednego wymagania. *Kosher meal*. Nie przypuszczałem, że jeden krótki zapis tak radykalnie zmieni mój pasażerski status.

Płynne pożytki z żydostwa

Do tej pory, przycupnięty pod oknem, wtopiony w zaległe lektury, mogłem niezauważony dolecieć nawet do Hongkongu. Teraz rychło po osiągnięciu wysokości przelotowej, zaraz po komendzie „Można rozpiąć pasy, ale lepiej zostawcie zapięte", rozlegało się w samolocie donośne pytanie najstarszej stewardesy: „Który z pasażerów zamawiał jedzenie koszerne?" I wtedy w samolocie wszystkie pasażerskie rozmowy nagle cichły. Bo wtedy spod okna, oczywiście nie tego przy skrzydle, wysuwała się moja pazerna rączka. Potwierdzająca to zamówienie.

Czułem na niej od razu nie tylko uśmiech ulgi stewardesy, bo szybko i bezproblemowo zlokalizowała znanego jej jedynie z elektronicznego zapisu niezidentyfikowanego pasażera Żyda, ale też palące spojrzenia wszystkich współpasażerów siedzących wokoło.

Od tych ciekawych jak wygląda taki prawdziwy, „koszerny" Żyd, poprzez zimne spojrzenia karcące mnie za notoryczne niedotrzymywanie i nierespektowanie kilkuset rezolucji ONZ przez państwo Izrael oraz obwiniające mnie dodatkowo za zbrodnie na narodzie palestyńskim. Aż po spojrzenia pełne nagłego przerażenia. Bo jawny Żyd na pokładzie nieżydowskiego samolotu często bywa postrzegany jak biblijny Jonasz na statku. Wieszczy katastrofę.

Potem odczuwałem recydywy takich spojrzeń. Kiedy wędrowałem do położonej w ogonie samolotu toalety. Zdziwione, że ten zdemaskowany koszerny nie ma na sobie żadnych widocznych oznak charakterystycznych dla stereotypowego żydostwa. Nawet rachitycznych pejsów. Czasem, na liniach niechrześcijańskich, tureckich i arabskich, czułem też ciężkie, zawiesiste, wręcz nienawistne spojrzenia.

Na szczęście od zidentyfikowania rozpoczynało się łechtanie mojego nadal gojowskiego ego. Abonent koszernego żarcia jest bowiem w samolocie, nawet w arabskiej klasie ekonomicznej, traktowany z najwyższą atencją. Lepiej niż wegetarianin, nawet niż dziecko.

Wcześniej niż wszyscy inni dostaje pakiet z posiłkiem w pudle starannie opieczętowany rabinackimi certyfikatami. Urocze i przeszkolone na wypadek kontaktu z żydowskimi religijnymi ortodoksami stewardesy uniżenie pytają, czy mogą mi podgrzać przygotowane w pakiecie danie do podgrzania. Bo czasem jako ortodoksyjny ortodoks mogę nie życzyć sobie ich niekoszernego dotyku.

Jak spodziewacie się, zawsze wybierałem sobie status nieortodoksyjnego koszernego. Ależ podgrzewaj, dotykaj – zachęcałem wystraszone moim koszernym statusem stewardesy. W przyjętym przeze mnie pakiecie koszernych wartości nie było mowy o złym dotyku stewardes.

Ze zdziwieniem, a potem najwyższym zachwytem, zauważyłem, że stewardesy bez zdziwienia i najmniejszego gestu dezaprobaty przyjmują moje, początkowe nieśmiałe, zamówienie na dwa szybkie koniaczki i dwa wolniejsze wina. A potem elegancko donoszą kolejne zamawiane przeze mnie drinki, chociaż mam bilet klasy ekonomicznej, i tyle płynów, wedle taryfy i firmowych zwyczajów, absolutnie mi się nie należy. Ale status człowieka religijnego wpisany koszernym kodem dodawał mi szacunku godnego pasażera klasy premium.

Stewardesy wszystkich linii dbają o poprawność polityczną i mają zakodowany respekt dla multikulturowości. Po licznych szkoleniach wiedzą zapewne, że na tym zglobalizowanym świecie bywają różne formy modlitwy w przeróżnych religiach. W japońskich świątyniach sintoistycznych zgromadzona tam sake ma moc oczyszczającą dusze. Wiedzą, że każdą formę kultu trzeba, na wszelki wypadek, uszanować. Zapewne nabożność, z jaką oddawałem się procesowi utylizacji przynoszonych mi płynów, sprawiała, że każdy mój łyk nabierał w ich oczach modlitewnego charakteru.

Nie dziwcie się temu. Chrystus przemieniał kiedyś wodę w wino, ja czyniłem to samo, tylko z przeciwnym wektorem tego procesu.

Mediolan tak, Okęcie nie

I na tym mój kontakt z koszernością mógłby się w przestworzach skończyć. Bo dzięki niemu każdy wzlot nabierał dodatkowych metafizycznych walorów. Niestety, do regularnie przynoszonych mi drinków dostawałem też pakiety tego koszernego żarcia. Naprawdę duże. Aż tak pokaźne, że czasami trudno było je od razu wyrzucić. Jeść trzeba było. Oczywiście niektóre zestawy dawały się nawet zjeść. I to bez dłuższej modlitwy wstępnej.

Zapamiętałem menu firmowane przez grand rabina Paryża monsieur Messasa. Jego baranina w sosie pomidorowym z kluseczkami nie odbiegała wyglądem ani smakiem od najlepszych dań laickich.

Spokojnie zjadałem koszerne papu polecane przez rabina Wiednia wykorzystującego gojowskie smaki firmy Trześniewski.

Rewelacyjny był łosoś w sosie miętowym podawany przez rabina Rabatu, a na deser jego koszerne wspaniałe marokańskie makaroniki.

Latać się chciało z daniami sygnowanymi przez rabina Mediolanu. Już sam design jego pakietu bił po gałach ocznych włoskim glamurem.

Ale ciężko było być Żydem, wylatując z warszawskiego Okęcia. Macierzystego portu. Tam koszerny monopol miała firma prowadzona przez rabina z Antwerpii. To, co oferował swoim jeszcze wierzącym braciom i siostrom, przypominało najczarniejsze chwile radzieckiego Areofłotu. Zawsze twardy, jak kiedyś Ari Szaron, gotowany kurczak. Podawany ze zbrylonym ryżem. Gdyby tak ugotowany ryż dostałby do jedzenia Żyd Japończyk, od razu popełniłby rytualne samobójstwo.

Nie był to koniec rabinackich gastronomicznych tortur. Do antwerpskiego pakietu obligatoryjnie dodawał on koszmar dzieciństwa każdego wrażliwego gojowskiego chłopca. Rozgotowaną marchewkę!

Jak człowiek może człowiekowi zgotować taki los, tak ohydny posiłek!

Zapewne ten antwerpski rabin musiał być ukrytym ortodoksyjnym antysemitą! On nawet pasztet łososiowy faszerował gotowaną marchewką! Hara zupełna. Puc nie rabin, zwykły szmok. Od takiego gotowania wszystko się może w człowieku zagotować. Fuj, fuj, fuj! Hara szel ha haim. Po naszemu: gówno, nie życie.

Polak, nie-Polak, znów Polak

W Polsce, jak wiecie, nic się długo nie ukryje, a zwłaszcza skrywane żydostwo. Nawet latające.

Do czasu spotkania z Cejrowskim byłem w sejmie – pomimo mej niekwestionowanej inteligencji, pracowitości i wyrafinowanego poczucia humoru – uznawany za stuprocentowego Polaka. Nawet mój nochal, sterczący jak klamka od rzymskokatolickiej zakrystii, nie wpisywał mnie na obficie kolportowane w naszym kraju listy posłów – skrytych Żydów. Nawet praca u jawnego Żyda Urbana nie obrzezała mi polskości.

Jednak liczne i cykliczne bilety z jednoznacznym kodem *kosher* szybko upubliczniły się. Sprawiły, że stałem się obiektem stałego i szczególnego zainteresowania narodowych, patriotycznych rzymskich katolików.

Najpierw przykazywano mi plotki i pogłoski. Potem dostawałem kopie i odpisy krążących po parafiach religijnych pisemek. Bywałem w nich już nie tylko polonofobem, najgorliwszym niszczycielem narodu polskiego i Kościoła katolickiego. Do długiej listy znanych mi obelg dodawano nowe. Byłem tam już koszernym pomocnikiem Urbana, a nie jego szabes gojem, jak wcześniej mnie oceniano. Zostałem też ujawniony jako „wychowanek Aleksandra Kwaśniewskiego, czyli Ariego Stolzmana". Tak to wybrańca narodu polskiego wpychano do narodu przez Boga wybranego.

I pewnie załapałbym od huśtawki ziemia–powietrze modnego wtedy psychodoła, gdybym nie podzielił się strapieniami ze znajomymi mi żydowskimi Żydami. Ci zaśmieli się po rabinacku, a potem zgodnie stwierdzili, że tachat – czyli swój – i polecili mi dentystę z Milanówka. Jedynego wówczas, który potrafił rozwiązać tożsamościowe problemy goja cięciem godnym brzytwy Ockhama. Ze znieczuleniem miejscowym zresztą. Do Milanówka, aby zostać też Żydem lądowym, jednak nie dojechałem. Bo w maju 2003 r. zostałem też posłem – obserwatorem Parlamentu Europejskiego.

Obserwując ten parlament, nie zarabiałem tyle, ile dziś eurodeputowani, zyskałem za to prawo do lotów na ich, czyli europejskim, poziomie. Prawo do kupowanych mi przez służby Parlamentu Europejskiego biletów na poziomie first class i business class. Ze stosownym dla tych klas serwisem gastronomicznym. Nawet na tak banalnych trasach jak Warszawa–Bruksela czy Warszawa–Strasburg.

I patrząc wtedy na ziemię już z nowej, wyższej classowo perspektywy, dostrzegłem, że zbyt

pochopnie sprzedawałem swą polskość. To prawda, że moje samoużydownienie się dawało w economy class większą gramaturę żarcia i pojemność modlitewnych płynów. Lepszy gastronomiczny status. Ale już w business class ortodoksyjnym Żydem nie opłaca się być.

Tam porcje laickie większe są, smaczniejsze i w lepszym wyborze niż te koszerne. Trunków na tamtym poziomie też nie wydzielają. Wtedy przestałem zamawiać koszerne jedzenie. Bo zauważyłem przy okazji, że w samolocie, tak jak w ogóle w życiu, od poziomu business wszelka religijność i ortodoksja już się nie opłaca. Bo nie ma tam statusowych różnic wobec reprezentantów różnych religii i narodów. Zauważyłem też, że szczucie na inne wyznania i narodowości udaje się w klasach niższych ekonomicznie.

Tak to brukselska biurokracja, fundując mi wyższą klasę, ocaliła moją zagrożoną substancję narodową. I ostatecznie przywróciła mnie na polskości łono.

PIOTR GADZINOWSKI

eprasa.pl 1d3e1214be

Zamiast broń kupować, spróbujmy ją sprzedawać.

Polska zbrojna



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Ze zgodnych opinii analityków rynku zbrojeniowego i kapitałowego wynika, że w najbliższym dziesięcioleciu Polska wyda na zakup sprzętu militarnego ponad 640 mld zł – a uwzględniając koszty serwisu i utrzymania, rachunek ten może się zamknąć kwotą 1229 mld zł. Aktywa przeznaczone na wojsko będą rekordowe już w roku 2026, a w kolejnych mają tylko rosnąć.

W tym roku Polska przeznacza na obronność 4,5 proc. PKB, co ustawia ją w gronie światowych liderów wydatków i czyni drugim na świecie – po Arabii Saudyjskiej – klientem amerykańskiego przemysłu zbrojeniowego. A w niedawnej jeszcze historii, bo w 2014 r., wydatki militarne państwa stanowiły zaledwie 1,9 proc. polskiego PKB…

Polska od lat kupuje od amerykańskich karteli zbrojeniowych samoloty bojowe, czołgi, systemy przeciwlotnicze i artylerię rakietową. To właśnie USA są największym światowym eksporterem uzbrojenia, a ich udział w światowym eksporcie w latach 2020–2024 wyniósł 43 proc. Tylko w roku 2024 wartość eksportu amerykańskiego uzbrojenia, sprzętu i usług militarnych przekroczyła 318 mld dolarów, co oznacza wzrost o 29 proc. w porównaniu do roku poprzedniego. Słowem: to produkcja militariów i rynek zbrojeniowy napędzają gospodarkę Stanów Zjednoczonych. Firmy zbrojeniowe wspierają kolejnych prezydenckich kandydatów – niejednokrotnie obydwu partii naraz – szczodrymi donacjami na kampanie wyborcze. Co oznacza, że my – polscy podatnicy – także dorzucamy się do kampanii amerykańskich prezydentów.

Szef polskiej dyplomacji rozumie, jak się zdaje, istotę naszych stosunków bilateralnych ze Stanami Zjednoczonymi – acz jedynie nieoficjalnie. „Bullshit, skonfliktujemy się z Niemcami, Francuzami… Bo zrobiliśmy laskę Amerykanom. Frajerzy, kompletni frajerzy. Problem w Polsce jest, że mamy płytką dumę i niską ocenę. Taka murzyńskość” – mówił Radosław Sikorski u Sowy. Szkoda tylko, że oficjalnie nieustannie mówi o Ameryce jako największym sojuszniku i przyjacielu Polski.

Knajpianą tezę Sikorskiego potwierdził – bardziej dyplomatycznie i oficjalnie – premier Tusk: „Pamiętajmy, że my w Polsce bardzo poważnie wywiązujemy się nie tylko ze swoich obowiązków sojuszniczych, ale też obecność żołnierzy amerykańskich w Polsce jest wsparta bardzo masywnie polską pomocą finansową w tym przedsięwzięciu. Nikt w Europie nie wydaje tyle pieniędzy na swoje bezpieczeństwo, w tym na obecność amerykańskich wojsk, jak Polska”…

Nasz Donald zapomniał powiedzieć Donaldowi amerykańskiemu, że tylko Polska – jako najwierniejszy sojusznik w NATO – płaci żołd jego żołnierzom. Potwierdza to wicepremier polskiego rządu Władysław Kosiniak-Kamysz, mówiąc, że „partycypujemy w kosztach pobytu wojsk amerykańskich w Polsce, to nas różni od naszych zachodnich sąsiadów. Przeznaczamy ok. 15 tys. dolarów na jednego amerykańskiego żołnierza rocznie”. Wicepremier podkreśla, że jest to „wielka inwestycja”, a nie wydatek, ale można odnieść wrażenie, że w Polsce gościmy nie natowskich sojuszników, ale amerykańskich najemników.

Dodać by należało, że w cenę amerykańskich najemników nie został wliczony koszt ich strategicznej bazy, o której mówi Kosiniak-Kamysz: „Jesteśmy gotowi na przyjęcie większej liczby żołnierzy amerykańskich. Budujemy koszary, tworzymy nowe poligony”. Zachowując wierność zasadom wojny polsko-polskiej, Kosiniak-Kamysz nie wspomina o budowie „Fortu Trump”, o którym z takim rozmarzeniem mówił prezydent Duda: „Wtedy uśmiechałem się i mówiłem, że to będzie taki Fort Trump tutaj, w Polsce. Ale dzisiaj po tej rozmowie mogę państwu już bez uśmiechu, spokojnie powiedzieć, że głęboko w to wierzę, że faktycznie Fort Trump naprawdę powstanie w naszym kraju i że ten okres prezydentury Donalda Trumpa to będzie umacnianie polsko-amerykańskiego sojuszu, także i militarnego”… To właśnie tak robi się laskę.

Za rządów Tuska polski przemysł zbrojeniowy rośnie w siłę. Jego przychody wzrosły dwukrotnie od 2020 r. – w zeszłym osiągnęły 31,2 mld zł. W Polsce działa obecnie blisko 450 firm związanych z szeroko pojętym sektorem zbrojeniowym. Większość z nich to przedsiębiorstwa działające na rynku cywilnym, ale około 15 proc. stanowią firmy stricte zbrojeniowe, dla których ten rynek stanowi główne lub jedyne źródło przychodów. Analizy ekonomistów PKO wskazują, że poprzez zwiększenie udziału produkcji krajowej w militarne bezpieczeństwo można osiągnąć wzrost PKB nawet o dodatkowe 360 mld zł. To, że wojny przynoszą śmierć milionom ludzi, to taka sama prawda jak to, że mnożą majątki militarystycznym oligarchom. Historia zna jednak wiele przykładów zastosowania wojennych technologii zarówno w życiu codziennym, jak i w rozwoju gospodarczym ludzkości. To z militarnej potrzeby zrodził się internet i GPS oraz układy scalone, że o energetyce jądrowej nie wspomnę.

Polska, jak zwykle, żadnych korzyści wojennych z konfliktu rosyjsko-ukraińskiego nie osiągnie, bo my nawet na błędach uczyć się nie potrafimy. Uczmy się zatem od ukraińskich żołnierzy chociaż polować na rosyjskie bezzałogowce. Ukraińska armia początkowo radziła sobie z nimi, używając zwykłych strzelb myśliwskich. Dziś stworzyła specjalistyczną amunicję oraz wyspecjalizowane w walce z dronami siatkomioty.

Rosyjskie wabiki mają na celu wyłącznie prowokację i zużycie potencjału militarnego przeciwnika. Taka Gerbera, dron z plastiku i styropianu, kosztuje od 10 do 20 tys. dol., natomiast pocisk AMRAAM, z którego strzelano do tych rosyjskich zabawek, kosztuje 2–2,5 mln dol.

Szef Sztabu Generalnego Wojska Polskiego gen. Wiesław Kukuła odpowiada: „Nie liczy się wartość rakiety użytej do zestrzelenia drona, liczy się wartość tego, co ten dron może zniszczyć.

Życie Polaka nie ma ceny. Użyjemy sto razy droższej rakiety, jeśli uratujemy życie choć jednego Polaka”… Nie na tym, panie generale, polega jednak polowanie. Każdy polski myśliwy wie, że do kaczorów strzela się ze śrutówki, a na niedźwiedzia idzie się z rusznicą.

Myśliwiec F-35 to nie taksówka, w której trzaśnięcie drzwiami kosztuje 10 zł. Samo ich poderwanie to koszt liczony w setkach tysięcy dolarów, nie mówiąc już o koszcie rakietowych pocisków, które przypadkiem trafiają w chałupę. W Polsce istnieje kilka firm gotowych do produkcji systemów antydronowych. Te systemy trzeba sprawdzić w warunkach bojowych – o co zapewne można poprosić Ukraińców.

Pełnoskalowa militarna konfrontacja z Rosją jest perspektywą nader wątpliwą. Dlatego na dzisiaj kluczowe dla Polski powinny być inwestycje związane z cyberbezpieczeństwem i budową infrastruktury, która będzie równie użyteczna w czasie pokoju, jak i w razie ewentualnego konfliktu. Istotnym elementem polityki zbrojeniowej powinno być też znalezienie równowagi między szybką modernizacją sił zbrojnych a budową długoterminowych zdolności przemysłu zbrojeniowego. Inwestycje w krajowy sektor obronny wzmocnią konkurencyjność polskiej gospodarki na globalnym rynku militariów.

Jeśli postawimy na nasz krajowy przemysł zbrojeniowy – zamiast napychać kieszenie zagranicznym producentom – to będziemy i bezpieczniejsi, i bogatsi. A jeśli za zachętą i za pieniądze państwa stworzymy sprzęt, który będzie chciała kupować od nas reszta świata – dochody będziemy mogli przeznaczyć na oświatę, ochronę zdrowia i budownictwo mieszkaniowe.

Póki co jednak nie tylko nie mamy polskiego samochodu, a nawet większość hulajnóg elektrycznych sprowadzamy z Chin.

TADEUSZ GAWLIK

Polityka gwałtu

Będzie źle, ale może być lepiej

Polska polityka należy do najbardziej konserwatywnych w Unii Europejskiej. No bo jak nie my najbardziej, to kto bardziej?! Polska polityka należy także do najbardziej neoliberalnych w Europie. No bo jak nie nasi, to kto ma stanąć na szczycie pudła?! W którym z europejskich krajów od 20 lat wybierani są radykalnie konserwatywni prezydenci? No bo przecież od 2005 r. Lech Kaczyński, Bronisław Komorowski, Andrzej Duda, a teraz Karol Nawrocki – możliwe, że nawet na najbliższe 10 lat. Kto, jak nie my, od 20 lat wybiera pomiędzy dwiema konserwatywnymi i neoliberalnymi partiami politycznymi? To my – dumni Polacy. Ta polityka to nasze dziecko. Kochać należy wszystkie dzieci, ale nie sposób nie dostrzec problemu, że to nasze dziecko jest owocem brutalnego gwałtu.

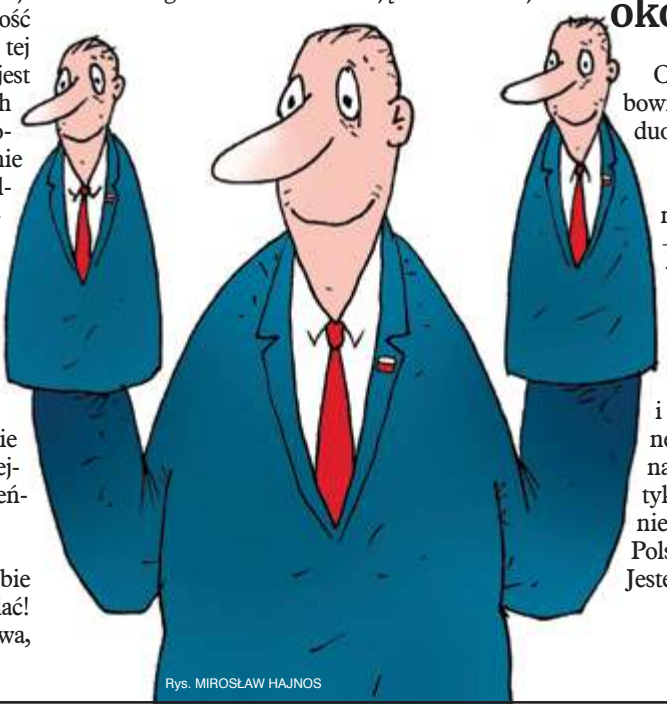
Polska polityka jest owocem działania zorganizowanej grupy przestępczej, gdzie u szczytu hierarchii stoi kilku pozornie sobie wrogich facetów w garniturach i sutannach. Są dogadani tak, aby móc dokonywać na nas zbiorowego politycznego gwałtu. Bo jak można inaczej nazwać sytuację, w której zdecydowana większość społeczeństwa pragnie, aby polityka dbała przede wszystkim o wystarczający poziom ich materialnego życia i bezpieczeństwo oraz – co chyba najbardziej oczekiwane – zapewniła wolność? Wolność do przeżywania swojego życia w harmonii z innymi ludźmi na swój sposób. Wolność obejmującą (jak sądzę) ogólnoludzki konsensus dotyczący praw człowieka. Nie wątpię, że podobnie jak ja, Ty także widzisz, iż polska polityka ma niewiele wspólnego z naszymi pragnieniami.

W świetle tych konkluzji staje się jasne, że gdyby realnie działała demokracja, jaka istnieje w naszych wyobrażeniach, to wtedy większość obywateli zmiotłaby tę polityczną bandę z przestrzeni polityki. Niestety, według makiawelistycznej zasady „dziel i rządź” bandyci znajdują coraz to nowe sposoby, aby wyprawiać nas na front wojny, w której celem jest ich władza, a nie nasze dobro. Przy okazji każdych wyborów odbywa się gwałt – konieczność głosowania na jedną ze stron tylko po to, aby tej drugiej uniemożliwić zwycięstwo. W efekcie jest tak, że nasze cele – aspiracje społeczne, o jakich pisałam wyżej – pozostają poza nawiasem realizowanej polityki, a na powierzchnię wypływa jedynie szumowina konserwatywnego konsensusu walczących politycznych opcji. To dlatego ze względu na napięcia społeczne coraz mniej spokojni jesteśmy o nasze bezpieczeństwo. Dlatego coraz gorzej funkcjonują usługi publiczne (ochrona zdrowia, pomoc społeczna, system emerytalny, komunikacja publiczna, ochrona środowiska naturalnego itd.). Dlatego od lat odbiera się nam wolność wyboru sposobu życia, a nawet decydowania o swoim ciele. Kobiety nie są w stanie mieć możliwość wyboru co do prokreacji, a mniejszości nie są w stanie zapewnić sobie bezpieczeństwa i równych praw z resztą społeczeństwa.

Konserwatywno-liberalna chewra zdaje sobie sprawę, że o wolności trzeba gadać. Ale tylko gadać! Ich „wolność” sprowadza się jednak do kłamstwa, że istnieje wolność bez równości. Dlatego kiedy to słyszysz, przyjacielu, pytaj: o czyją wolność chodzi? Do robienia czego? Bo zawsze okazuje się, że mają na myśli jedynie wolność do robienia wszystkiego tego, na co mają ochotę, bez zwracania uwagi na to, jakie powoduje to konsekwencje dla innych ludzi. To nie jest wolność. To prymitywna „walka o ogień”.

Ale co teraz? Co dalej? Czy nadal będziemy gwałceni z pistoletem przystawionym do głowy? Obecna opcja rządząca martwi się srodze, żeby nie dopuścić za dwa lata koalicji nazistowsko-pisowskiej do zdobycia większości konstytucyjnej. Jednak kompletnie nie ma pojęcia, jak to zrobić. Mogliby zacząć realizować prospołeczną politykę, ale nie – oni tylko „reorganizują rząd”.

Natomiast opcja obecnie opozycyjna uważa, że wcale nie jest im konieczna większość konstytucyjna. Oni chcą sądów, mediów, policji i wojska oraz korzystnej ordynacji wyborczej, żeby ich reżim mógł udawać demokrację. W minionej kadencji już to wszystko niemal wzięli. Sądzą, że teraz zostanie im tylko domknięcie nad sobą klapy tego śmietnika. A zatem nie liczmy na porozumienie między tymi politykami. Oni nie zrealizują naszych celów.


Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Czas pogodzić się z tym, że najbliższe wybory wygra opcja konserwatywno-faszystowska. Ale w tym kryzysie kryć się będzie szansa na upadek duopolu i mobilizację społeczeństwa w nowych okolicznościach polityki.

Coraz silniejsze emocje wyborców skierują się bowiem przeciwko szantażystom z bandyckiego duopolu – pojawią się alternatywne możliwości.

To, co teraz napiszę, zabrzmi idealistycznie: szukajmy porozumienia między nami – między ludźmi, którzy do tej pory na nich wszystkich głosowali. Ale przecież wielokrotnie w historii idee zmieniały świat. Teraz to nasza szansa. Organizujmy się – dosyć partyjniackiej polityki. Coraz wyraźniej bowiem widać – jak choćby w badaniu Sadury i Sierakowskiego – że ludzie pragną radykalnej zmiany. Stwórzmy nową falę mobilizacji na bazie naszej złości wobec aktualnego politykierstwa. Ale tym razem taką falę, która przyniesie zmianę totalną. Trzeba oddać wreszcie Polskę obywatelom, a nie partyjniackiej hucpie. Jesteśmy w większości!

ANNA GRODZKA

eprasa.pl 1d3e1214be

Psychoza czy dwubiegunówka?

Psychopatologia polskiej polityki

Im dłużej przyglądam się polskiej polityce, tym krótszy mam lont, by się odpalić. A jednocześnie wciąż, mimo dziesiątków tekstów naukowych (że o publicystyce nie wspomnę) jej poświęconym, permanentnie odnoszę wrażenie, że coś istotnego mi umyka. Że istnieje jakiś ważny wymiar polityki, który jest nie dość eksplorowany, jawiąc się jako kwestia leżąca poza polem nauk o polityce. Tu raczej przydaje się wiedza z innej dziedziny na „p" (a nie jest to pierdolenie, jakże częste zarówno u rządzących, jak i opozycji), a mianowicie – psychiatrii. No bo polska polityka to nie tylko – i nie tyle – w czystej postaci patologia, lecz pod ważnymi względami psychopatologia.

Tu przypomina mi się piosenka „Choroba" Dezertera, w której słyszymy:

„A gdyby spojrzeć na to inaczej,
Wyobraź sobie taką sytuację:
Zaczyna rządzić schizofrenik,
Który ma bardzo dziwne wizje.
Wyobraź sobie taką sytuację,
Wariat dochodzi do władzy,
Kompletny idiota zaczyna rządzić
I nie ma na to rady".

Gdyby klasa polityczna w naszym słodko-gorzkim państwie była jednostką, to należałoby się zastanowić, jakie konkretne dysfunkcje można jej przypisać. Skupię się na dwóch: zaburzeniach psychotycznych i chorobie afektywnej dwubiegunowej (ChAD), dawniej zwanej cyklofrenią, dziś – potocznie – dwubiegunówką.



Rys. TOMASZ WIATER

Zaburzenia psychotyczne

Jak zauważa Joanna Szmyd w artykule „Błędne ścieżki umysłu. Zaburzenia psychotyczne – co powinniśmy o nich wiedzieć?", opublikowanym na łamach „Psychologii w Praktyce" w 2019 r., psychoza „nie oznacza konkretnej choroby, a zespół objawów wywołanych przez chorobę (taką jak np. schizofrenia) lub poprzez inne czynniki, sprawiających, że jednostka doświadcza trudności w ocenie i w kontakcie z rzeczywistością. Zaburzenia psychotyczne są niezwykle dotkliwe dla pacjenta".

Obawiam się, że „trudności w ocenie i w kontakcie z rzeczywistością" to coś, co w środowisku rodzimych polityków jest nawet nie epidemią, lecz wręcz pandemią. Żyją oni we własnym świecie, który – mówiąc pretensjonalnie – jest autoreferencyjny, a mówiąc po ludzku, zajmują się głównie samymi sobą. Problemy społeczne, często palące i nierozwiązane od wielu lat, są poza horyzontem ich myślenia. Bez względu na barwy polityczne nieustannie najbardziej interesuje ich, wręcz fascynuje, co kto powiedział w szkiełku lub na portalu X, jaki filmik nagrał na TikToku. Chorobę podsycają ludzie mediów podstawiający mikrofon pod gębę i pytający: „Poseł X z partii Y nazwał pana kurwą i złodziejem, co pan na to?".

Jak podkreśla Szmyd, „charakterystyczne dla psychoz jest występowanie objawów wytwórczych, nazywanych w schizofrenii także objawami pozytywnymi. Zaliczamy do nich halucynacje i urojenia. Objawom tym towarzyszą najczęściej inne objawy psychopatologiczne, np. zaburzenia toku myślenia i zaburzenia emocji – najczęściej w postaci nieadekwatnego lub niewłaściwie modulowanego afektu. Obserwuje się też zazwyczaj pobudzenie psychoruchowe lub stan przeciwstawny – zastyganie".

Halucynacje i urojenia stanowią nieodłączny element aktywności polityków, zwłaszcza z prawej strony. Kaczyński czy Macierewicz uroili sobie, że w Smoleńsku był zamach, bombę podłożyli ludzie Putina, a dostarczył ją Tusk, co widać po jego „wilczych oczach". Konfederaci mają urojenia, że w następnym sejmie znajdą się liczni Ukraińcy, choć w realu stanie się tak najwyżej po obradach, w ramach prac serwisu porządkowego. Braun roi sobie, że Unia Europejska chce wchłonąć Polskę, spedalić ją, zaludnić ludźmi o obcym pochodzeniu etnicznym, religii i kolorze skóry, a niedoszłym matkom-Polkom będzie się robić przymusowe aborcje, aby nasz naród wyginął.

Dwubiegunówka

ChAD – czytamy w artykule Aleksandry Gorostowicz i Marcina Siwka zatytułowanym „Trudności w diagnostyce choroby afektywnej dwubiegunowej" („Psychiatria i Psychologia Kliniczna", 2018 r.), – „cechuje się wysoką nawrotowością, wczesnym początkiem, rodzinnym występowaniem i tendencją do progresji".



Rys. TOMASZ WIATER

Jej rodzinne występowanie i wczesny początek widać szczególnie u partii postsolidarnościowych, zwłaszcza PO–PiS-u. Solidarność przez parenaście miesięcy, aż do wprowadzenia stanu wojennego 13 grudnia 1981 r., cechowała się poczuciem wszechmocy i wręcz nieograniczonej sprawczości; w skrócie, mówiąc słowami pewnej popowej piosenki, nuciła sobie: „Ooo, mogę wszystko". Generał Jaruzelski przerwał ten piękny sen, co wywołało u jej liderów depresję, chwilami czarną rozpacz. Wydaje się, że jest w genie partii postsolidarnościowych coś z jej rodzica, jakiś chocholi taniec między wręcz maniakalnymi nastrojami, poczuciem siły i wielkiej władzy (czysto politycznej czy też tzw. rządu dusz), pomieszane z obniżeniem nastroju, gdy im nie idzie najlepiej.

Dodam jeszcze, że przez pierwszą dekadę po upadku komuny partie prawicowe masowo powstawały, aby zaraz skonać śmiercią tragiczną pośród kłótni, potwierdzając tym samym charakterystyczną dla dwubiegunówki wysoką śmiertelność, także z powodu samobójstw.

Jak zauważają Gorostowicz i Siwek, „charakterystyczny dla pacjentów z ChAD jest wysoki wskaźnik współwystępowania zaburzeń osobowości z wiązki B (osobowość antyspołeczna, histrioniczna, narcystyczna, z pogranicza) oraz C (unikająca, zależna, obsesyjno-kompulsyjna)".

Osobowość antyspołeczna – biorąc pod uwagę antyspołeczną politykę kolejnych rządów – to prawdziwa plaga w polskiej polityce. Nie ulega wątpliwości, że nie brak w niej narcyzów (szczególnie myślę o jednym Sławomirze z Konfederacji, który z pasją uwielbia nagrywać filmiki na TikToku i jest zakochany w sobie z wzajemnością). Prezes PiS, który mówi, że jest w nim „czyste dobro", i podkreśla, że co jak co, ale w sumie on zawsze miał rację, też mi tu jakoś ładnie pasuje.

Gwoli prawdy historycznej trzeba wspomnieć o wciąż obecnym komentatorze polityki Leszku Millerze, który dochodząc do władzy w 2001 r. – po którym lewica dalej nie może dojść do siebie – mówił, że jeśli SLD obieca gruszki na wierzbie, to one tam wyrosną.

Osobowość zależna to domena liderów tzw. lewicy, która przez lata marzyła, aby dorwać się do władzy, choćby robiąc w rządzie za kwiatek do kożucha czy kobietę w przemocowym związku, która odlicza dni, gdy mąż – więksi koalicjanci – traktuje ją w miarę dobrze (okres tzw. miesiąca miodowego), zanim znowu spuści sążnisty wpierdol, a przynajmniej słownie sponiewiera. Poza tymi paroma stołkami jedyny lewicy zysk to dostawanie w pysk. Bo programowo, z perspektywy wyborców o lewicowych poglądach, z jej współrządzenia nie wynika dokładnie nic…

Zdrowa polityka

Napisawszy to wszystko, zastanawiam się, czy my sobie na to wszystko zasłużyliśmy. Czy polska polityka, mówiąc wprost, musi być nienormalna? Oczywiście, można twierdzić – i jest w tym nieco racji – że politycy i polityczki wywodzą się ze społeczeństwa, zatem musi być tak, że to społeczeństwo jest chore. To jednak nie do końca prawda.

Daleka jestem od idealizowania polskiego społeczeństwa, które częściej przypomina bandę aspołecznych indywiduów, myślących wyłącznie o interesie własnym, co najwyżej – najbliższej rodziny, ale i to nie zawsze. Rzecz jednak w tym, że wszelkie dostępne badania jednoznacznie wykazują, iż politycy mają spory wpływ na ludzi.

Doskonale pokazuje to sprawa uchodźców i imigrantów: zanim przed dekadą PiS nie wtłoczył Polakom do głów antyimigranckiej histerii, wielu Polaków – często mających kogoś, kto wyjechał za lepszym życiem za granicę – nie traktowało tej kwestii jako szczególnie istotnej i nie było wrogo nastawionych wobec obcokrajowców. Te wszystkie na poły faszystowskie bojówki, które bronią jakoby granic czy „czyszczą" polskie miasta ze wszystkich kolorowych – wiadomo, to nieroby, islamscy fanatycy i gwałciciele „naszych" cnotliwych kobiet – to logiczna konsekwencja wieloletniej kampanii politycznej, podsycanej przez usłużne media.

Kampanii, która z milionów Polaków zrobiła nacjonalistyczne i rasistowskie łachudry. Odkręcanie tego zajmie lata, ale najpierw trzeba to zacząć, a nie folgować nienawistnym nastrojom, co robią tak politycy Konfy i PiS-u, jak i uśmiechniętej koalicji, zwłaszcza Platformy.

Problem polega na tym – jak przed laty pisał historyk idei Bronisław Łagowski – że ludzie tracą rozum masowo i szybko, a odzyskują go powoli i pojedynczo. Czy jeszcze w Polsce doczekamy się normalnych, sprawnych, rzeczowych i ideowych polityków? Nadzieja umiera ostatnia. Nie chciałabym, aby samospełniającym się proroctwem były słowa z piosenki przywoływanej na początku artykułu:

„A gdyby spojrzeć na to inaczej,
Że władza to miejsce dla idiotów,
Wtedy sytuacja wygląda normalnie,
Bo wszyscy żyjemy w domu wariatów".

Nie ma jednak sensu czekać na zbawienie przez politykę. Politycy to zwykle albo szaleńcy, albo nieudacznicy. Tylko oddolny nacisk społeczny może uzdrowić polską politykę… Tylko, do kurwy nędzy, gdzie go znaleźć?!

KAT

Sprostowanie/Doprecyzowanie

Jak słusznie zauważył jeden z czujnych Czytelników naszej gazety, w moim artykule „Między sercem a portfelem", opublikowanym w numerze 42/2025 i opartym na raporcie Kancelarii Prezesa Rady Ministrów: „Polska Pomoc Ukrainie 2022–2023" w tabelce „Skala polskiego wsparcia dla Ukrainy (od 2022 r.)" zabrakło kilku pozycji.

Konkretnie: 14 czołgów Leopard 2, 18 armatohaubic Krab, co najmniej 18 modułów RAK oraz zestawów przeciwlotniczych Osa i Wega wraz z rakietami.

No cóż – jak wiadomo, raporty wojskowe pisze się w trzech wersjach: dla siebie, dla opinii publicznej i dla wroga.

Mnie najwyraźniej wpadła w ręce ta trzecia.

Niemniej – przepraszam i dziękuję za czujność.

W razie dalszych nieścisłości proszę zgłaszać się do mnie lub bezpośrednio do Sztabu Generalnego, bo oni podobno też już nie wiedzą, co komu wysłali.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 1d3e1214be

Bajki dla myślących

Smutne pokłosie cudu

Obłęd i totalna wojna bliźniaków

Dziś opowiem wam bajkę o pięknej i dobrej październikowej nocy 2023 r. i księciu Donaldzie. Wtedy to ukochany przez wszystkich demokratów złotousty książę Donald oraz jego urocze krasnoludki poczuły, że ich życie to sielanka, a jasną przyszłość na łące rozkoszy rozświetla świt słonecznego poranka. Ale zazdrość macochy Pisiochy, poparta czarną mocą milionów trolli, za wszelką cenę chce go zabić. Zamienia idyllę w koszmar. Radość i przeżycie psychicznego orgazmu kończą się tym, że Donald sięga po zatrute owoce z własnego rodzinnego sadu. Po spożyciu zatrutego jabłka – oraz po wielu małych zdradach niegdyś kochających go krasnoludków – popada w obłędny taniec. Ów taniec jest metaforą bólu, szaleństwa i utraty wszystkiego, bowiem czeka go niechybna zguba.

Jest bajka i jest morał, ale zapytacie o to zatrute jabłko i obłędny taniec?

Minęły prawie dwa lata tego obłędnego tańca. Dwa lata od dnia wyborów, które komentatorzy „Polityki" okrzyknęli „politycznym cudem". To chyba rzeczywiście był cud, bo nawet niektórzy ateiści uwierzyli. Cud także dlatego, że udało się Tuskowi zbudować „zwycięską koalicję" – bo przecież, pamiętajmy, wybory wygrało PiS, a koalicja była i jest od Sasa do lasa. Dziś, po niemal dwóch latach rządów,

magiczna aura cudu prysła, odsłaniając krajobraz polityki – co do meritum – takiej samej jak ta, która doprowadziła w 2015 r. do oddania władzy PiS. Bo to właśnie realizowana przez osiem lat antyspołeczna, proelitarna polityka PO i PSL wkurzyła Polaków

i zapewniła sukces Kaczyńskiemu oraz jego choremu koalicjantowi. Ta polityka trwa.

Dla uczczenia połowy kadencji – a raczej dla ratowania poparcia, jakie mu zostało – Tusk



przetacza właśnie swój obłędny taniec przez powiatową Polskę. Ale nie przyjechał tam z darami – przyjechał z wykładami. W Tomaszowie na pytanie obywatela, dlaczego Koalicja zrealizowała tylko 30 proc. tego, do czego zobowiązali się w kampanii wyborczej, Tusk wyjaśniał publiczności – tak jak mógłby belfer wyjaśniać dzieciom w szkole specjalnej – że to „uczciwa arytmetyka": „dostaliśmy 30 proc. głosów, więc zrealizowaliśmy 30 proc. programu"…

To nie jest poważna polityka, to jest kpina z wyborców. Tymczasem lista niewykonanych stu konkretów jest długa i bolesna. Gdy młode kobiety w Piotrkowie Trybunalskim pytały premiera, jak mają żyć i wychowywać dzieci bez mieszkań i perspektyw, w odpowiedzi usłyszały wykład ex katedra o tym, że „najmniej dzieci rodzi się tam, gdzie jest najlepiej". To nie jest odpowiedź na społeczny dramat, to jest naiwniacka duszpasterska troska oderwana od rzeczywistości. Tymczasem, jak doskonale wiemy, opieka zdrowotna ledwie dyszy, obiecana dobra zmiana w edukacji przynosi kolejne rozczarowania, a zagłodzonej nauce polskiej grozi kompletna marginalizacja.

Bez choćby próby realizacji pozostała także wyborcza deklaracja Donalda Tuska brzmiąca tak: „Mamy projekt dotyczący legalnej aborcji do 12. tygodnia, która ma być decyzją kobiety w porozumieniu z lekarzem, a nie decyzją księdza, prokuratora i działacza PiS-u. Na sto procent to zagwarantujemy".

Zamiast nich mamy takie smakowite wypowiedzi: „We mnie aborcja nie budzi entuzjazmu. W nikim przecież. Ja nawet nie lubię, kiedy ktoś mówi, że to jest prawo kobiety, bo przecież nie po to się rodzimy, żeby mieć prawo do przerwania ciąży. Wiadomo, o co chodzi"… Co, słuchając premiera dziś, myślą kobiety, które uwierzyły mu przed wyborami? Moim zdaniem wiarygodność Tuska spadła i już się nie podniesie.

A co Tusk mówi o rozczarowaniu osób LGBT o projekcie ustawy o statusie osoby najbliższej? „Musiałem wyjść naprzeciw konserwatystom".

Wszystko to jest po myśli Jarosława Kaczyńskiego. Prezes PiS już zaciera łapki z myślą o nadchodzących wyborach. Ale przecież już teraz Kaczyński może mieć wrażenie, że wciąż panuje, nawet gdy nie rządzi. Cóż może być fajniejszego niż sytuacja, kiedy twoi wrogowie wykonują za ciebie czarną robotę...

Paradoks polega na tym, że dwie zwalczające się na śmierć i życie siły tak naprawdę grają przed nami farsę o nienawiści, ale faktycznie w wielu obszarach realizują ten sam program. Tyle że jedna ze stron prowadzi tę grę epigońsko, a druga co prawda także kłamliwie – lecz skutecznie. Argumenty? Proszę: od podniesienia świadczeń dla dzieci z 500 do 800 zł wymuszonego kampanią wyborczą poprzez militaryzację granic i filmiki z deportacji po asertywną retorykę wobec Brukseli czy na przykład odrzucanie umowy handlowej Mercosur – nowa ekipa gra na tym samym instrumencie co poprzednia. Gdy pewien rolnik zapytał o konkretny problem z Mercosurem, premier Tusk zamiast odpowiedzi zaserwował mu „akademickie" wyjaśnienie: „Prawdziwy problem polega na tym, że polski rolnik produkuje drożej niż latynoamerykański". To nie jest polityka, to jest podcast propagandowy dla zdesperowanych.

Rozliczenie złodziejstwa i bezprawia pisowskiej ekipy – ulubiony temat liberalnych elit – zamieniło się w farsę. Nie powstrzymam się, żeby na marginesie nie wspomnieć, że na szczególne wyróżnienie w tej dziedzinie sztuki zasłużyła sejmowa komisja śledcza do spraw Pegasusa. Ale w ogólnym zarysie obecna władza zamiast uczynić powrót do praktyk PiS niemożliwym, postanowiła je przejąć. Wyobraźmy sobie, że zamiast kolejnej politycznej bitwy o TVP rząd oddałby ją we władanie społeczne organizacji czy strukturze niezależnej od polityki – jak choćby powołując w tej sprawie „obywatelski panel". Albo że zamiast tymczasowych, półprawnych rozwiązań w sądownictwie, zwołałby prawdziwy okrągły stół. Tak się nie stało. Komisje śledcze okazały się niewypałami, a proces „depisizacji" polega głównie na przejmowaniu pałeczki w wyścigu po upolitycznione instytucje. Kiedy „strona demokratyczna" znalazła się u władzy, to w dużym stopniu stała się tym, z czym wcześniej walczyła.

Prawdziwym testem intencji rządu była sprawa zmniejszenia składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Takie 500 plus dla zamożnych: dla jednoosobowych działalności gospodarczych, dla wykształconych z wielkich miast. To odsłoniło prawdziwe priorytety: redystrybucja miała nagrodzić „zasługujących", a nie wspierać najsłabszych. Prezydent Duda zawetował ten postulat, ale sama próba jego wprowadzenia mówi wiele.

Mamy wojnę totalną bliźniaków – PO z PiS-em – która wygląda jak satyra z filmu „Głupi i głupszy", a nie jak wizja dla Polski. Rząd Donalda Tuska dryfuje, starając się zadowolić pisowski elektorat. Nie ma w rządzie pomysłu na Polskę poza „wojną totalną z PiS", która ma pochłonąć naszą uwagę przez najbliższe lata. Styl rządzenia Tuska to nieustanne ogłaszanie nowych początków. To nie jest wizjonerstwo, tylko polityka definiowania wroga. A w tej szarpaninie między dwoma blokami, które w gruncie rzeczy oferują to samo, najwięcej tracą ci, którzy naprawdę czekali na rozsądek, sprawiedliwość i zmianę.

Jeśli cię ta opowieść nie pociesza, to pomyśl, że to przecież tylko bajka.

ANNA GRODZKA

Zezwierzęcenie Kaczyńskiego

Czarnek zerwał się z łańcucha

Prezes PiS w drodze po głosy wyborców Konfederacji musi postępować wbrew sobie. Wiele można o nim mówić i mu przypisywać, ale nie to, że nie lubi zwierząt. Poglądy niemal na wszystko w swojej politycznej karierze zmieniał: kiedyś lubił Wałęsę, a nienawidził Rydzyka – dziś odwrotnie; dla kilku głosów jest w stanie pochwalić Gierka i robić inne fikołki. Dość powiedzieć, że wykorzystał nawet śmierć brata do walki z oponentami politycznymi i nie zawahał się pójść w teorie spiskowe dostarczane przez Macierewicza. Ale jeśli chodzi o zwierzęta, jest constans.

Jutro będzie futro

Można przypuszczać, że to jego osobiste i szczere przekonania. Anegdotyczne jest jego posiadanie kotów – niektóre znamy z imienia, jak Buś, Alik, Fiona i Czaruś. Dwa ostatnie – aktualne pupile prezesa – muszą być rozczarowane postawą swojego pana, który miłość do nich poświęcił w imię partyjnych zysków. Oto bowiem trafiły się ostatnio okazje, żeby pokazać męstwo i bohaterstwo w obronie braci mniejszych, ale Kaczyński ich nie wykorzystał.

Sejm przegłosował zakaz hodowli zwierząt na futra. Zapanowała ponadpartyjna zgoda, Kaczyński głosował ramię w ramię z tym zdrajcą Tuskiem. Głosowanie pokazało jednak, że nie panuje nad partią w taki sposób, jaki wyobrażają sobie zwłaszcza jego przeciwnicy. Dyscyplina partyjna ma się źle i to nie Kaczyński wyznacza kierunek. Oficjalnie dyscyplina nie została zarządzona, ale w dobrych czasach działacze sami wiedzieli, jak postępować, żeby zrobić dobrze wodzowi. A teraz mają go w dupie.

Przynajmniej tych 55, którzy głosowali przeciw zakazowi hodowli zwierząt na futra. Zbuntowała mu się jedna trzecia klubu. Setka głosowała jak Kaczyński, ale liczba rozłamowców robi wrażenie. Kaczyński dawał wyraźne znaki, jak mają się zachować, a oni go olali. Prawdopodobnie pod wpływem konfederackiego elektoratu lub futrzarskiego lobby, które wprawdzie nie jest liczne, ale operuje ogromnymi zasobami. Wyrazicielem myśli Kaczyńskiego na mównicy był Marek Suski, który po zawale przemówił ludzkim głosem, choć nie omieszkał dodać katolickich mądrości: „Moim zdaniem jest to chwila przełomowa. Polacy są narodem, który ma wielką empatię, kocha zwierzęta. Odwołuję się też do chrześcijańskich zasad głoszonych chociażby przez Tomasza z Akwinu, który mówił o naszych braciach mniejszych, o szacunku do każdego życia, do każdego zwierzęcia. Ta ustawa likwiduje cierpienie zwierząt. Kiedyś ludy pierwotne ubierały się w skóry, w futra. Dzisiaj potrafimy wytwarzać ubrania, nawet sztuczne futra, które są tak piękne, że są nie do odróżnienia od tych prawdziwych, więc dlaczego mają te zwierzęta cierpieć, kiedy możemy wytworzyć nasze ubiory bez cierpienia, niepotrzebnego zupełnie?"…

Niegroźna wścieklizna

„Kaczyński zdenerwował się na tych, którzy nie stanęli po jego stronie, a więc byli przeciw zakazowi hodowania zwierząt na futra" – donosi „Newsweek", co może być odpowiednikiem przysłowiowego już „Tusk się wściekł". Prezes PiS na konferencji prasowej wspomniał nawet, że jednej z posłanek zwolennicy hodowli grozili, mówiąc podczas obrad komisji „my panią znajdziemy". I co? I nic. Żadnych konsekwencji. Lobby wygrało. Kiedyś za takie akcje to by chociaż zawiesił buntownika w prawach członka lub zmarginalizował i nie dał miejsca na liście. Były minister rolnictwa Ardanowski po złamaniu dyscypliny klubowej w sprawie „piątki dla zwierząt" musiał szukać szalupy ratunkowej u Dudy.


Rys. PAWEŁ FERENC

A teraz grupa antyzwierzęca rośnie w siłę, a jej liderem jest Przemysław Czarnek. Były minister edukacji wprost występuje przeciwko Kaczyńskiemu, a ten nic z tym nie robi. Co więcej, winduje go.

– Nie był jak dotąd premierem, ale pewnie będzie, pan Przemek, pan minister Przemysław Czarnek – mówił prezes na antyimigranckim wiecu. Tymczasem Czarnek nie dość, że głosował przeciwko zakazowi hodowli zwierząt na futra, to zapowiada, że będzie przekonywał innych posłów, żeby zmienili zdanie. Co więcej, na tej fali chodzi po mediach i rzuca antyzwierzęce bon moty, miłe serduszkom konfederatów i mieszkańców wsi. W Radiu Zet rzucił: – Ja, jak jeżdżę na rowerze, to jestem szczęśliwy, kiedy widzę psa uwiązanego na łańcuchu, a nie psa, który biega luźno.

Kaczyński replikował, że „epoka się zmieniła" i należy przeprowadzić zmiany „w sposób cywilizowany". Na to Czarnek, tym razem w Polsacie: – Epoka nie zmieniła się, jeśli chodzi o bezpieczeństwo rowerzystów i dzieci na wsi.

W okołpisowskim Radiu Wnet poszedł dalej: – Otóż zwierzęta nie mają prawa, bo prawo to jest relacja zachodząca między osobami, a żadne zwierzę, nawet najwspanialsze, osobą nie jest. W związku z tym nie mają praw zwierzęta.

Wyleniałe tłuste koty

To ewidentne umizgi do środowiska Konfederacji. Lobby futrzarskie to jedno, ale prawicowi samce alfa mają jakąś skłonność do ciśnięcia po zwierzątkach, uważając dobre ich traktowanie za kobiece i pedalskie. Dochodzi do tego zajob na punkcie własności prywatnej i katolickiej „czyńcie sobie ziemię poddaną". W 2023 r. konfederacka kandydatka do sejmu żałowała, że wprowadzono zakaz uboju psów na mięso. Murem stanął za nią poseł Dobromir Sośnierz, stwierdzając: – Też tak uważam, że nie jest pies w niczym lepszy od krowy. To takie tylko nasze przyzwyczajenie. Zwierzęta to własność człowieka i każdy może z nimi robić, co chce.

Kaczyński dla kilku procent więcej ulega instynktom zwierzęcia politycznego i poświęca swoje ideały w imię walki o głosy. Przecież – cokolwiek o nim sądzić – nie jest na pewno wielbicielem Bąkiewicza i jego poglądów, a wpuszcza go na salony, żeby odbijać elektorat Konfederacji. Nie jest antysemitą, a pozwolił sobie na aluzję o żydowskim pochodzeniu żony Radosława Sikorskiego. Wszystko to jest tak logiczne jak antysemicka broszurka demaskująca Żydów w polityce. Na liście znalazł się Kaczyński, ale tylko Lech. Jarosław może wpaść we własne sidła.

ŁUKASZ PIOTROWICZ

eprasa.pl 1d3e1214be

Polsat kłamie, bezrobocie puka do drzwi

Rewolucja nadciąga bez Aurory



Rys. MARCIN BONDAROWICZ

No nie możemy udawać jak w Polsacie, że wszystko gra, że wszyscy chodzimy w żółtych futrach po plaży z Media Expert, a w tle leci happy techno o „najniższych cenach". Rzeczywistość zaczyna spuszczać z tonu. Nie zrzucajmy tego od razu na obecny rząd – on dopiero będzie zbierał cięgi za wzrost bezrobocia, którego „na razie nie widać", jak mawiają analitycy GUS-u siedzący w klimatyzowanych biurach. Z punktu widzenia statystyk mamy „ledwie drgnięcie", ale z punktu widzenia zwykłych ludzi – to już preludium do kryzysu na rynku pracy.

180 tys. istnień

Grupowe zwolnienia w Polsce objęły 90 tys. osób do października, a o indywidualnych nikt nie mówi, bo trudniej je policzyć. Realnie mówimy o 160–180 tys., które z dnia na dzień tracą środki do życia: ojcowie, matki, dzieci, kredyty, psy, koty i teściowe – wszyscy na garnuszku gospodarki, która właśnie zaczyna się kurczyć.

Analitycy z prasy biznesowej już odkryli Amerykę w słoiku: „Polska wchodzi w fazę ujemnego wzrostu". Proszę bardzo! Ujemny wzrost! To tak samo naukowe jak „dodatnie minusy" albo „postęp odwrotny". Warto mieć doktorat z NBA, czyli Nowoczesnego Bełkotu Analitycznego – żeby coś takiego wymyślić.

Kryzys bez pandemii

W każdym razie mamy największe tąpnięcie od czasów COVID-19 – tylko że wtedy przynajmniej wiadomo było dlaczego. Państwo PiS, w przypływie paniki i boskiego natchnienia, zaczęło zarządzać gospodarką jak lodówką: otwierali, zamykali, rozmrażali i znowu zamrażali, aż w końcu wszystko zaczęło śmierdzieć. Fabryki stanęły, fryzjerzy zamienili się w partyzantów, a przedsiębiorcy odkryli, że „tarcza antykryzysowa" to nie była żadna tarcza, tylko konkurs z podchwytliwymi pytaniami. Pieniądze dostawali albo ci, którym naprawdę się wszystko zawaliło, albo ci, którzy umieli dobrze udawać, że się zawaliło. Miliardy poszły w eter, ale za to każdy miał wrażenie, że państwo coś robi – a że bez sensu, to już inna sprawa.

Można powiedzieć, że wszyscy zostali sponiewierani, bo politycy w całej Europie postanowili „reagować". No, może nie wszyscy – Szwedzi, jak zwykle, postanowili użyć mózgu. Nie zamykali kraju, nie tańczyli lockdownowego walca, tylko policzyli, że panika wychodzi drożej niż wirus. I wyszli na tym lepiej. Mniej zgonów gospodarczych, mniej depresji budżetowej, no i nie musieli się tłumaczyć z miliona nielegalnych zakupów maseczek od szwagra. Natomiast teraz? Teraz nikt nie ogłasza stanu wyjątkowego, a jednak wszystko zaczyna się psuć jak po terminie. Nie ma pandemii, nie ma lockdownów, nie ma uzasadnienia – a gospodarka sama z siebie zaczyna się kłaść do łóżka z gorączką.

Klasa posiadaczy dławi gospodarkę

Dlaczego? Bo moim zdaniem działa tu czynnik, którego nie da się ująć w równaniach ekonomicznych: rosnący społeczny egoizm, niewidzialna ręka obojętności. Nazwałbym go epidemią. Chorobą klasy posiadaczy, która kąpie się w poczuciu bezpieczeństwa, mierzonego w milionach złotych, leżących spokojnie na kontach, podczas gdy reszta kraju żongluje paragonami.

Ta klasa obecnie nie inwestuje, nie ryzykuje, nie buduje, tylko optymalizuje i się bawi. Żyje w rytmie szampana, sushi i powiadomień z aplikacji bankowej. I to widać w danych: w dużych sieciach handlowych odnotowano spadek sprzedaży żywności o 9 proc. Jak to możliwe? Przecież ludność Polski zmniejszyła się zaledwie o 83 tys. osób. A reszta? Przecież nie przeszła na dietę 90 proc.!

Nie, moi drodzy. To nie Polacy przestali jeść – to tylko część Polaków przestała gotować. Konsumpcja po prostu wyszła z marketów i usiadła przy stolikach. To właśnie HORECA – nowy bożek gospodarki – przejęła całą tę brakującą w Auchanach konsumpcję. Zamiast robić zakupy, kapitaliści robią dziś wrażenie na kelnerach w liberiach, a rachunek traktują jak certyfikat przynależności do klasy wyższej.

Kapitalista w szlafroku

A tam – szampan, Jack Daniel's, od którego potem boli głowa i portfel, oraz przeświadczenie: „ja mam, więc świat może się walić, byle cicho".

Ta nowa filozofia sukcesu mieści się w trzech – no, może czterech – słowach: mam, piję, nie obchodzi. Ten wysoki stopień samozadowolenia, **błogostan klasy posiadaczy, działa na świat pracy jak wirus. Kiedyś kapitalista przynajmniej chodził po fabryce, czasem nawet potrafił ją rozpoznać po dymie z komina. Dziś zarządza imperium z tarasu, w szlafroku, z drinkiem w ręku i telefonem z funkcją „zwolnij pięciu".**

Fabryki widział ostatnio z drona, a swoich ludzi zna głównie z tabeli w Excelu.

Przedsiębiorca w Polsce 2025 to już nie człowiek z wizją, tylko człowiek z aplikacją bankową. Dochody spadają? Nic nie szkodzi, „zredukujmy etaty", mówi do smartfona między jednym łykiem whisky a drugim. Sprzedaż maleje? Cóż, wystarczy, że maleje liczba zatrudnionych, i wszystko się bilansuje.

Świat pracy staje się dla nich statystyką: zatrudnieni to „pozycje na liście płac", nie ludzie. W arkuszu kalkulacyjnym są kolumną kosztów, a po zwolnieniu – komórką wolną do użytku.

Toster zamiast serca

To jest kardynalny błąd kapitalizmu – ale, o ironio, socjalizm państwowy po 30 latach nauczył się dokładnie tego samego. Jak bowiem nazwać molochy takie jak Poczta Polska czy PKP, które zwalniają ludzi na potęgę, mimo że są państwowe i niby „społecznie odpowiedzialne"? To nie jest żadna reforma, to po prostu menedżerska głupota w garniturze od Skarbu Państwa.

Bo prawda jest taka, że to nie górników zwalnia się, gdy kopalnia plajtuje – tylko zarząd, który ją w to bagno wprowadził. Ale w Polsce ta oczywistość wciąż uchodzi za herezję. Lepiej pozbyć się tych, którzy naprawdę coś robią, niż tych, którzy tylko podpisują. Ci, co podpisywali się pod durnotą, poszli wyżej – patrz minister Aktywów Państwowych Wojciech Balczun (zasługuje na oddzielną publikację).

Problem polega na tym, że dzisiejszy „menedżer" – niezależnie, czy z korpo, czy z państwowego holdingu – ma empatię na poziomie tostera. Nie potrafi wczuć się w sytuację człowieka, który przez 20 lat sortował listy, skręcał wagony czy klepał faktury, a teraz słyszy, że ma „odnaleźć się w nowej rzeczywistości zawodowej". Czyli, tłumacząc z korpomowy: „spieprzaj, radź sobie sam".

Wywalić kogoś potrafi każdy – wystarczy palec i kawałek papieru. Ale znaleźć dla człowieka nowe sensowne zajęcie w istniejącej strukturze, dostosować go, przeszkolić, pomyśleć o nim jak o zasobie, a nie o „koszcie" – no to już panu prezesowi się nie chce. Bo po co się męczyć, skoro można zwołać konferencję, powiedzieć coś o „restrukturyzacji w duchu nowoczesności" i wrócić do domu z poczuciem misji? A jak ktoś mu zwróci uwagę, że może jednak warto pomyśleć o ludziach, to odpowie: „Wie pan co, zostawmy to na jutro, dziś już nie mogę – łeb mnie napierdala".

„In plus" na papierze, „in minus" w życiu

To jest oczywiście polityka z cyklu „wulgarna księgowość" – taka, w której nad losem tysięcy ludzi czuwa pani z kalkulatorem, przekonana, że przedsiębiorstwo istnieje po to, żeby zgadzał się bilans. Ma być „in plus", więc jeśli po zwolnieniach cyferki są dodatnie – to znaczy, że sukces!

Co z tego, że nie ma komu pracować, że produkcja kuleje, a morale gaśnie szybciej niż zdrowy rozsądek w czasie pandemii, skoro w bilansie wszystko świeci się na zielono.

Tyle że rzeczywistej przyczyny spadku sprzedaży nikt nie zahamował. Więc po chwili przychodzi kolejny cykl. Znowu zwolnienia. Tym razem już nie tych „zbędnych", tylko tych, którzy jeszcze wiedzą, gdzie leży włącznik w hali. Jakość spada, sprzedaż leci w dół, bilans znowu robi się „in minus", więc trzeba zredukować kolejne etaty, żeby wyszło „in plus". I tak się kręci perpetuum debile polskiego zarządzania: zwolnij, żeby uratować, a jak nie uratujesz – zwolnij więcej.

Wierzcie mi, znam przedsiębiorstwa, które w tej spirali paranoi tkwiły po kilkanaście lat i nikt nie zauważył, że już dawno zapomniano o misji – ważniejszy stał się roczny bilans do Krajowego Rejestru Sądowego, ten święty dokument, który udowadnia, że firma żyje, nawet jeśli od dawna nie oddycha.

URSUS był tu klasykiem gatunku – najpierw redukowano, potem likwidowano, a na końcu już tylko zwalniano z przyzwyczajenia – ale bilans zawsze był na plusiku.

A efekt domina? Klasyczny. Jak traktor nie idzie, to nie sprzedają się buty robocze, bo nie ma komu orać. Ci od butów nie mają na ratę kredytu, więc nie kupują mebli, a meblarze zamykają zakład i idą na zasiłek. Państwo z kolei nie ma z czego wypłacić zasiłków, więc podnosi podatki tym, co jeszcze zostali. I tak polska władza gospodarcza oraz fiskalny aparat ucisku działa jak kołowrotek dla chomika, tylko że chomik już ledwo żyje.

Od uwłaszczenia do niedogrzanych rezydencji

Czym to się kończy? Ano jak zawsze – płaczem, zgrzytaniem zębów i raportem końcowym w segregatorze A4. Nie będę wskazywał palcem współczesności, pozwolę sobie tylko na mały historyczny wtręt dydaktyczny.

Otóż po roku 1989 narodziła się nowa kasta: „uwłaszczona nomenklatura", czyli dawni towarzysze, którzy nagle odkryli w sobie żyłkę przedsiębiorczości. Z partyjnego i solidarnościowego zarządu fabryk wyłoniły się cudowne organizmy gospodarcze, trochę spółdzielcze, trochę rodzinne, trochę mafijne, które przejmowały majątek narodowy w ramach tzw. akcjonariatu pracowniczego. Brzmiało to pięknie: robotnik właścicielem! W praktyce oznaczało, że pracownik dostał trzy akcje i cztery miesiące spokoju. Jak już nowi właściciele zasiedli „na swoim", to rozpędzili się w redukcjach kosztów tak, że aż farba z hal schodziła. Każdy excelowy geniusz wiedział: „mniej ludzi = więcej zysku". Efekt? Bezrobocie sięgnęło 12 proc., a połowa kraju przeszła przyspieszony kurs survivalu w handlu obwoźnym i zbieraniu jagód w Norwegii.

Na szczęście przyszła wtedy odsiecz z Zachodu – korporacje, które wchłonęły tysiące ludzi jak gąbka. Dziś takiego ratunku już nie będzie.

A co zostało z tamtej „uwłaszczonej elity"? Nic. Trawa, gruzy i prezesi na dawnych, wyśrubowanych emeryturach, bo w latach świetności tak zręcznie żonglowali składkami, że ZUS płakał, ale księgował. Dziś siedzą w swoich niedogrzanych rezydencjach, bo relacje się nieco zmieniły.

Proletariat w XXI w.

Czy obecnie te 90 tys. ludzi na bruku to już początek kryzysu? A może dopiero próba mikrofonu przed rewolucją?

Oczywiście teraz nie będzie żadnych salw z „Aurory". Dziś nikt by tego nie usłyszał przez szum powiadomień, podcastów i reklam suplementów. W epoce światłowodowych prędkości wszystko dzieje się pozornie szybciej: decyzje, zwolnienia, depresje i rekrutacje. Ale prawdziwe rewolucje – te społeczne – mają naturę żółwia w korku. Toczą się powoli, w ciszy, przy szumie komputerowych wiatraczków. Nowoczesny proletariat to już nie są chłopy z cepami, tylko ludzie z dostępem do Wi-Fi. Zamiast barykady mają LinkedIna, a zamiast pochodni – telefon z trybem nocnym. Kiedyś robotnicy rzucali śrubami w maszyny, a dziś – wysyłają memy w zarząd, subtelnie wysuwając stołki spod tyłków korpopsychopatów.

Jak rewolucja się uda, to zamiast Komitetu Centralnego powstanie Komitet do spraw Dobrostanu Emocjonalnego. I wszyscy będą równi – tyle że bez etatów, ale z benefitami.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 1d3e1214be

Czego Ci nie mówią o pieniądzach

Skąd się bierze szmal

Odcinek pierwszy



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wiecie co, ludzie...? Powiem wprost. Postanowiłam Was wkurzyć na kapitalizm. OK? Jeśli jesteś już i tak wkurzona czy wkurzony, to może zaciekawi Cię, jak spokojnych ludzi będę wkurzać. A jeśli w tej chorej rzeczywistości spokojnie drepczesz wokół „swoich spraw", to myślę, że jeśli przeczytasz, to się wkurzysz.

To będzie cykl kilku felietonów o tym, czego nie mówią nam o finansach, czyli o istocie kapitalizmu. Opowieść o finansach jako o systemie – czyli o czymś, co jest podobno strasznie nudne, bardzo skomplikowane, jedynie słuszne i inne być nie może. Tak mówią (a w zasadzie właśnie nic nie mówią) po to, abyś żył spokojnie, nie wkurzał się i najlepiej tego nie dotykał. A ja tak nie chcę. I Ty też nie chcesz, nawet jak tego jeszcze nie wiesz.

Tak. Piszę o tym i chcę was wkurzyć. A dlaczego? Bo po siedemdziesiątce zostało mi pewnie już nie tak wiele czasu, żeby coś ważnego powiedzieć o systemie, którym na co dzień oddychamy jak powietrzem, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. A to jednak morowe powietrze. Kształtuje nasze życie i jeszcze bardziej będzie kształtować życie naszych dzieci i wnuków. A ja, podobnie jak Wy, widzę, dokąd ten świat zmierza.

Zamarzyło mi się zatem, żebym nie musiała przez tych ostatnich parę lat pętać się po tym zasranym świecie wkurwiona samotnie. Wkurzajcie się ze mną.

Bo wiem, że ten system może być inny – czysty i zdrowy dla wszystkiego, co żyje. Oczywiście wiem, że złoszcząc się, nie od razu zmienimy świat, ale widząc rzeczywistość taką, jaka ona jest, spróbujemy razem dostrzec alternatywną drogę. Idąc nią, zaszczepimy w sobie i w innych trochę nadziei.

Prawie nikt na co dzień nie myśli o systemie finansowym zglobalizowanego świata. Bo i po co? – mówimy sobie – świat jest, jaki jest, a ja dbam o swoją kasę… Ja też tak miałam. Jednak kilka lat temu zainteresowałam się finansami jako elementem ustrojowym, czyli systemem, który faktycznie tworzy naszą rzeczywistość. Spostrzegłam wtedy, że odkrywanie reguł rządzących finansami kapitalistycznego świata jest tak pasjonujące jak odkrywanie nowych lądów. Wertując różne opracowania, odniosłam wrażenie, że rzetelna wiedza o systemie finansowym to niemal wiedza tajemna – dostępna nielicznym. I jest tak nie dlatego, że jest bardzo skomplikowana, ale dlatego, że jest niebezpieczna dla kapitalistycznego systemu.



Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Mayerowi Amschelowi Rothschildowi (założycielowi słynnej dynastii bankowej) przypisuje się słowa, które mogłyby potwierdzać moje przypuszczenie: „Pozwólcie mi emitować i kontrolować pieniądze narodu, a nie będzie mnie obchodzić, kto tworzy jego prawa". A także: „Gdyby ludzie rozumieli, w jakim stopniu nasz system monetarny jest niesprawiedliwy, rewolucja wybuchłaby jeszcze przed świtem". Sir Josiah Stamp (były dyrektor Banku Anglii) już w 1920 r. powiedział, że „bankowość została poczęta w nieprawości (...) Jeśli chcecie pozostać niewolnikami bankierów i płacić za koszty własnej niewoli, pozwólcie im dalej tworzyć pieniądze". I co? I pozwolili.

Pewnie wielu z was wie, co Stamp miał na myśli, ale nie sposób pominąć tu tej podstawowej informacji: pieniądze tworzą komercyjne banki. Czyli bankierzy. Tworzą je za każdym razem, kiedy na podstawie umowy kredytowej wypisują przelew lub czek dla dłużnika.

Dlaczego udzielenie kredytu to wprowadzenie pieniędzy na rynek, czyli ich emisja? Po prostu dlatego, że system monetarny tak działa, iż każdy komercyjny bank wypłacając pieniądze w formie kredytu (na podstawie specjalnych bankowych uprawnień) tworzy je z niczego (ex nihilo). Krótko – w pewnym uproszczeniu – mówiąc: bank komercyjny nie ma tych pieniędzy, które pożycza. Pieniądze powstają w chwili udzielania kredytu jako czyjś dług. Dlatego tak powstałe pieniądze nazywa się „dłużnymi".

Banki komercyjne nie tworzą gotówki. To tylko zapisy na koncie dłużnika – obecnie wyłącznie w formie elektronicznej. Gotówkę w postaci banknotów czy monet tworzą oczywiście banki centralne: takie jak Narodowy Bank Polski (NBP) i inne banki centralne krajów europejskich, Europejski Bank Centralny (EBC) czy np. amerykański System Rezerwy Federalnej (FED) odpowiedzialne za daną walutę, np. złoty, euro czy dolar. Banki centralne nie wprowadzają bezpośrednio na rynek pieniądza dłużnego, bo nie udzielają kredytów osobom fizycznym i firmom.

Warto zauważyć, że elektroniczny pieniądz dłużny dominuje w obrocie i to dominuje coraz bardziej radykalnie. W strefie euro często tylko 10 proc. pieniądza w obrocie to gotówka. W Polsce (dane za lipiec 2025 r.) gotówka stanowi około 28,6 proc. całkowitej podaży pieniądza. Trzeba zwrócić uwagę, że proporcje te ulegają zmianie w czasie w zależności od wartości udzielonych i spłaconych kredytów i – na co warto zwrócić uwagę – „rozgrzewają" lub „chłodzą" gospodarkę. Zauważyliście pewnie, że sfera bankowości zmierza do eliminacji gotówki w obrocie?

Ale więcej o tym i o wielu innych pasjonujących a tajemniczych procesach decydujących o tym, w jaki sposób działa system monetarny kapitalizmu, czytaj w następnych odcinkach tego cyklu.

ANNA GRODZKA

Życie w dobrobycie

„Obroty towarowe handlu zagranicznego w okresie styczeń–sierpień 2025 r. wyniosły w cenach bieżących 1 bln 1,6 mld zł w eksporcie oraz 1 bln 23,1 mld zł w imporcie" – podaje GUS. Znaczy to, że do Polski napłynęło więcej towarów, niż sami wysłaliśmy za granicę. Kupujemy więcej, niż sprzedajemy. Z Amerykanami też mamy ujemne saldo. Zamiast zarabiać, dopłacamy. Import z USA trzykrotnie przewyższa wartość tego, co im sprzedajemy. Zamiast bilansu mamy więc deficyt, który w okresie od stycznia do sierpnia wyniósł 17 mld zł. To mniej więcej tyle, ile państwo planuje wydać na wszystkie drogi lokalne w przyszłym roku. Tymczasem z Niemcami, których PiS uważa za głównego wroga, wychodzi dokładnie odwrotnie. Eksportujemy do nich towary warte 270 mld zł, importując za 198 mld. Saldo dodatnie – 72 mld zł. Krótko mówiąc: zarabiamy na nich więcej, niż zyskujemy na wszystkich Stanach, Francjach i Chinach razem wziętych. To Niemiec, nie Amerykanin, kupuje nasze meble, części samochodowe i elektronikę. To niemiecki przemysł wciąga nas w swoje łańcuchy dostaw, płacąc gotówką, a nie obietnicami. Za Odrą nasze fabryki mają swoich największych klientów, a polskie ciężarówki najdłuższe trasy. Dzięki Niemcom tysiące ludzi w Poznaniu, Gliwicach czy Legnicy codziennie mają robotę. „Udział Niemiec w eksporcie wyniósł 27 proc., a w imporcie 19,4 proc." – notuje GUS. Co czwarta złotówka z eksportu pochodzi z Niemiec. A gdyby doliczyć powiązane firmy, montownie i kooperantów, to mogłoby się okazać, że Polskę w dużej mierze napędza niemiecki popyt. A Stany Zjednoczone? One w polskim handlu liczą się nie bardzo. Choć PiS na każdej konferencji wznosił hymn wdzięczności za „strategiczne partnerstwo", to z tego partnerstwa mamy głównie drogie sprzęty wojskowe i rachunki do zapłacenia.

W pisowskich mediach słychać, że niemiecka gospodarka się wali, tamtejsze fabryki się zamykają, a niemieccy przedsiębiorcy z walizkami euro masowo uciekają do Polski, gdzie czeka ich tania siła robocza, niskie podatki i słońce dobrobytu. Problem w tym, że ci Niemcy jakoś nie przyjeżdżają. A ci, którzy przyjechać mieli, nie dotarli. Bosch – niemiecki koncern, który opowiadał, że wybuduje fabrykę pomp ciepła w Dobromierzu na Dolnym Śląsku – ogłosił, że wstrzymuje inwestycję wartą 1,2 mld zł. Zakład, który miał ruszyć na przełomie 2025 i 2026 r. i zatrudnić pół tysiąca osób, pozostanie na razie w sferze planów i makiet. Powód? Nie żadne „ucieczki z upadających Niemiec", tylko – jak twierdzi firma – „rosnąca niepewność polityczna i gospodarcza w Europie, która negatywnie wpływa na rynek pomp ciepła". W praktyce oznacza to tyle, że koncern nie wierzy już w boom na ekologiczną technologię, którą jeszcze niedawno władze Unii stawiały jako filar zielonej przyszłości. Bosch przyznał, że prognozy się nie sprawdziły. Popyt na pompy ciepła rośnie, ale wolniej niż planowano. Władze lokalne, które liczyły na setki miejsc pracy, zostały z niczym. Wałbrzyska Specjalna Strefa Ekonomiczna przygotowała teren, rząd obiecywał wsparcie, samorząd planował nową drogę i przedszkole dla dzieci przyszłych pracowników. Zostały foldery, plany i cytaty z konferencji, że „to inwestycja, która potwierdza atrakcyjność Polski". Teraz ta atrakcyjność wygląda tak, że Bosch ma swoje fabryki w Niemczech, Portugalii i Szwecji, a w Polsce – łąkę i ogłoszenie o wstrzymaniu budowy. Niemcy więc nie tyle uciekają do Polski, co grzecznie dziękują i zostają u siebie. Pisowskie opowieści o „niemieckich uciekinierach" przypominają więc rządowe bajki o repolonizacji przemysłu i o tym, że Polska staje się „bezpieczną przystanią biznesu".

Czy przystań jest bezpieczna, przekonuje się towarzystwo w Poznaniu, Wrześni i Swarzędzu. Stoją tam hale, w których pracuje 9,5 tys. ludzi. I wszyscy oni właśnie dowiedzieli się, że w październiku i listopadzie będą mieć przestoje. Tylko dlatego, że w Wolfsburgu robi się nerwowo. „W odpowiedzi na zmieniające się warunki rynkowe zarząd firmy podjął decyzję o dostosowaniu harmonogramu produkcji w fabrykach zlokalizowanych w Poznaniu i Wrześni" – powiedziała mediom rzeczniczka Volkswagen Poznań. Mówiąc po ludzku – nie ma pracy. Część zmian w ogóle zostanie odwołana, a urlopy rozpisane z wyprzedzeniem. Wszystko dlatego, że niemiecki koncern, który jeszcze niedawno był symbolem gospodarczego cudu, dziś próbuje się ratować przed chińskim i amerykańskim szturmem. Volkswagen do 2030 r. planuje zredukować w Niemczech 35 tys. etatów i ograniczyć moce produkcyjne o jedną trzecią. Golf ma powędrować do Meksyku, a w Wolfsburgu mają pojawić się modele elektryczne, które i tak nie wiadomo, czy ktoś kupi. W tym czasie w Polsce – w zakładach produkujących dla Niemców samochody dostawcze, komponenty i odlewy – ludzie czekają, aż ktoś w centrali zdecyduje, czy będą mieli co robić. Rzeczniczka uspokaja, że „sytuacja jest stabilna", a odlewnia „planuje dodatkowe zmiany". Ale każdy, kto przeżył już parę „stabilności" w przemyśle, wie, czym takie zapewnienia pachną. Bo nikt nie wie, czy po przerwie świątecznej, która ma zacząć się 17 grudnia, załoga będzie miała jeszcze do czego wracać.

Nie tylko Niemcy zaczynają się źle czuć w repolonizowanej polskiej gospodarce. Ma tak także holenderski Heineken. Grupa Żywiec, należąca do tego koncernu, ogłosiła bowiem, że „Browar w Namysłowie z początkiem 2026 r. przestanie działać". W komunikacie spółki czytamy, że winne są „spadek rynku piwa, rosnące koszty i podatki". Na efekt tych słów nie trzeba było długo czekać. Burmistrz Namysłowa przyznał, że pracę może stracić około 100 osób. To niemal cała załoga jednego z najstarszych browarów w Polsce – warzącego piwo od 1321 r. „Po raz kolejny nasz browar stanie na zakręcie i wierzę, że to tylko zakręt" – mówił burmistrz w radiu, mając nadzieję, że historia nie skończy się wraz z obecnym właścicielem. Heineken tłumaczy, że pracownicy otrzymają „pełen pakiet odpraw oraz dodatkowe wsparcie", a firma prowadzi rozmowy o sprzedaży aktywów browaru. „Ich szczegóły objęte są umowami o zachowaniu poufności" – dodano. Tajemniczo, ale niepokojąco. Bo co jak co, ale koncerny piwowarskie nie zamykają rentownych zakładów. Zresztą nie tylko Heinekenowi zaczyna w Polsce gorznieć. Złote czasy nad Wisłą kończą się także dla innych zagranicznych gigantów. Niemcy płaczą po swoich fabrykach, Francuzi z Carrefoura tną etaty, a Hiszpanie z Santandera uciekli z Polski, sprzedając biznes Austriakom. „Kończy się era naiwnej globalizacji. Czas na odbudowę narodowej gospodarki" – mówił Tusk. Ale w praktyce wychodzi na to, że zamiast narodowej odbudowy mamy narodowe zamykanie. Avon zwalnia w Garwolinie, Atos w Bydgoszczy i Warszawie, Carrefour w całej Polsce, a teraz jeszcze Browar Namysłów w sercu piwnej tradycji. Oczywiście można powiedzieć, że to tylko rynek. Że piwo się nie sprzedaje, bo Polacy przestali pić tyle, co kiedyś, a podatki i koszty rosną. Ale można też zapytać: kto te podatki podnosi i kto te koszty winduje?



Rys. WIDGET

Ale GUS wie swoje. A z jego wyliczeń wynika, że Polakom wciąż rośnie. We wrześniu 2025 r. średnie wynagrodzenie w dużych firmach wyniosło 8750 zł. Względem poprzedniego roku to o 7,5 proc. więcej. Czyli znów lepiej. W dodatku płace wciąż rosną szybciej niż inflacja, a ta – według GUS – spadła do 2,9 proc. To znaczy, że realnie zarabiamy o jakieś 4,6 proc. więcej niż rok temu. Czwarty miesiąc z rzędu do przodu, 26 z dodatnim bilansem. A że zatrudnienie co prawda nieco się skurczyło – o 0,8 proc. – kto by się przejmował, skoro w kieszeni robi się grubsza wypłata? No, przynajmniej na papierze, bo już w październiku wielu dobrze zarabiających hydraulików, spawaczy i górników zobaczy na koncie mniej. Wszystko dlatego, że rząd troszczy się, żeby rosło nie tyle podatnikom, co budżetowi. I nie podnosi progów podatkowych. Eksperci policzyli, że w tym roku nawet co 10. Polak może wpaść w drugi próg podatkowy. Jak ktoś zarabia 13 tys. zł brutto, nagle może dostać mniej niż kolega z 10 tys. Bo państwo stwierdza, że „trzeba się dzielić". Ekonomiści mówią wprost: „Brak waloryzacji progów podatkowych to ukryta podwyżka podatków, szczególnie dla osób na etatach". Ministerstwo Finansów udaje, że nie ma problemu, bo „drugi próg dotyczy niewielu". Tymczasem w 2022 r. obejmował 800 tys. osób, a w 2024 już 2 mln. Jeśli tak dalej pójdzie, to w przyszłym roku obejmie nie „elitę", a większość tych, co mają kredyt, dwójkę dzieci i kombi na gaz. Ale nie ma co narzekać, bo przecież Polska to 20. gospodarka świata. Tak mówią ci sami, którzy chwalą się, że średnie zarobki to 9 tys. zł, a inflacja spadła. I chociaż hydraulik płaci wyższy podatek, a spawacz wchodzi w drugi próg, to przecież GUS zapewnia, że wciąż jesteśmy w fazie wzrostu. Bo kto by tam patrzył na przelew, skoro w tabelkach urosło.

TTJ

eprasa.pl 1d3e1214be

Bida z nędzą



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Realia „20. gospodarki świata”

Premier Tusk doznaje prawie orgazmu, pieprząc, że Polska jest 20. gospodarką świata, a jej wartość sięgnęła biliona dolarów. No, teraz jesteśmy pany, światowa potęga, nieomal jak w czasach Gierka, gdy byliśmy też – wedle oficjalnych zapewnień – jednym z najbardziej uprzemysłowionych państw na Ziemi. Tej Ziemi.

Jedną z gorszych rzeczy, jaka może spotkać polityka, jest uwierzenie we własną propagandę. Zwłaszcza propagandę sukcesu. A przecież nie jest Tusk odcięty całkiem od głosów oddolnych.

Weźmy niedawne spotkanie w Piotrkowie Trybunalskim, gdy młoda kobieta spytała lidera uśmiechniętej koalicji: „Wiele razy powtórzył pan, że Polska jest dwudziestą gospodarką na świecie. To chcę zapytać, jak to jest, że w tej dwudziestej gospodarce na świecie młodym ludziom, takim jak my, nie starcza do pierwszego?”. Padły też pytania o osoby niepełnosprawne. Tusk pochwalił się, ile to czasu jako premier poświęca niepełnosprawnym, poza tym inflacja i bezrobocie są niskie. I podsumował protekcjonalnie: „Jeśli chcecie naprawić cały świat, to ja nie mam szans z wami oczywiście”.

Dwa lata po wyborach, w których Polacy odsunęli PiS od władzy, nie zamierzam premiera rozliczać z „naprawiania całego świata”, ale z tego, co on konkretnie zrobił dla najsłabszych w społeczeństwie – biednych, bezdomnych, wykluczonych, chorych i niepełnosprawnych. Posłuży temu właśnie opublikowany raport „Poverty watch” o ubóstwie w Polsce, stworzony przez Polski Komitet Europejskiej Sieci Przeciwdziałania Ubóstwu (EAPN Polska). To najbardziej miarodajne źródło wiedzy o problemie biedy i nędzy w naszym kraju, stworzone przez dr. hab. Ryszarda Szarfenberga.

Jedna dobra i wiele złych wiadomości

Żeby nie było, że widzę szklankę do połowy pustą, a nie do połowy pełną. Raport przynosi jedną na pewno bardzo dobrą wiadomość. W porównaniu do roku 2023 spadło ubóstwo skrajne i nierówności dochodowe. Zasięg ubóstwa zagrażającego biologicznemu bytowi jednostki w ciągu tego roku znacznie się ograniczył: z 2,6 mln do 1,9 mln ludzi. Zawdzięczamy to wzrostowi płacy minimalnej i zwiększenia świadczeń na dzieci z 500 do 800 zł. Wedle danych GUS-u zmalało skrajne ubóstwo dzieci, wedle Eurostatu – zmniejszyła się deprywacja materialna i społeczna dzieci.

Tyle dobrego.

Znacznie wzrosło ubóstwo relatywne oparte na wydatkach – z 12,2 proc. (4,6 mln) do 13,3 proc. (5 mln).

Jak komentują autorzy raportu: „Ten pozorny konflikt jest w rzeczywistości sygnałem ostrzegawczym, w okresie ożywienia gospodarczego i spadku inflacji tempo wzrostu konsumpcji uboższej części społeczeństwa nie nadąża za resztą społeczeństwa, co powiększa dystans i poczucie wykluczenia”.

Rację ma Zygmunt Bauman: czym innym jest bycie biednym w biednym społeczeństwie, czym innym jest bieda (o nędzy nie wspominając) w społeczeństwie bogatym i bogacącym się. Miliony Polaków to, jak by powiedział Bauman, wybrakowani konsumenci, wykluczeni z orgii zakupów i wiodący życie, które nie uchodzi nie tylko za wygodne, ale nawet godne.

Wszystkie dzieci są ponoć nasze – ale uśmiechnięta koalicja poza podniesieniem (poniekąd pod naciskiem PiS-u) świadczenia wychowawczego nie zrobiła dla tych naszych dzieci w zasadzie nic.

Prawdziwą hańbą dla lewicy – która w osobie Agnieszki Dziemianowicz-Bąk kieruje resortem rodziny, pracy i polityki społecznej – jest fakt, że 975 tys. osób w skrajnym ubóstwie jest formalnie zbyt bogatych, aby być ubogimi według ustawy o pomocy społecznej. To skutek wadliwego mechanizmu weryfikacji kryteriów dochodowych. Sprawa jest prosta – skoro próg skrajnego ubóstwa rośnie wraz z inflacją, zamrożone progi pomocy socjalnej zwyczajnie nie nadążają za rzeczywistością gospodarczą. Innymi słowy: połowa nędzarzy wedle polskiego prawa nie zasługuje na wsparcie publiczne!



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Całe obszary wykluczenia społecznego są rażąco niedoszacowane. I tak ubóstwo transportowe dotyka 2,5 mln osób, niedoszacowane jest ubóstwo żywnościowe i realna skala bezdomności – trudno uwierzyć w oficjalną liczbę 53 tys. ludzi.

Premier Tusk, reagujący na każde pierdnięcie rywali politycznych w mediach, jest dziwne niezainteresowany dyskusją o ograniczaniu ubóstwa. Aktualny Program Przeciwdziałania Ubóstwu i Wykluczeniu Społecznemu to – jak pisze Szarfenberg – dokument, „którego cele są podważane przez sprzeczne z nimi decyzje polityczne”. Nie ma mechanizmów monitoringu i realnego dialogu społecznego, toteż politycy robią, co chcą – za to nie robią tego, co powinni.

Niepokojące dane

A teraz warto sięgnąć po garść konkretnych liczb, ukazujących skalę biedy i wykluczenia w Polsce.

Po pierwsze, dane GUS-u, wedle którego ubóstwo skrajne dotyka 6,6 proc. w 2023 r., są prawdopodobnie potężnie zaniżone, gdyż urząd przecenia zapewne tzw. korzyści skali. Jeśli zastosuje się inną metodologię – jak się wydaje, precyzyjniej oddającą wydatki niezbędne do przeżycia – zasięg skrajnego ubóstwa to aż 12 proc.

Jeszcze bardziej ponuro jest, gdy spojrzymy na tzw. ubóstwo żywnościowe, czyli brak zdolności poniesienia wydatków na żywność na poziomie zapewniającym przetrwanie. Otóż przyjmując jako granicę ubóstwa żywnościowego wartość koszyka żywnościowego z minimum egzystencji (niecałe 380 zł miesięcznie na osobę w 2023 r.), problem ten dotyka aż 42,4 proc. populacji. W skrócie: gdy jeden Polak wyrzuca do śmieci drogie żarcie, drugi kładzie się spać głodny.

W epoce, w której mobilność jest wszystkim, ubóstwo transportowe ma się doskonale – zarówno od strony popytowej (brak kasy na transport), jak i podażowej (fizyczny brak dostępu do transportu publicznego). W najostrzejszej formie dotyka ono 2,5 mln osób, lecz – jeśli weźmiemy pod uwagę wszystkie obszary o słabym zaopatrzeniu w transport – cierpi na nie ponad 8 mln osób. Geograficznie patrząc, najgorzej jest na ścianie wschodniej, obszarach górskich i „wewnętrznych peryferiach” województw. Gdyby uśmiechnięta koalicja chciała zainteresować się mieszkającymi tam ludźmi – zwykle głosującymi na PiS – zyskałaby przychylność wielu z nich. Ale to wymagałoby dla odmiany zrobienia czegoś konkretnego – innego niż zasieki i betonowe zapory, by zatrzymać nadciągające podobno lada dzień ruskie czołgi…

Dotknięci wykluczeniem transportowym ludzie muszą kupować zdezelowane auta, które są wciąż domagającą się napełnienia skarbonką. Co więcej, czytamy w raporcie: „38 proc. mieszkańców dotkniętych obszarów rezygnuje z możliwości zatrudnienia z powodu ograniczeń mobilności”. I problem nie ogranicza się do pracy: „brak transportu poważnie ogranicza dostęp do opieki zdrowotnej; 71 proc. osób na obszarach wykluczonych ogranicza wizyty u specjalistów medycznych, a 11 proc. rezygnuje z nich całkowicie, co prowadzi do długofalowego pogorszenia stanu zdrowia”.

Cierpią też młodzi: aż 44 proc. uczniów szkół średnich, którzy brali pod uwagę opcje transportu, twierdzi, że dostępność była kluczowym czynnikiem decydującym o wyborze szkoły: często musieli wybrać bliższe, choć mniej im odpowiadające placówki. Niekiedy wręcz dziczeją: „49 proc. wszystkich młodych ludzi opuściło spotkania towarzyskie z przyjaciółmi z powodu problemów z transportem, a 29 proc. uważa, że te bariery negatywnie wpływają na ich relacje i liczbę przyjaciół”.

Przejebane mają rodziny, w których jest osoba z niepełnosprawnościami. Jeżeli wskaźnik ubóstwa relatywnego dla rodzin bez takich problemów sięga 12,5 proc., w przypadku rodzin, w których ktoś jest dotknięty taką przypadłością, wyniósł już 16,8 proc.

Gwoli ścisłości – przejebane mają nawet pracownicy socjalni, z których 70 proc. tyra za pensję minimalną, a na dodatek robi się to coraz niebezpieczniejszy zawód. W 2023 r. zgłoszono 28 napaści na nich, rok temu – już 186. Zastanawiające, że aż 46 z nich odnotowano w wielkopolskim, co sugeruje, że skłonność do raportowania takich zdarzeń jest odmienna w różnych miejscach w kraju. Plusem jest wywalczenie dodatku motywacyjnego (co miesiąc 1000 zł brutto) – program zaczął się od połowy zeszłego roku i ma trwać do końca 2027 r.

Cztery zalecenia i przęsło

Karol Modzelewski, który za komuny siedział latami w pace za działalność opozycyjną, pisał w jednej książce o dowcipie, jaki opowiedzieli mu starzy recydywiści.

Pytanie: jaka maszyna nigdy nie kopie w dupę? Odpowiedź: polska maszyna do kopania w dupę. Z postępowaniem państwa polskiego wobec najsłabszych grup społecznych jest dokładnie odwrotnie – tam, gdzie powinna działać polityka społeczna, działa wyłącznie kopanie w dupę.

Zamiast systemu opieki społecznej, opartego na stabilnych i przewidywalnych mechanizmach, mamy w najlepszym razie czysto doraźne działanie państwa.

Szarfenberg wydał cztery strategiczne rekomendacje.

Po pierwsze – trzeba zlikwidować „lukę socjalną”: „Należy pilnie wprowadzić mechanizm corocznej, automatycznej waloryzacji kryteriów dochodowych w pomocy społecznej, wiążąc je z obiektywnymi wskaźnikami ekonomicznymi, takimi jak minimum socjalne”.

Po drugie – odbudowa świadczeń rodzinnych. Zasiłki rodzinne są zamrożone od 2016 r.! Konieczne jest jednorazowe i to skokowe ich podwyższenie, skoro od tego czasu inflacja poszybowała jak Adam Małysz w najlepszych latach. Aby uniknąć dowolności kształtowania polityki kosztem najuboższych, należy wprowadzić mechanizmy ich regularnej aktualizacji. Jak podkreśla Szarfenberg, „kryteria dochodowe w tym systemie powinny być co najmniej półtora razy wyższe niż w pomocy społecznej, a obecnie są nawet niższe. Transfery są skuteczne w ochronie przed ubóstwem, ale trzeba z nich uczynić stabilny i kompleksowy system, a nie narzędzie jednorazowych interwencji”.

Po trzecie – daleko nie zajedziemy bez opracowania wiarygodnej strategii zmniejszania ubóstwa i zakończenia bezdomności na lata 2028–2034. Zgodnie z zasadą „nic o nas bez nas”, w jej opracowaniu powinny brać rzeczywisty udział organizacje społeczne i ludzie z doświadczeniem ubóstwa i bezdomności. Taka strategia musi się opierać na rzetelnej diagnozie, mieć wpisane konkretne cele i być wyposażona w skuteczne narzędzia monitoringu i oceny.

Po czwarte – trzeba ugruntować politykę w prawach społecznych. Oznacza to ratyfikację Zrewidowanej Karty Społecznej i protokołu skargowego do niej. Dzięki temu uzyskamy prawne, trwałe podstawy walki z ubóstwem i bezdomnością, które – co istotne – będą poddane międzynarodowej kontroli.

Wybitny polski socjolog Stefan Ossowski nieraz powtarzał, że wytrzymałości mostu nie mierzy się średnią nośnością przęseł, lecz nośnością najsłabszego przęsła. Jeśli miliony Polaków, dumnie zamieszkujących kraj szczycący się „20. największą gospodarką świata”, są wykluczone z rosnącej zamożności społeczeństwa jako takiego, to coś tu nie gra – zwłaszcza gdy współrządzi tzw. lewica.

Jeśli ministra Dziemianowicz-Bąk dalej będzie bać się o swój stołek i dbać o własną karierę – a pojawiają się głosy, które widzą ją na czele nowego ugrupowania, zasilonego bardziej liberalną częścią PO, niechętną kolejnemu skrętowi partii w prawo – to wyborcy wystawią całej lewicy rachunek przy urnach. Co może nastąpić szybciej, niż się komukolwiek zdaje.

ZUZ

eprasa.pl 1d3e1214be

Język jako źródło cierpień

Freud wciąż boli

Otóż wczoraj, jeśli dziś jest 18 października, kiedy piszę, co piszę, pomazaniec narodu Karol Nawrocki – z legitymacji ponad 10 mln obywateli i może dwóch wątpiących – zadał cios w kroczę zwyrodnialstwu językowemu, wetując ustawę o uznaniu języka wilamowskiego za język regionalny. Nie wiecie, co to jest ten język wilamowski? I bardzo dobrze, dlatego nigdy nie zostaniecie prezydentami. Prezydent wiedział. Wiedział i rozumiał, jakie zagrożenie dla zdrowego kręgosłupa narodowej polszczyzny niesie grupa staruszków z Wilamowic, którzy mamroczą słowa niezrozumiałe nawet dla Google Translate.

Językiem wilamowskim posługuje się w Polsce aż 30 osób w miasteczku Wilamowice, liczącym 3165 mieszkańców, koło Bielska-Białej. Gdyby zatem uznać wilamowski za język regionalny, to za chwilę cała Polska zaczęłaby mówić po wilamowsku. Katowice by poszły, Warszawa by padła, a telewizja publiczna musiałaby zatrudnić tłumacza z wilamowskiego na polski i odwrotnie. Zapanowałby chaos semantyczny, rozpad znaczeń i niebezpieczeństwo, że ktoś pomyli „ojczyznę" z „ojcizną".

Dlatego decyzja Nawrockiego była słuszna. Bo, jak rozumuje głowa państwa, najlepiej, żeby na świecie był tylko jeden język: język polski. Świat uniknąłby wtedy nieporozumień.

Językowa utopia

Oczywiście ta ostatnia teza jest prawdziwa wyłącznie w wyobraźni Karola Nawrockiego, która – delikatnie mówiąc – nie należy do najprzenikliwszych. W jego wizji wystarczyłoby ujednolicić mowę, by zapanowały ład, harmonia i święty spokój. Tymczasem wystarczy otworzyć usta w dowolnym punkcie Polski, żeby przekonać się, że to właśnie wspólny język jest naszym najdoskonalszym narzędziem nieporozumienia. Nie trzeba się zresztą Polsce zbyt długo przyglądać, by zauważyć, że ludzie, którzy się rozumieją, w rzeczywistości się nie rozumieją.

Nie jest to przypadłość wyłącznie nadwiślańska. Ten sam paradoks trawi również wyznawców angielszczyzny, chińszczyzny czy suahili. Brytyjczycy potrafią prowadzić całe rozmowy o pogodzie, nie wymieniając ani jednego komunikatu, Chińczycy rozumieją się z rządem mniej więcej tak jak obywatel z automatem do biletów, a użytkownicy suahili od tysiąca lat kłócą się, czy słowo *umoja* oznacza jedność, czy tylko chwilowy brak noża w ręku sąsiada.

Jak oszukujemy rzeczywistość

Otóż dzieje się tak dlatego, że ludzki język – ten sam, który miał nas uczłowieczyć – jest w gruncie rzeczy systemem fałszu. Nie w sensie moralnym, lecz poznawczym. Język, którym się posługujemy, na którym zbudowaliśmy cywilizację, naukę, kulturę i prawo, jest – z punktu widzenia rzeczywistości – doskonale bezsensowny. To genialna konstrukcja opartego na dźwiękach złudzenia, wspólna halucynacja gatunku, który pomylił artykulację z prawdą.

Słowa, te nasze najcenniejsze narzędzia myślenia, w większości przypadków nie oznaczają niczego rzeczywistego. Są tylko znakami umownymi, arbitralnymi etykietami, które przylepiamy do zjawisk, uznając, że dzięki tym etykietom będziemy zjawiska rozumieć.

Wszechświat bez góry i dołu

Drzewo nie wie, że jest drzewem. Kangur nie wie, że jest kangurem. Kiedy mówimy „słońce wschodzi", nie mówimy niczego prawdziwego, bo słońce nie wschodzi – to Ziemia wykonuje ruch obrotowy, a my potrzebujemy złudzenia „wschodu".

Podobnie mówimy o „biegu czasu", jakby czas dokądś biegł, podczas gdy w fizyce nie ma żadnego kierunku „do przodu" – istnieje tylko entropia.

Mówimy „niebo jest niebieskie", choć to jedynie rozproszenie światła w atmosferze, a nie żadne realne „niebo".

Twierdzimy, że „człowiek ma wolną wolę", choć neurologia coraz śmielej dowodzi, że decyzje zapadają w mózgu ułamki sekund, zanim człowiek pomyśli, że coś postanowił.

Powtarzamy, że „ziemia jest pod nami", jakby wszechświat znał pojęcia „góra" i „dół". Tymczasem w kosmosie nie istnieje ani jedno, ani drugie – kierunki to wytwór naszej orientacji w przestrzeni, nie własność rzeczywistości. Mówimy też, że „świat się kończy", jakby miał krawędź, za którą zaczyna się nicość, choć wszechświat nie ma ani początku, ani końca. Wielki Wybuch był co najwyżej pewnym stanem przejściowym – chwilą, w której coś stało się dostrzegalne dla fizyki, ale niekoniecznie początkiem czegokolwiek. Końca również się nie przewiduje – materia tylko zmienia formę, energia przechodzi z jednego układu w inny, a tylko nasze zdania mają początek i koniec, bo to jedyne rzeczy skończone, jakie potrafimy wymyślić.

Ogień się nie żali, lód nie drży, język wymyśla cierpienie

Ale to jeszcze nie byłby powód, żeby rzucać się sobie do gardeł. Problem polega na tym, że zdecydowana większość naszych myśli i słów w ogóle nie dotyczy rzeczy faktycznych – nawet jeśli są nieudolnie nazwane (jak pies) – ani rzeczy quasi-faktycznych (jak zimno). Większość naszej gadaniny to opinie, osądy i wartościowania, które natura ma absolutnie gdzieś, bo jej do niczego nie są potrzebne.

Weźmy choćby ten ogień i lód. Czy ogień jest gorący, a lód zimny? Tylko w naszym przekonaniu. Dla ognia to żadna cecha, tylko stan istnienia. On nie zastanawia się, czy mu ciepło, nie ma termometru ani refleksji moralnej na temat swego płomienia. Lód też nie



ma poczucia chłodu. Nie drży z zimna, nie marznie, nie prosi o koc. To my, ludzie, wymyśliliśmy temperaturę, żeby mieć powód do narzekania.

Podobnie z przeciwieństwami. Czy woda jest przeciwieństwem ognia? W żadnym razie. Ogień nie czuje się zagrożony przez wodę, a woda nie czuje triumfu, gdy go gasi. To tylko nasza językowa projekcja. Dramat wpisany w naturę, której samej dramaty są obce. Tak samo jak „początek" i „koniec", „dobro" i „zło", „prawda" i „fałsz" – to wszystko produkty językowe, a nie fakty przyrodnicze.

Językowe wirusy w natarciu

Przyjrzyjmy się teraz tej sferze języka, która rzeczywiście prowadzi do przemocy – języka, w którym słowa nie opisują świata, lecz nim rzucają, jak kamieniem. Wystarczy wypowiedzieć kilka dobrze znanych fraz: „komuniści to świńska zaraza", „Żydzi to parchy", „podatek VAT jest niesprawiedliwy", „własność to kradzież".

Każde z tych zdań brzmi jak stwierdzenie faktu, ale nie ma żadnego rzeczywistego znaczenia ani jako całość, ani po rozłożeniu na części. Bo czy komunista biologicznie różni się od niekomunisty? Czy ktoś, kto głosuje na lewicę, ma w genach większe stężenie ideologii niż sąsiad z prawej strony ulicy? Nie. Czy Żyd różni się od białego anglosaskiego protestanta? Biologicznie – nie, ale językowo i kulturowo – aż nadto. To właśnie język, nie geny, tworzy różnice między ludźmi. To on wymyślił rasy, narody i cywilizacje – kategorie, które nie istnieją w naturze, ale wciąż potrafią rozpalać emocje i wojny.

Czy ktokolwiek ma coś wspólnego ze świnią, poza tym że świnia też oddycha? Nie. Czy ktoś jest „zarazą"? Oczywiście, że nie – choć to słowo raz wypuszczone w eter potrafi infekować umysły szybciej niż jakikolwiek wirus.

To samo dotyczy pojęć rzekomo poważnych, jak „sprawiedliwy podatek" czy „święte prawo własności". Czy podatek może być sprawiedliwy lub niesprawiedliwy? Nie, bo podatek to formuła księgowa, a sprawiedliwość to konstrukcja metafizyczna. Ich zestawienie ma tyle sensu, co stwierdzenie, że marchewka jest bardziej moralna od pietruszki. A „własność to kradzież"? Porażające hasło, które zawdzięczamy XIX-wiecznej wściekłości i biedzie ubranym w filozofię. Ale własność nie jest ani moralna, ani niemoralna – to tylko zapis w księdze wieczystej, podpis, numer działki i stempel urzędnika.

Metafora staje się wyrokiem

Język, którym się posługujemy, nie jest już systemem porozumienia, lecz maszyną do generowania uprzedzeń i pozorów sensu. Nie dlatego, że słowa są złe, tylko dlatego, że zaczęliśmy je traktować jak fakty. Gdy ktoś powie „zaraza", nie widzimy już metafory – widzimy człowieka, którego trzeba się pozbyć. Gdy ktoś mówi „niesprawiedliwość", nie słyszymy idei, tylko pretekst do aresztowania. Skutki tego fałszu są jednak jak najbardziej realne: nienawiść, lęk, wojna. Słowo, które nie znaczy nic, potrafi zabić wszystko.

I dlatego czasami, w przypływie dobroci i filozoficznego znużenia, wyobrażam sobie świat, w którym ludziom nagle odjęło mowę. Ot, tak. Pewnego ranka wszyscy budzą się i… cisza. Nikt nie pamięta słów, nikt nie umie czytać, pisać, komentować, tłumaczyć ani wyrażać opinii. Znikają konferencje, debaty, pyskówki w telewizji, manifesty w internecie i kazania w kościołach. Nie ma już „proszę pani", „nie zgadzam się", „a właśnie że tak". Panuje milczenie – monumentalne, spokojne, jak po dobrze wykonanym końcu świata.

I wtedy dopiero zaczyna się życie. Bo mimo utraty języka świat toczyłby się dalej. Słońce by wstawało, psy by szczekały, trawa by rosła, a ludzie pozbawieni słów zaczęliby wreszcie przypominać istoty, którymi kiedyś byliśmy: szczęśliwe zwierzęta z niepotrzebnie rozbudowanym mózgiem.

Czy mrówki się kłócą? Nie. Ustalają wszystko bez komisji i bez większości kwalifikowanej. Czy konie na padoku wdają się w ideologiczne spory? Niekiedy kopną, ale nie po to, żeby drugiemu dokopać – tylko żeby sobie ulżyć. One nie walczą o rację, tylko o przestrzeń. Czy ryby rzucają się sobie do gardeł? Owszem, czasem się zjadają, ale bez argumentów.

Oddech, zapach, dotyk i cisza

Gdyby więc ludziom na chwilę odjęło mowę, gdybyśmy zapomnieli języka w gębach i alfabetu w głowach, świat nie straciłby nic prócz hałasu. Zniknęłyby wojny o słowa, zbrodnie w imię pojęć, misje cywilizacyjne, dogmaty i debaty. Nie byłoby już „prawdy narodowej" ani „kłamstwa obcych mediów", bo bez języka nie dałoby się ich wymyślić.

Może wtedy w tej błogosławionej ciszy człowiek po raz pierwszy zrozumiałby świat – nie przez zdania, lecz przez oddech, zapach, dotyk, rytm. Może nawet odkryłby, że zrozumienie wcale nie wymaga języka. Że najgłębsze porozumienie to spojrzenie bez słów. I że prawdziwy raj nie został utracony przez jabłko, tylko przez pierwsze wypowiedziane zdanie.

Oczywiście w przeciągu zaledwie półtora pokolenia nasza tzw. cywilizacja i kultura przestałyby istnieć. Rozpadłyby się jak domek z kart zdmuchnięty podmuchem ciszy. Wrócilibyśmy do jaskiń, do ognia i gestów, do świata przed słowem. Czy warto by było?

ROBERT JARUGA

PS Oczywiście ten tekst powstał z okazji okrągłej 95. rocznicy pierwszego wydania jednej z najbardziej niezrozumiałych książek mojej akademickości „Das Unbehagen in der Kultur" Zygmunta Freuda. Czytałem ją najpierw w oryginale i byłem przekonany, że nic nie pojmuję, bo to wina mojej niemieckiej niegramotności. Potem sięgnąłem po polskie tłumaczenie Jerzego Prokopiuka „Kultura jako źródło cierpień" i nie zrozumiałem równie pięknie.

Dziś, po latach, mogę wreszcie powiedzieć, że zrozumiałem. Nie książkę, rzecz jasna – siebie w niej niepojmującego. Dziękuję, panie Zygmuncie.

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ Problem incydentów kałowych od tygodni spędza sen z powiek zarządcom Parku Wodnego w Ostrołęce. W ciągu jednego miesiąca – trzy przypadki! Kierownik obiektu rozważa zgłoszenie sprawy odpowiednim służbom, ale na razie zgłosił ją mediom, co w sumie daje podobny efekt zapachowy. „To dla mnie nie do pomyślenia, jak mogło dojść do takiej sytuacji w basenie głębokim" – powiedział z trwogą. I dodał, że wcześniej podobne zdarzenia miały miejsce jedynie w brodziku dla dzieci. „Tu to albo kwestia fizjologii użytkownika, albo celowe działanie". Tak więc naród wzbogacił język ojczysty o nowy, dumnie brzmiący trwały związek frazeologiczny „incydent kałowy". Brzmi poważnie, urzędowo i trochę po europejsku.

▮ Starsza prawdziwa kobieta z Ukrainy padła ofiarą fałszywego taksówkarza w Warszawie. Za 15-minutowy kurs o długości 6,5 km zapłaciła 720 zł, po tym jak kierowca przełączył taryfę na nocną pozamiejską i wystawił niefiskalny paragon. Poszkodowana nie zgłosiła sprawy na policję, bo tego samego dnia wylatywała z Polski. Jak więc historia trafiła do mediów – nie wiadomo. Może sam „taksówkarz" pochwalił się wynikiem.

▮ Na sprzedaż pojawił się Fiat 126p z 1993 r., który przez 32 lata stał w garażu. Ma na liczniku 282 km, folię na siedzeniach i duszę PRL w idealnym stanie. Auto jest zarejestrowane wraz z OC. Firma Szafran oferuje ten skarb za 83 tys. zł. Nie należy jednak traktować tej propozycji całkiem serio. Na ich witrynie można znaleźć równie urocze eksponaty: Warszawę M20 z 1963 r. za 249 tys., Fiata 125p z 1974 r. za 59 900 zł i Junaka M10 z 1960 r. za 37 500 zł. Krótko mówiąc, salon Szafran to nie komis samochodowy, tylko wehikuł czasu, w którym każda złotówka pachnie benzyną ołowiową i sierpniem '76.

▮ Międzynarodowa Unia Astronomiczna oficjalnie nadała nazwę „Chorzów" planetoidzie o numerze 535266, odkrytej przez polskich astronomów Michała Kusiaka i Michała Żołnowskiego. Obiekt ma 2,2 km średnicy, krąży między Marsem a Jowiszem i potrzebuje 4,77 roku, żeby oblecieć Słońce. Mniej więcej tyle, ile trwa remont jednej ulicy w centrum Chorzowa. Nazwę przyznano w uznaniu 70-letnich tradycji astronomicznych miasta, w którym działa legendarne Planetarium Śląskie. W kosmosie krążą już planetoidy Kraków i Toruń. Brakuje tylko jednego – wysłać Sosnowiec na Księżyc, by wreszcie zaprowadzić w Polsce astronomiczną harmonię.

▮ Kancelaria Prezydenta ogłosiła przetarg na osiem limuzyn za łączną kwotę 3,86 mln zł, czyli 482 tys. za sztukę. Wymagania nie są skromne nawet jak na głowę państwa: minimum 285 koni, napęd 4×4, skórzana tapicerka, emisja CO_2 poniżej 50 g/km. Oczywiście – hybryda klasy premium. Czyli, tłumacząc z urzędniczego na ludzki: Mercedes albo BMW. Początkowo planowano tańszy przetarg na 10 aut, ale po objęciu urzędu przez Karola budżet zwiększono o 1,45 mln zł, a liczbę samochodów zmniejszono do ośmiu. OK, pierwszy steryd anaboliczny Rzeczypospolitej nie będzie się woził furmanką. Choć pozostaje pewien niepokój. Niemieckie auta, hybrydy, elektronika... Kto wie, może Abwehra już tam Pegasusa z aktualizacją zainstalowała.

▮ Kraków znalazł się w głębokim kryzysie finansowym. Władze miasta planują zwiększyć dług o kolejne 305 mln zł, emitując obligacje, z których wpływy mają pokryć pensje nauczycieli i kierowców autobusów. Na koniec roku zadłużenie sięgnie 7,8 mld zł, czyli o 23 proc. więcej niż w chwili objęcia urzędu przez prezydenta Aleksandra Miszalskiego. Radni zwołują nadzwyczajną sesję poświęconą finansom, a opozycja zarzuca władzom, że miasto zadłuża się już nie na inwestycje, lecz na przetrwanie. Tymczasem sektor bankowy może otwierać szampana. Dla niego to złoty wiek renesansu. Jeśli tempo zadłużania Krakowa się utrzyma, Wawel trafi do portfela inwestycyjnego PKO BP, a Sukiennice staną się filią banku hipotecznego.

▮ Wynagrodzenia pochłaniają coraz większą część lokalnych budżetów. Według danych Ministerstwa Finansów i GUS, od 35 do 45 proc. wydatków gmin to pensje i składki pracownicze, a w najmniejszych gminach udział ten potrafi sięgnąć nawet 60 proc. W dużych miastach to zwykle 25–35 proc. Nie jest to jednak jeszcze powód do alarmu. Polska ze średnim poziomem 41 proc. mieści się w europejskiej normie. Dla porównania: Niemcy – 32 proc., Francja – 35, Czechy – 38, Włochy – 33, Hiszpania – 36 proc. Innymi słowy: nasze samorządy płacą trochę hojniej niż europejska średnia, ale wciąż grają w tej samej orkiestrze.

▮ Główny Urząd Statystyczny opublikował dane o ruchu ludności w pierwszej połowie 2025 r. Demograficzny kryzys Polski pogłębia się. W ciągu sześciu miesięcy urodziło się jedynie 115,7 tys. dzieci, czyli o 7,9 proc. mniej niż rok wcześniej, podczas gdy zmarło 208,4 tys. osób – o 2,5 proc. więcej. Oznacza to spadek liczby ludności o 87 tys., co odpowiada zniknięciu miasta wielkości Słupska. Dodatni przyrost naturalny odnotowano tylko w sześciu powiatach, a w ponad połowie kraju na jedno urodzenie przypadają co najmniej dwa zgony.

▮ Krajowa Administracja Skarbowa w Wielkopolsce wykryła ponad 5,5 tys. fikcyjnych faktur wystawionych przez spółkę odzieżową. Wartość dokumentów przekroczyła 200 mln zł, a budżet państwa stracił ponad 37,5 mln zł z podatku VAT. W proceder zamieszane były osoby pochodzenia azjatyckiego. Chiny znalazły nowy sposób na podbój polskiego rynku. Nie przez tanią odzież, lecz przez modę na faktury zamiast spodni. Okazuje się, że w polskim kapitalizmie bardziej opłaca się drukować dokumenty niż tkać dżinsy.

▮ Poczta Polska wzięła się za kierowców. Kontrolerzy robią zdjęcia odbiorników radiowych przez szyby samochodów, traktując je jako dowód posiadania odbiornika i podstawę do naliczenia abonamentu RTV. Kara za brak opłat to ok. 300 zł, do tego mogą dojść zaległości za pięć lat wstecz. Razem nawet 2457 zł.

eprasa.pl 1d3e1214be

Na polskich nekropoliach życie kwitnie. I to jak!

Wieczne odpoczywanie?

Cmentarz to miejsce, gdzie każdy w końcu milknie. Ale nie w Gorzowie. Tam ciszę przerwali wespół policja, ksiądz i 83-letni dziadek uzbrojony w dziesięciozłotówkę. A wszystko szło zgodnie z planem. Ksiądz odprawił pogrzeb, żałobnicy w zadumie ruszyli za trumną i pochowali, kogo mieli pochować. Tuż po uroczystości na przycmentarnej alei pojawił się radiowóz. Funkcjonariusze zatrzymali klechę do kontroli trzeźwości. Alkomat pokazał zero, ale gaśnicy brak. „Mandat 200 zł" – wyrecytowali stróże prawa. W tym momencie z grona żałobników wyszedł 83-letni mężczyzna i jął oponować. Policjanci chcieli go wylegitymować, a on zamiast dowodu wyjął 10 zł i rzucił im pod nogi z tekstem: „Masz na piwo, jak cię nie stać!".

To był początek najdziwniejszej bodaj stypy w Polsce. Staruszek próbował się jeszcze poszarpać, a wtedy na cmentarz wjechało pięć dodatkowych radiowozów. Żałobnicy przecierali oczy ze zdumienia. Zmarły spoczywa w pokoju, a nad nim toczy się bitwa o gaśnicę i dziesięciozłotówkę. Dzięki dzielnym mundurowym starszy pan został zabrany na komendę, gdzie nikt nie zapytał, kogo opłakiwał. Policja wyjaśniła potem: „Mężczyzna nie wykonywał poleceń, nie chciał się wylegitymować, doszło do szarpaniny i naruszenia nietykalności funkcjonariusza".

Bo polski cmentarz bywa żywszy niż niejedna impreza. I tylko mieszkańcy grobów zachowują się przyzwoicie. Reszta – urzędnicy, księża i żałobnicy – potrafi zaskoczyć.

Jak w Konstancinie-Jeziornie, gdzie pogrzeb 93-letniej pani Janiny, cichej sąsiadki z podwarszawskiej willi, zamienił się w spektakl z pogranicza telenoweli, farsy i „Familiady".

Familiada

Pani Janina przez lata żyła spokojnie. Miała swój fotel, kota, ulubione gazety z krzyżówkami i przenośne radyjko od nieżyjącego syna. Na ławeczce przed domem przesiadywała od wiosny do jesieni. Aż tu nagle, dekadę temu, w jej 115-metrowej willi zaczęli osiedlać się siostrzeńcy – najpierw Maciej, potem Wojciech, później ich partnerki, wreszcie dzieci. W krótkim czasie staruszka miała pod dachem całą dziewięcioosobową familię.

„Czy ona się na to godziła? Szczerze wątpię" – opowiada jedna z sąsiadek. Od tamtej pory panią Janinę widywano coraz rzadziej. Dom, zamiast ostoi spokoju, stał się miejscem niekończących się kłótni, płaczu dzieci i telewizora ryczącego głośniej niż organista w Wielkanoc.

Sąsiedzi, zaniepokojeni, zaczęli zaglądać do starszej pani kontrolnie. Wpadali z czekoladkami i gazetą z programem telewizyjnym. Siostrzeńcy kręcili nosami, ale ciotka promieniała.

Pod koniec grudnia 2024 r. pani Janina zmarła. 30 grudnia odbył się pogrzeb. Starszy z braci, Maciej, posypał trumnę garścią ziemi. Jego żona, choć podobno za życia ciotki nie znosiła, wylewała krokodyle łzy. Widząc to, młodszy brat Wojciech nie wytrzymał i rzucił: „Nie udawaj, że ci przykro!"

„W tej chwili przeproś Kaśkę" – ryknął Maciej. „Twoja żona palcem nie ruszyła, kiedy moja codziennie ciotkę myła, podcierała, ubierała i czesała".

Wojciech odpowiedział bez ogródek: „On żadnej żałoby nie przeżywa, jemu chodzi tylko o pieniądze! Najchętniej wysłałby ciotkę do domu opieki, żeby szybciej przejąć dom. To dzięki mnie i mojej żonie ciotka umarła w godnych warunkach".

Kłótnia eskalowała. Żony obu braci dołożyły swoje, wyliczając, kto komu podkradł emaliowane garnki, a kto wymontował świeżo kupioną kuchenkę.

Zdezorientowany ksiądz próbował interweniować. Nie udało się. Widząc, że sytuacja wymyka się spod kontroli, duchowny szybkim krokiem oddalił się w stronę kościoła. Żałobnicy rozchodzili się w milczeniu, zostawiając braci i ich żony na cmentarnym polu bitwy. Awantura trwała jeszcze pół godziny.

Od czasu pogrzebu rodzina nadal mieszka razem, choć z osobnymi wejściami. Obaj bracia twierdzą, że są jedynymi spadkobiercami. Każdy powołuje się „te papiery ze stołu", co to je widziano, gdy pani Janina jeszcze żyła. Z domu regularnie dochodzą wrzaski i wyzwiska.

W Iwanowicach Małych mieszkali 34-letni pan Piotr i jego starszy o pięć lat brat Łukasz. Duet, o którym sąsiedzi mówili, że „żyli w konflikcie dłużej, niż pamiętają, kto komu pierwszy pożyczył kosiarkę i nie oddał". Piotr pracował jako zawodowy kierowca, trzy tygodnie w trasie, tydzień w domu. I właśnie ten tydzień, który dla większości rodzin jest okazją do oddechu, dla Piotra oznaczał początek wojny domowej.

„Nie tak dawno mało brakło, a Piotr by go udusił. Też Łukasza karetka wtedy wzięła. Oni się lali non stop, a trwało to już od dobrych kilku lat" – wspominał sąsiad mediom.

Awantury były wpisane w rytm wsi. Gdy Piotr wyjeżdżał w trasę, wokół domu panowała cisza. Gdy wracał, słychać było krzyki, trzaskanie drzwiami i odgłosy walki wręcz, czasem wymagającej interwencji policji i karetek.

Konflikt osiągnął swoje apogeum na cmentarzu. „Zauważyłem, że coś się tam dzieje około godziny 9. Łukasz leżał na zewnątrz na ziemi. Wokół niego był ojczym, brat młodszy, matka. A potem przyjechała karetka i Łukasza zabrała" – opowiadał świadek. Bo to na nekropolii rozległ się huk wystrzału, a w miejsce żałobników przybyli ratownicy medyczni, policjanci i prokuratorzy.

Piotr do ustrzelenia brata wybrał broń czarnoprochową. Łukasz przeżył. Kula utkwiła w żuchwie, lekarze zrobili swoje. Bracia kłócą się dalej. Chwilowo poza cmentarzem.

Trup cmentarny

Na cmentarzu przy ul. Wyszyńskiego w Krośnie dokonano – jak pisały media – „wstrząsającego odkrycia". Przechodzień znalazł ciało mężczyzny. A przecież – nie obrażając powagi sytuacji – cmentarz to jedno z nielicznych miejsc, gdzie widok nieboszczyka powinien dziwić mniej niż np. gołębia na rynku.

Pojawiły się nagłówki: „Makabryczne znalezisko na cmentarzu!", „Wstrząsające odkrycie w Krośnie!", „Tragedia pod murem nekropolii". Rzeczywistość była znacznie mniej sensacyjna. Jak informowała policja: „Do śmierci mężczyzny nie przyczyniły się osoby trzecie".

Czyli innymi słowy: człowiek, 50-letni mieszkaniec Krosna, po prostu umarł. W miejscu, gdzie od dekad umierający znajdują ostateczny adres. Prokuratura potwierdziła i „po przeprowadzonych oględzinach z udziałem prokuratora i lekarza ciało zostało wydane rodzinie".

Dziwić należy się więc nie tyle odkryciu, co zdziwieniu mediów. Bo w Polsce – kraju, w którym sądy od czasu do czasu muszą przywracać ludziom życie, gdy ktoś omyłkowo wpisze ich do rejestru zmarłych – trup na cmentarzu to raczej dowód, że system działa.

Kamień filozoficzny

Marcin i jego żona Justyna zapisali się w historii gnieźnieńskiego, a kto wie czy nie polskiego kamieniarstwa nie rzeźbą, a oszustwem. Zamiast solidnych nagrobków, które miały znamionować pamięć, poszkodowane rodziny otrzymywały w pakiecie puste obietnice, telefoniczne wymówki i opowieści o złej pogodzie.

„Co tydzień była inna wymówka. Raz, że kamień jeszcze na statku, innym razem, że płyta pękła albo że zdrowie nie pozwala, albo że COVID" – opowiadali dziennikarzom poszkodowani.

Interwencje podejmowały wszystkie największe redakcje. Polsat donosił o klientach, którzy zapłacili, a pomnika nie ujrzeli. TVP Poznań podawała przykłady ośmiu rodzin, które wyłożyły dziesiątki tysięcy złotych na nagrobki, a zamiast kamienia – dostawały tylko coraz bardziej fantazyjne usprawiedliwienia.

Ktoś płacił kilkanaście tysięcy złotych, podpisywał umowę, pokazywał miejsce na cmentarzu, wybierał płytę, krzyż, litery. A w zamian otrzymywał opowieść: „kamień przyjeżdża, ale utkwił w porcie", „płyta pękła, trzeba zamówić nową", „pogoda nie sprzyja pracom kamieniarskim", „kamieniarz zachorował" albo „zachorowała cała Polska, bo COVID".

Sąd w Gnieźnie nie miał złudzeń. Przewód sądowy otwarto i zamknięto tego samego dnia – 10 czerwca 2024 r. „Zeznania wszystkich osób były niemalże identyczne, co obrazowało wypracowany schemat oszustów" – stwierdził sąd. Osiem dni później zapadł wyrok: Marcin – rok i dwa miesiące bezwzględnego więzienia, Justyna – rok w zawiasach na dwa lata oraz obowiązek składania raportów co pół roku o tym, jak znosi wolność.

Do tego zwrot wszystkich pieniędzy oszukanym, solidarnie i bez wymówek. Grzywny i kosztów sądowych nie nałożono – by „przyspieszyć odzyskanie pieniędzy przez poszkodowanych".

Ksiądz i władca

Pani Aneta prowadziła w Świętochłowicach zakład pogrzebowy od 20 lat. Wydawałoby się – interes stabilny, w końcu rynek wieczny. Ale dwa lata temu zaczęły się schody. Nie dlatego, że mieszkańcy Świętochłowic przestali umierać, ale dlatego, że proboszcz jednej z parafii uznał, że niektóre firmy na cmentarz mają wstęp, a inne – już nie.

„Mojej firmie uniemożliwiał wykonywanie usług pogrzebowych na terenie parafii. Gdy przyszła rodzina załatwić pogrzeb, wręcz mówił, że z moją firmą nie współpracuje, że jeżeli będą u mnie robić pogrzeb, to nie pochowa na cmentarzu bliskiej osoby" – mówiła pani Aneta dziennikarzom.

Proboszcz odpowiadał krótko: „To nieprawda, nieprawda".

Historie żałobników brzmią jednak ciekawie. Pan Tomasz, który chciał pochować ojca sto metrów od domu, usłyszał od proboszcza: „Z tą firmą? A to nie ma szans, nie wpuszczam ich. Musicie zmienić zakład". I pochował ojca na innym cmentarzu.

Inni byli mniej uparci – po rozmowie na plebanii po prostu zrywali umowę z panią Anetą. Bo co zrobić, gdy ksiądz mówi, że na cmentarzu wstępu dla wybranej firmy nie ma?

Mama pani Anety, wysłana pod przykrywką klientki, też usłyszała, że „do każdego, tylko nie do tego zakładu".

Kiedy sama właścicielka zakładu próbowała rozmawiać z duchownym, ten porozumiewał się przez domofon. Pani Aneta nagrała nader interesujący dialog.

„Czy mogę księdza prosić?"

„Nie ma możliwości".

„Czy my mamy spotkać się w sądzie?"

„To, co wy robicie, to jest dalekie od normalności, cały cyrk związany z ekshumacją".

A to dlatego, że podczas jednej z ekshumacji na cmentarzu wynajęta przez proboszcza firma rozkopała kilkanaście grobów koparką. „Kości i czaszki leżały na wierzchu. Tam powinny być maty, każda ziemia ze szczątkami powinna być zabezpieczona" – mówiła pani Aneta.

Czy jej partner zgłosił sprawę do służb? Proboszcz twierdzi, że tak, i właśnie dlatego zakład pani Anety został objęty niełaską.

Kobieta pisała do kurii, a gdy nie dostała odpowiedzi, pojechała osobiście. Trafiła na biskupa. Ten nakazał księdzu wpuszczać jej firmę na cmentarz.

Efekt? Formalnie firma pani Anety jest wpuszczana. Ale jeśli wcześniej zakład miał kilkanaście pogrzebów miesięcznie, teraz są dwa albo trzy. A przy parafialnych tablicach ogłoszeń reklamy konkurencji kwitną, podczas gdy klepsydry pani Anety znikają po powieszeniu. Bo jak powiedział jeden z lokalsów: „Największe cyrki w tej parafii dzieją się nie na weselach, nie na odpustach, tylko na cmentarzu".

TOMASZ BOROWIECKI



Rys. WIDGET

zaległości za pięć lat wstecz. Razem nawet 2457 zł. Firmy muszą płacić za każde radio w aucie służbowym, a osoby prywatne są zwolnione, jeśli już płacą w domu. Cóż, wygląda na to, że listonosz staje się nowym fotoradarem. A ja, jak zwykle, miałem rację – nigdy im nie ufałem.

■ W miejscowości Pokój koło Namysłowa (woj. opolskie) doszło do katastrofy humanitarnej na fermie drobiu. W ogniu stanęły budynki gospodarcze, w których znajdowało się 150 tys. kur, kogutów i piskląt. Nie jest wykluczone, że w środku były także zapłodnione i niezapłodnione jajka. Życie w każdej fazie, od skorupki po dorosłe ptaki, spłonęło w kilka minut. To dramat, w którym wszystko, co miało gdakać, dziobać i znosić jajka, poszło z dymem. Na miejscu działało 36 zastępów straży pożarnej, policja zabezpieczyła teren i drogi dojazdowe. Przyczyny tragedii są badane, ale skutków już nic nie cofnie. Nad gminą Pokój unosi się zapach spalenizny i cisza po tysiącach głosów, które miały wkrótce skończyć w rosole.

■ Małopolska wojewódzka konserwator zabytków odmówiła wpisania Krupówek do rejestru zabytków, uznając, że ulica jest zbyt przekształcona i przeinwestowana. Tymczasem właśnie dlatego władze Zakopanego wnioskowały o ochronę konserwatorską, bo sztandarowy deptak miasta jest coraz bardziej przekształcany i przeinwestowywany. Magistrat i Towarzystwo Opieki nad Zabytkami zapowiadają odwołanie. Ich zdaniem brak ochrony pozwoli deweloperom na dalsze wyburzanie historycznych budynków. Nie znamy się na miejscowych zwyczajach Podhala, ale zdaje się, że na wyburzenie starego i postawienie nowego gmina powinna wydać zgodę. Wygląda jednak na to, że w Zakopanem jest inaczej.

RJ



Rys. OBYWATEL JANEK

PS Informacje powyższej pochodzą z prasy prowincjonalnej, której stopień kontaktu z rzeczywistością jest zróżnicowany regionalnie. Czytelnik zobowiązany jest do zachowania szczególnej ostrożności przy ich interpretacji, nieużywania ich do celów prawnych, moralnych ani towarzyskich oraz do powstrzymania się od spontanicznego wybuchu emocji.

eprasa.pl 1d3e1214be

Kolejny dowód na to, że Polska to najszczęśliwszy kraj na świecie.

Złoto po sam kuper



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy w 1989 r. runął mur komunizmu, Polska nie tyle zaczynała od nowa – według oficjalnej narracji ona się rodziła na nowo. Wszystko budowano od fundamentów. Ustawy, parlament, gospodarkę, nawet mentalność. Wzornictwo symboli państwowych nie było dodatkiem – było koniecznością. Orzeł flagowy, który przez lata zniewolenia stracił koronę, odzyskał ją w grudniu tamtego roku – to był moment prawdziwych narodzin.

Tu na razie jest ściernisko

Oczywiście w urzędach, szkołach, sądach, nawet w malutkich gminach orły z koroną nie występowały. Ruszyła akcja koronowania godła. Ludzie ręcznie jęli domalowywać korony.

Pieczęcie, flagi i sztandary trzeba było wymienić. Setki tysięcy nowych materiałów montowanych po urzędach, szkołach, instytucjach. To wszystko kosztowało, ale politycznie, obywatelsko, kulturowo było bezcenne. Każdy, kto domalowywał koronę, robił to, by poczuć, że Polska jest znów naprawdę Polską. Po 15 latach, w 2004 r., z inicjatywy Jolanty Szymanek-Deresz z kancelarii prezydenta Kwaśniewskiego powstał projekt odkurzenia państwowej symboliki, jednak zakończenie kadencji Kwacha sprawiło, że dokument nigdy nie wszedł w życie. Wszyscy widać uznali, że polskie imponderabilia są zupełnie gdzie indziej.

Od tamtej próby przemalowywania biało-czerwonej minęły dwie dekady i okazuje się, że od rządów PiS rewolucja w państwowej symbolice trwa w najlepsze: orzeł ze złotymi nogami, hymn w innej kolejności zwrotek, karmazyn w miejsce czerwieni. Wszystko to nie w momencie przełomu, ale w czasach, gdy służba zdrowia dogorywa, ceny energii sięgają nieba, a firmy gasną jedne po drugich.

My chcemy złota, my Polacy

Parę lat temu Polska miała już koronę na orle, miała NATO, miała Unię, miała wolny rynek, miała też inflację, migracje, pandemię, kryzysy energetyczne i kryzysy zaufania. Wszystko miała. Ale nie miała… orła ze złotymi nogami. I wtedy ktoś w pewnym pisowskim ministerstwie doznał augustiańskiego olśnienia i powiedział: a może by tak upiększyć ptaszysku odnóża?

Zaproponowano więc zmianę wizerunku – nie całego, broń Boże, tylko nóg. Pazury orła miały już złoto – teraz miało ono dojść aż po same uda. Oficjalnie – heraldyczna poprawność. Nieoficjalnie – złoty retusz godności państwowej.

A gdyby ktoś pytał: różnica pomiędzy pazurami złotymi a nogami złotymi – to wydatek kilkudziesięciu milionów złotych.

Projekt z 2021 r. przewidywał nie tylko pozłacanie. W planach był także hymn – konkretnie kolejność jego zwrotek. Miały iść w innym porządku, bo tak ponoć lepiej oddają sens utworu.

Następnie flaga. Czerwień. Bo niby nie wiadomo, który odcień jest właściwy. Ministerstwo mówiło o „karmazynie", czyli barwie, którą najłatwiej zdefiniować w katalogach Pantone, RGB i CMYK. Bo przecież najważniejsze, żeby flaga państwowa dobrze wyglądała na ekranach smartfonów i wizytówkach. Pojawiły się też pomysły, by rozdzielić flagę „państwową" (z orłem) od flagi „narodowej" (bez). Będzie porządek – mówiono. A że nikt nie miał wcześniej z tym problemu? Cóż, trzeba coś zmieniać, żeby było widać, że się rządzi.

Oczywiście zmiany te, jak wszystko w państwie symbolicznym, nie były darmowe. Ministerstwo Kultury podało precyzyjne wyliczenia: w ciągu 10 lat nowa ustawa o symbolach miała kosztować budżet – głównie samorządów – 147,8 mln zł. Zakładano, że każda instytucja publiczna potrzebuje m.in. 25 godeł, 25 flag z grubego materiału, dwóch szyldów wypukłych, jednej pieczęci z godłem, kilku tablic informacyjnych. Rachunek prosty: parę tysięcy złotych na jedną jednostkę. Ale że jednostek mamy tysiące, koszty rosły w stylu bizantyjskim. Nikt nie dostrzegł, że to kosztowna kosmetyka, dla której nie istniało żadne realne uzasadnienie społeczne ani polityczne.

Złote a skromne

Po 2023 r. Polska zmieniła władzę. Ale władza nie zmieniła orła.

Zacznijmy od obrazka, który wszyscy znamy. Konferencja prasowa. Premier, ministrowie, rzecznicy, urzędnicy – wszyscy występujący na tle orła. Tego ze złotymi łapami. Tego samego, którego PiS wprowadził w 2022 r. rozporządzeniem, bocznymi drzwiami, z pominięciem sejmu. I nikt z obecnych rządzących nie mrugnął okiem. Nikt nie zakleił nogi taśmą. Nikt nie poprosił grafika o wersję bez złotego. Nikt nie zaprotestował.

Choć jeszcze kilka lat temu politycy obecnej większości drwili z tej zmiany, dziś sami jej używają. W materiałach promocyjnych, na wizytówkach, w social mediach, na mównicach. Bez oporu. Bez sprzeciwu. Jakby nie tylko ją zaakceptowali, ale wręcz uznali za własną. Ot, orzeł z drugiej ręki – ale wciąż dumnie świecący nogami.

A na dodatek teraz – dwa lata po objęciu władzy – sam rząd ogłasza, że wraca do projektu PiS z 2021 r.

Tak, dokładnie tego. Z karmazynową flagą, poprawionym hymnem i heraldycznie uszlachetnionym orłem. Projekt, który nie przeszedł wtedy przez sejm, ale wszedł do ministerstw oknem, dziś zostaje oficjalnie odkurzony, opatrzony nowym logo i nazwany „uporządkowaniem systemu symboli narodowych".

Zespół 14 ekspertów ma przeanalizować każdy piksel orła, każdą nutę hymnu, każdy odcień czerwieni. Są tam historycy, heraldycy, graficy, urzędnicy, przedstawiciele kancelarii premiera i prezydenta, Narodowego Instytutu Fryderyka Chopina – wszystko, co w narodzie najlepsze, wzmacniane szmalcem z budżetu państwa.

Nowa narracja? Profesjonalizacja. Harmonizacja. Estetyzacja. Ale efekt ten sam. Różni się tylko językiem uzasadnień. Kiedyś mówiono, że orzeł ma błędy heraldyczne. Dziś – że „brakuje mu czytelnych wersji cyfrowych i prześwitów w koronie". Kiedyś wyliczano, ile będzie kosztować wymiana godła i pieczęci. Dziś mówi się, że nikt nie musi wymieniać od razu, tylko przy naturalnym zużyciu. Tak, naturalnym, czyli i tak będzie trzeba, tylko później. Koszty zostaną rozciągnięte w czasie, ale obciążą te same budżety.

Strategia karmazynu

I tu dochodzimy do sedna. Projekt, który był w 2021 r. krytykowany jako niepotrzebny, kosztowny i pozbawiony sensu, dziś zostaje uznany za strategiczny. Ministerstwo tłumaczy, że obowiązujące przepisy o symbolach narodowych pochodzą z lat 50. i 80., więc czas je dostosować do nowoczesnych standardów. Ale czy orzeł potrzebuje standardu PDF? Czy hymn musi mieć poprawioną narrację, by był bardziej „linearno-literacki"? Czy odcień czerwieni naprawdę jest dziś priorytetem państwa?

Wszystko wskazuje na to, że tak. Mamy najdroższy prąd w Europie, ale to nie problem. Służba zdrowia toczy się jak kulawy orzeł po bruku, ale nikt się tym nie przejmuje. Dzieci uczą się w klasach bez nauczycieli, seniorzy czekają miesiącami na zaszczyt zobaczenia specjalisty, urzędy duszą się od procedur, a firmy walczą o przetrwanie. To wszystko nieważne.

Ważne, czy flaga jest odpowiednio karmazynowa. Czy orzeł ma nogi w złocie po sam kuper, czy tylko pazury. Czy „Jak Czarniecki do Poznania" brzmi lepiej na drugim miejscu czy trzecim.

A skoro politycy – jedni i drudzy – zgodnie uważają, że symbole są dziś najważniejsze, to znaczy, że wszystko inne działa. Że Polska jest krajem tak szczęśliwym, tak doskonałym, tak idealnie urządzonym, że nie zostało już nic do zrobienia oprócz kolorystycznej korekty ptasich udek.

TOMASZ BOROWIECKI

Kto daje, ten odbiera

Komu błyskotkę, komu?

W dawnej Polsce, a jeszcze bardziej w PRL, odznaczenia państwowe niosły za sobą nie tylko prestiż, ale i wymierne korzyści. Były nie tylko wyrazem uznania, ale i dodatkiem do portfela. Do 1991 r. istniał bowiem katalog odznaczeń, których posiadanie skutkowało comiesięcznym dodatkiem emerytalnym w wysokości aż 20 proc. świadczenia. Dotyczyło to m.in. orderów Budowniczych Polski Ludowej, Odrodzenia Polski, Virtuti Militari, Krzyża Grunwaldu, Sztandaru Pracy czy Krzyża Walecznych. Podobnie traktowano tytuły honorowe: „Zasłużony Górnik PRL", „Zasłużony Nauczyciel PRL", „Zasłużony dla Zdrowia Narodu", „Zasłużony dla Kultury Narodowej" i kilka innych. Medal był wówczas nie tylko nagrodą – był zobowiązaniem państwa.

Za komuny Jan Pietrzak – wtedy jeszcze mniej opozycjonista, a bardziej celebryta – drwił ze zwyczaju hurtowego dekorowania w skeczu „rąsia, buzia, klapa, goździk". Wiedział, co mówi – sam miał w klapie Złoty Krzyż Zasługi PRL, odznakę Zasłużonego Działacza Kultury oraz odznaczenie im. Janka Krasickiego. Później, już jako zacny oponent ustroju, dołożył do tego Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski i parę innych.

Problem polega jednak na tym, że w III RP order, medal czy krzyż, to – z jednym wyjątkiem – błyskotki. Ładne, ale bezużyteczne. Ich wartość pozostaje wyłącznie symboliczna. Dla niektórych może i znacząca, ale tylko w kategoriach osobistego prestiżu, chwały czy rodzinnej pamiątki. Wyjątkiem jest Krzyż Wolności i Solidarności. To jedyne odznaczenie państwowe w obecnym katalogu, które wiąże się z comiesięcznym dodatkiem do emerytury – i to w wysokości minimalnego świadczenia emerytalnego.

Reszta to ceremonialny uścisk dłoni, wpis w Monitorze Polskim i błysk fleszy. Nadanie orderu to dziś raczej gest propagandowy niż realne wyróżnienie. Prezydent, wręczając krzyż lub medal, wie, że pojawi się w mediach. Że zdjęcia trafią na portale, może na paski w telewizji. Ot, forma obecności publicznej. A odznaczony? On dostaje coś na pamiątkę. Tylko.

Ale odznaczenia nie tylko się nadaje. Można je również odbierać. Ustawa przewiduje dwie sytuacje, w których

prezydent może pozbawić obywatela orderu lub odznaczenia, gdy nadanie nastąpiło na skutek wprowadzenia w błąd lub gdy odznaczony dopuścił się czynu, który czyni go niegodnym. Co ważne, nie potrzeba do tego wyroku sądu. Wystarczy ocena moralna.

Decyzja prezydenta musi być opublikowana w Monitorze Polskim, a sama procedura przewiduje wezwanie do zwrotu legitymacji i odznaki. A jeśli się ich nie odda? Cóż, formalnie i tak są nieważne.

Po roku 1990 z polskich piersi ubyło kilka medali. Każdy z inną historią, każdy z innym bohaterem.

Pierwszy głośny przypadek. Stanisław Supruniuk, niegdyś członek Rady Krajowej Żołnierzy Armii Ludowej, odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski przez Aleksandra Kwaśniewskiego. Na papierze – bohater, partyzant, świadek historii. W opinii środowisk kombatanckich – „Pułkownik Śmierć", funkcjonariusz komunistycznego aparatu, człowiek, którego nazwisko brzmiało jak echo powojennych represji.

Prezydent Kwaśniewski, który jeszcze niedawno przypinał mu order, w październiku 2001 r. ten sam order odpiął. W uzasadnieniu pojawiło się zdanie o tym, że nadanie nastąpiło „w wyniku wprowadzenia w błąd". I szlus.

Kilka lat później przyszła kolej na Wincentego Romanowskiego. Miał na piersi Srebrny Krzyż Virtuti Militari – świętość dla każdego żołnierza. Order, który w polskiej pamięci pachnie krwią bohaterów. Romanowski był jednak funkcjonariuszem Informacji Wojskowej, człowiekiem, który w latach 40. katował więźniów politycznych, za co został skazany na półtora roku. Niewiele, jeśli zważyć, że sąd w uzasadnieniu wspomniał o „metodach porównywalnych do gestapo".

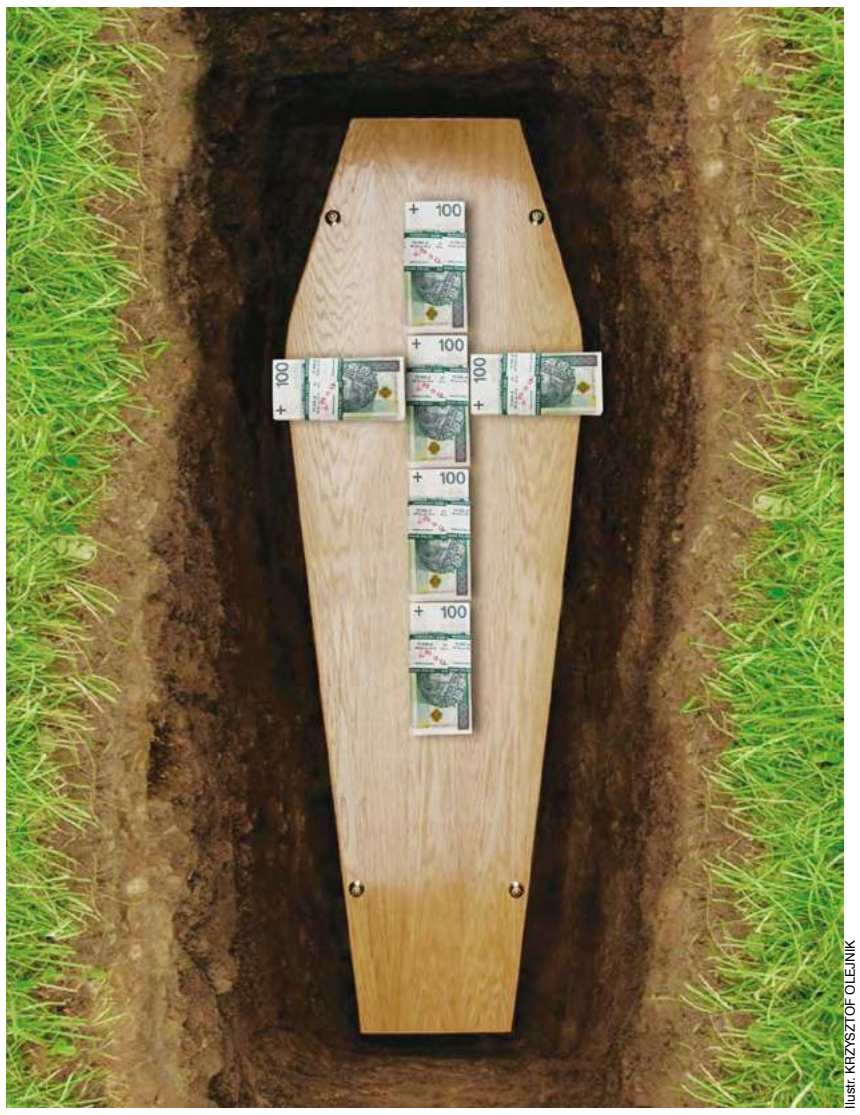
Lech Kaczyński zdecydował w 2006 r. – odbieramy. Najpierw Virtuti, potem także Krzyże Odrodzenia Polski. Symboliczna detronizacja. Bohater rozebrany z odznaczeń jak z munduru.

Potem przyszedł czas na świat nauki. Stanisław Dawidziuk – profesor, rektor, człowiek z aparycją akademika z encyklopedii. W 2005 r. odznaczony przez Kwaśniewskiego Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski za „zasługi dla nauki i edukacji".

eprasa.pl 1d3e1214be

Śmierciożercy

Gdy umiera człowiek, dobrostan ścierwojadów wzrasta.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Krematorium, urna czy trumna i balsamowanie – na końcu zawsze jest rachunek. Ale nie za śmierć, lecz za zgodność z ustawą o cmentarzach i chowaniu zmarłych z 1959 r., która wciąż obowiązuje. I to nie jako ślad po socjalizmie, ale jako pomnik interesów jednego z największych graczy – Kościoła katolickiego.

Stado sępów

Zgodnie z tym prawnym trupem prochy zmarłego nie mogą spocząć tam, gdzie zmarły by chciał. Wolno je jedynie zamknąć w urnie i wmurować w kolumbarium, katakumbie albo grzebać w ziemi – byle na cmentarzu. A że 95 proc. tych cmentarzy należy do Kościoła, to nietrudno się domyślić, kto z każdej śmierci ma zysk.

Prawo mówi, że za naruszenie przepisów grozi grzywna lub areszt. Nie kontroluje jednak, co w urnie jest. Pracownik zakładu pogrzebowego nie sprawdza, czy w środku są prochy, piasek, czy tylko powietrze. Bo nie o to tu chodzi. Liczy się, żeby urna była, miejsce opłacono, a transakcję sfinalizowano. Prochy można więc rozsypać wszędzie, byle tylko formalnie zamknąć jakiś pojemnik i dostarczyć go na cmentarz.

Rachunek jest prosty: urna kosztuje, miejsce kosztuje, zamurowanie kosztuje, samo istnienie grobu też – bo to nie jest zakup, tylko dzierżawa. Dla przykładu: na parafialnym cmentarzu Marynarki Wojennej w Gdyni grób ziemny kosztuje 1400 zł, dziecięcy – 800 zł, murowany pojedynczy – 2200 zł, podwójny – 4000 zł. Urnowy – 1200 zł. W Kocku dzierżawa miejsca na 20 lat dla grobu pojedynczego to 400 zł, podwójnego – 800 zł, plus 100 zł, a nawet 200 zł za możliwość pracy przy pomniku. W Dąbrowie Tarnowskiej obowiązuje opłata roczna: 50 zł za grób ziemny, 80–100 zł za grobowiec. Na cmentarzu bonifratów w Katowicach wykop pojedynczego grobu ziemnego kosztuje aż 1600 zł, a demontaż pomnika – nawet 1800 zł. Na Pomorzu, w Helu, opłata za miejsce dla urny to 830 zł netto, ale do tego dolicza się prawie 600 zł za odbiór śmieci i ponad 300 zł za wodę do podlewania. A jeśli ktoś życzy sobie niszy w kolumbarium w Lublinie, to musi szykować 4400 zł. W Gdańsku – 1062 zł na 10 lat. Nawet skromna ceremonia pożegnania w kaplicy kosztuje: w Lublinie – 330 zł za godzinę. To finansowa codzienność polskiej żałoby.

Rozproszenie

Kościół nie publikuje danych, ile zarabia na cmentarzach. Ale skoro jest właścicielem większości z nich, skoro pobiera opłaty za każde miejsce, za każdą uroczystość, za każdą czynność związaną z pochówkiem, to zarobek musi być znaczny. Tym bardziej że nie są to tylko miejsca. To opłata za wjazd kamieniarza, za ustawienie ławek, za remont grobu, za każdą śrubkę przy płycie. Duchowni potrafią tłumaczyć podwyżki niesubordynacją wiernych w kwestii śmieci albo inflacją. Albo tym, że to cmentarz „parafialny", więc obowiązuje „pokładne", czyli opłata pokoleniowa.

Zdarza się, że ludzie się buntują. Że mówią dość, że pokazują publicznie absurdalny rachunek za pogrzeb, że wzywają do interwencji UOKiK. I co? I nic. Bo prawo – martwe jak ci, których dotyczy – stoi po stronie instytucji. Ustawodawca nie przewidział, że rodziny będą chciały spełnić ostatnią wolę zmarłego inaczej niż przez wpłatę na konto parafii.

Najbardziej kuriozalne jest jednak to, że nawet ustawa dopuszcza zatopienie zwłok w morzu. Oczywiście w ściśle określonych warunkach – na pokładzie okrętu, z dala od portu. Ale nie pozwala na rozsypanie prochów nad tą samą wodą. Można zatopić ciało. Ale nie wolno wypuścić pyłu. Bo na tym nie zarabia nikt.

Prawo nie zna też słowa „kremacja". Bo kiedy powstało, nie było potrzeby. Teraz jest, bo kremacje to już połowa wszystkich pochówków. Ale ustawa nadal traktuje spopielone szczątki jak zwłoki, z obowiązkiem pochówku w ziemi. Dostosowano jedynie praktykę. Nie ustawę. Bo zmiana prawa mogłaby oznaczać utratę wpływów. A tego, kto trzyma łopatę do grobów, nie wolno denerwować.

Dziś, by uszanować ostatnią wolę zmarłego, trzeba złamać prawo. I mieć nadzieję, że nikt nie zajrzy do urny. A przecież moglibyśmy mieć ustawę, która szanuje wolność. Która pozwala decydować. Ale wtedy Kościół miałby mniej pieniędzy.

A tak – nie można. Bo „groby ziemne, murowane i kolumbaria mogą znajdować się tylko na cmentarzach". I tylko tam można umierać zgodnie z prawem. Wszystko inne to świętokradztwo.

Parę lat temu wyglądało, że z rozsypywaniem prochów państwo coś zrobi. Wymyślono „łąki pamięci". Projekt nowelizacji ustawy o cmentarzach miał rzekomo ucywilizować polskie prawo pogrzebowe. W rzeczywistości utrwalał dominację Kościoła nad ludzkimi szczątkami.

Rozsypywanie prochów poza cmentarzem wciąż miało być niedopuszczalne. Tak jak i trzymanie urny w domu, zakopanie prochów w lesie, w ogrodzie czy na własnej działce. Jedyną legalną możliwością – zgodnie z logiką projektu – miało być rozsypanie prochów na specjalnie wydzielonym terenie cmentarza.

Właściciel takiej łąki – najczęściej parafia, zakon lub inna instytucja kościelna – nadal miał inkasować opłatę za pochówek, miejsce, konserwację terenu. Nadal miały obowiązywać cennik, rejestr i administracyjna zgoda.

Argumenty o potrzebie sanitarnego nadzoru nad pochówkiem kremacyjnym brzmiał wtedy i dziś groteskowo. Spalone i zmielone zwłoki nie stanowią żadnego zagrożenia biologicznego – to popiół, który można rozsiać w ogródku, wysypać do morza, czy wrzucić w wir powietrzny z helikoptera. Problemem nie jest więc higiena, lecz chęć zarobku. Ale ponieważ był on dla Kościoła mniejszy niż w innych formach pochówku, to nawet i to nie przeszło.

Święte krowy

Tymczasem wydarzyła się jednak rzecz niebywała – za cmentarze wzięły się sądy. Ale nie za te, których właścicielem i beneficjentem jest Kościół katolicki, nie te parafialne, gdzie opłaty są niejawne, zróżnicowane i zależne od łaski proboszcza lub wewnętrznego cennika, którego nikt nie musi pokazywać. Nie. Sądy administracyjne wzięły się za cmentarze komunalne. Bo one podlegają uchwałom rad miejskich, a nie dekretom biskupim. I tylko na tym skrawku cmentarnej rzeczywistości obywatel ma jeszcze szansę na wyrok w imieniu prawa.

Zaczęło się w Olsztynie. W lutym 2023 r. rada miasta uchwaliła nowe opłaty za korzystanie z komunalnych cmentarzy. Wśród nich znalazły się stawki za dodatkowy pochówek w istniejącym już grobie, a także za przedłużenie ważności miejsca na kolejne dwie dekady. Wydawałoby się – nic nadzwyczajnego. Ale jeden z mieszkańców nie wytrzymał. Zaskarżył uchwałę, twierdząc, że jej zapisy nie mają żadnego oparcia w ustawie. I sąd przyznał mu rację.

WSA stwierdził jasno: opłaty mogą dotyczyć wyłącznie czynności związanych bezpośrednio z pochówkiem. Nie można więc żądać pieniędzy za sam fakt, że ktoś chce dochować urnę do rodzinnego grobu. Nie wolno pobierać haraczu za „eksploatację" miejsca po 20 latach. Ustawa jest jednoznaczna – wszystko, co wykracza poza bezpośredni pochówek, jest nielegalne. Uchwała rady miasta została unieważniona.

Podobny wyrok zapadł w Warszawie. Sprawa dotyczyła Radomia, ale sądził ją WSA w stolicy. I tu katalog uznanych za nielegalne opłat był jeszcze szerszy. Ekshumacje. Przechowywanie zwłok w chłodni. Udostępnienie sali pożegnań. Demontaż nagrobków. Czynności administracyjne. Wszystko to – zdaniem sądu – nie ma podstawy prawnej, jeśli nie służy bezpośrednio pogrzebowi. To nie koniec. Sąd stwierdził również, że próba „wyodrębnienia opłat" z pozoru związanych z pochówkiem jest działaniem pozornym. W rzeczywistości – to maskowanie bezprawnych praktyk.

Wyroki te wywołały burzę. Prawnicy przyznają – otwiera się droga do roszczeń. Jeśli ktoś zapłacił za dochowanie do grobu, za użytkowanie miejsca, za ceremonię pożegnania, za wjazd kamieniarza czy salę pożegnań, to może żądać zwrotu. Skala potencjalnych zwrotów może sięgać milionów. Ale tylko na cmentarzach komunalnych.

Bo parafialne są nietykalne. Tam nie ma uchwał rad miejskich. Tam nie ma jawnych cenników. Tam nie funkcjonuje instytucja skargi do sądu administracyjnego. Tam obowiązuje logika „darowizn", „pokładnego", „co łaska, ale nie mniej niż". Kościelne nekropolie to osobne państwo – z własnym porządkiem i własnym rynkiem, na którym wolno więcej.

TADEUSZ JASIŃSKI

Kilka lat później, w sierpniu 2013 r., Bronisław Komorowski błyskotkę odebrał. Oficjalnie – bo order nadano „w wyniku wprowadzenia w błąd". Nieoficjalnie – bo zbyt wiele osób mówiło o fałszywych dyplomach, o dziwnych egzaminach, o szkolnictwie, które bardziej przypominało fabrykę dyplomów niż uczelnię. Dawidziuk, jak na akademika przystało, tłumaczył się gęsto, naukowo, z przypisami. Ale order oddał.

Rekordzistą w odbieraniu okazał się Andrzej Duda, choć początkowo nic na to nie wskazywało.

W 2019 r. Kancelaria Prezydenta opublikowała lakoniczny komunikat: „Prezydent RP, postanowieniem z dnia 10 września 2019 r., pozbawił ks. Waleriana Słomkę Krzyża Oficerskiego Orderu Odrodzenia Polski".

Słomka, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, miał swoje lata, tytuły i zasługi. W 2008 r. dostał order za „wybitną pracę dydaktyczną i społeczną". Po latach przeszłość wróciła pod postacią Piotra Halliopa, chłopca, którego tuz KUL molestował w latach 90.

Sąd uznał winę, choć sprawa się przedawniła. Nakazał przeprosiny. Ksiądz przeprosił, ale prezydent dodał do tego własny akt pokuty – odebrał order. „Dla mnie to zadośćuczynienie" – powiedział Halliop. I trudno nie przyznać mu racji.

Ten sam rok 2019 przyniósł dwa inne, drobniejsze, lecz równie wymowne przypadki. Tomasz M. – górnik z Turowa, odznaczony Srebrnym Medalem za Długoletnią Służbę. Zasłużony, pracowity, z rekomendacji kopalni. Tyle że niedługo potem ta sama kopalnia poprosiła o cofnięcie wyróżnienia. Mężczyzna został skazany za ciężkie naruszenie obowiązków służbowych.

Drugi – Tomasz L., wykładowca w Wyższej Szkole Finansów i Zarządzania w Białymstoku. Otrzymał Brązowy Krzyż Zasługi, a niedługo potem komisja dyscyplinarna przyłapała go na plagiacie. W jego pracy znaleziono całe akapity przepisane z cudzej publikacji.

Prezydent Andrzej Duda, który chwilę wcześniej przyznał obie błyskotki, na wniosek uczelni i urzędów odebrał te odznaczenia. Minister Dera tłumaczył potem: „to były czyny rażące". Rażące, choć jakże polskie – jeden zawinił łopatą, drugi klawiaturą.

Rok 2024, lato. Wśród upałów i politycznych wojen nagle komunikat: „Prezydent RP, postanowieniem z dnia 1 sierpnia, pozbawił Krzysztofa Kuryłowicza Krzyża Kawalerskiego Orderu Odrodzenia Polski".

Kuryłowicz – misjonarz, ksiądz, Polak z Kazachstanu, w 2011 r. udekorowany przez konsula w Astanie za krzewienie polskości. W 2024 r. – już bez tytułu „ksiądz" – jego nazwisko pojawia się w dokumencie o cofnięciu odznaczenia. Bez uzasadnienia. Bez komentarza.

Nieoficjalnie wiadomo, że duchowny został wydalony ze stanu kapłańskiego w związku z zarzutami obyczajowymi. Oficjalnie – milczenie. Tylko nazwisko i data.

Jesień 2023 r. Andrzej Malinowski – dawniej prezydent Pracodawców RP, polityk i działacz gospodarczy – traci dwa odznaczenia: Krzyż Komandorski z Gwiazdą i Krzyż Komandorski Orderu Odrodzenia Polski. Oba wręczone jeszcze w czasach prosperity, gdy Malinowski uchodził za twarz dialogu między państwem a przedsiębiorcami.

Decyzję ogłoszono bez słowa wyjaśnienia. W Monitorze Polskim tylko suche zdania. Choć wszyscy wiedzieli, że to za wyrok za składanie fałszywych zeznań dotyczących niegdysiejszej współpracy z PRL-owskimi służbami.

Wreszcie Jolanta Małgorzata Gontarczyk, z domu Lange. W 1997 r. Kwaśniewski odznaczył ją Srebrnym Krzyżem Zasługi. Wtedy była znaną działaczką społeczną, feministką, współorganizatorką inicjatyw kobiecych. Niemal 30 lat później jej nazwisko znów trafiło na biurko prezydenta, ale w petycji, która przypomniała, że Lange była tajną współpracowniczką SB pod pseudonimem „Panna". Wraz z mężem miała inwigilować umiłowanego przez PiS ks. Franciszka Blachnickiego.

Andrzej Duda odznaczenie cofnął. 29 lipca podpisał decyzję, a w sierpniu tuż przed końcem urzędowania jego kancelaria zażądała zwrotu medalu i legitymacji. W razie odmowy – sąd.

Bo w Polsce order – jak medal – ma zawsze dwie strony. Jedna błyszczy, a druga rdzewieje.

ADRIAN SIECZKOWSKI

REKLAMA



eprasa.pl 1d3e1214be

Lifestyle na konserwę

Sprzątać czy gotować?

Z Zachodu przyszła kolejna głupia i wtórna moda. Amerykański ruch MAGA postanowił sprzedać kobietom to, od czego uciekły dekady temu. Polskie konserwy natychmiast podchwyciły trend.

Na platformie X coraz większą furorę robi konto o nazwie Kobiety Prawicy. Gdyby zamieszczane na stronie posty nie były przetykane fotosami Pierwszej Damy, z zupełnie nieironicznym zachwytem nad każdym jej wystąpieniem, można by pomyśleć, że to profil satyryczny. „Dobrze jest być uległą żoną i ufać swojemu mężowi. Pozwala nam przestać się tak bardzo martwić i być kobiecą. Pozwólmy mężczyznom być takimi męskimi liderami, jakimi tylko mogą być”…

„Co lubicie bardziej robić? Sprzątać czy gotować?” – pytają niewiasty we wpisach okraszonych grafikami, które przywodzą na myśl czasy świetności III Rzeszy pod rządami wąsatego akwarelisty. „Pieprzyć się na boku” – odpowiadają przytomnie rodaczki, ale trafiają się i entuzjastki komercjalizacji konserwatyzmu. Marianna Schreiber, eksmałżonka posła PiS, udostępniła z profilu rysunek ciężarnej w objęciach męża otoczonej wianuszkiem bachorząt, snując marzenie o równie idyllicznej przyszłości ze swoim aktualnym kochankiem.

Według konserw każda kobieta może zrobić rebranding lub – jak kto woli – przejść na właściwą stronę. Nowoczesnych pasterzy chętnych do nawracania czarnych owiec nie brak.

(A)polityczny antyfeminizm

Od 10 lat w USA odbywa się coroczny zjazd młodych konserwatywnych kobiet. Wydarzenie obejmuje konferencje, warsztaty i panele networkingowe. Tegoroczna jubileuszowa impreza odbyła się w Dallas i zgromadziła rekordową liczbę około 3 tys. uczestniczek oklaskujących misję wyzwolenia kobiecości, od której swędzą zęby.

Wbrew stereotypom skrajne konserwy idą z duchem czasu i dobrze wiedzą, gdzie i jak łowić młode samice. Idealnym kanałem propagandy *womanosphere* – którą można określić jako skrajną odwrotność feminizmu – jak na ironię stała się szeroko pojęta sfera rozwoju osobistego.

W okresie pandemii jak grzyby po deszczu w sieci zaczęły wyskakiwać prawicowe influencerki szerzące teorie antyszczepionkowe. Z biegiem czasu profile zaczęły wzbogacać tematykę o wątki polityczne, kwestie z zakresu mody, zdrowego żywienia i utrzymania balansu w życiu.

Niekwestionowaną amerykańską gwiazdą internetowej społeczności, która łączy konserwatyzm, zdrowie i popkulturę, na cel biorąc kobiety szukające alternatywy dla dominujących trendów, jest influencerka i podcasterka Alex Clark. Jej kariera medialna to mieszanka ostrego komentarza politycznego, analiz celebryckich plotek i porad na temat dobrego samopoczucia. Lojalną społeczność wyznawczyń nazywa *cuteservaitves* od słów *cute* (słodki) i *conservatives* (konserwatyści).

„Uzdrowienie zaczyna się od prawdy – nawet jeśli jest niepoprawna politycznie” – poucza prawicowa celebrytka, szerząc m.in. dezinformację na temat szkodliwości antykoncepcji hormonalnej, krytykując Big Pharma i „lewicową” medycynę tradycyjną.

Clark chętnie podkreśla, że to budowanie relacji – a nie sucha polityka – jest kluczem do wygrania „wojny kulturowej”. Wie, co mówi, jej audycje regularnie lądują na platformach Apple i Spotify w pierwszej dziesiątce najchętniej słuchanych programów, a kanały na YouTubie i Instagramie śledzi 100 tys. obserwatorów. Sukces show eksplodował po zaproszeniu podcasterki przez senatora Rona Johnsona na okrągły stół o zdrowiu i żywieniu w senacie w 2024 r., a także dzięki powiązaniom z ruchem Make America Healthy Again (MAHA), inspirowanym przez antyszczepionkowego sekretarza zdrowia Roberta F. Kennedy’ego Jr.

To niejedyne powiązania Clark z polityką. Swoją aktywność podcastingową rozpoczęła w 2018 r., gdy zaproponowała pomysł programu szefowi Turning Point USA (TPUSA). To założona w 2012 r. organizacja non profit, której działalność polega na edukowaniu i organizowaniu młodych ludzi na poziomie szkół średnich i uniwersytetów do promowania konserwatywnych wartości, zalet wolnego rynku oraz kładzenia nacisku na obronę wolności i patriotyzm. Szefem i jednym z założycieli TPUSA był nie kto inny jak zamordowany we wrześniu br. Charlie Kirk, pod którego skrzydłami republikański think thank w ciągu kilku lat przekształcił się w polityczną machinę masowej produkcji wyborców. Kirk nie przeszedł obojętnie obok pomysłu stworzenia ekosystemu prawicowych influencerek. Był zresztą jednym z głównych (obok Clark) prelegentów na spotkaniu w Dallas, gdzie tłumaczył owieczkom, jak uszykować się na rzeź.

Jesień feminizmu

Rosnący konsensus – zarówno naukowy, jak i społeczny – że płeć jest kategorią elastyczną i różnorodną, zagraża preferencjom tworów pokroju TPUSA, które dążą do utrzymania sztywnego, hierarchicznego porządku społecznego. Dlatego też w czerwcu prelegenci ubrali swój chrześcijański fundamentalizm w kokardy i pastele, by jak po maśle wprowadzić nienawiść i teorie spiskowe do mainstreamu, kształtując wizję przyszłości Ameryki.

Oprócz tradycyjnej nagonki na osoby LGBTQ+, feministki, obcokrajowców i aborcję przez całą konferencję dyskutanci zachęcali uczestniczki, by priorytetowo traktowały małżeństwo i macierzyństwo, przedkładając je nad edukację i aspiracje zawodowe. Charlie Kirk zbeształ nawet słuchaczki, że nie stawiają sobie za najważniejszy cel znalezienia męża. Szef TPUSA studia nazwał oszustwem.



Erica Kirk, pokorna małżonka swojego męża, przekonywała, że dyplom nie ulegnie zmarnowaniu, jeśli jego właścicielka poświęci się macierzyństwu zamiast gonić za wypłatą.

Zabawna sprawa, małżeństwo Kirków stało się częścią politycznej krucjaty prowadzonej przez Turning Point, jej wizytówką i manifestem skierowanym do młodych kobiet. Choć Kirk deklarował, że sukces Trumpowskiego ruchu MAGA zdefiniowałby przez pozostanie kobiet w domach, pani Kirk od kilku lat całkiem sprawnie ogarnia własne biznesy. Jej konto na – a jakże – Instagramie śledzi 6 mln osób (2 mln dusz przybyły po śmierci męża), a jak wiadomo, zasięgi oznaczają pieniądze. Młoda wdowa prowadzi także popularny religijny podcast „Midweek Rise Up”, w którym zachęca do modlitwy i czytania Pisma Świętego. Pani Kirk jest ponadto właścicielką marki odzieżowej Proclaim oferującej ciuchy z cytatami z Biblii i manifestami wiary.

Według „New York Timesa” dzięki ultrabogatym darczyńcom Turning Point oraz powiązanym z organizacją instytucjom Charlie Kirk zarobił 325 mln dol., więc wdowa może spać spokojnie, bez troski o bezpieczeństwo finansowe swoje i bachorząt. Mimo to Erika Kirk – wbrew kocopołom, które sprzedaje – nie siedzi w domu. Krótko po zastrzeleniu Charliego została jednogłośnie wybrana następczynią męża na stanowisku dyrektorki generalnej oraz prezeski zarządu TPUSA.

W Dallas można było za to kupić przypinki z hasłami „Moją ulubioną porą roku jest jesień feminizmu” i „Rzuć swojego socjalistycznego chłopaka”.

Polski punkt zwrotny

W kraju nad Wisłą od pięciu lat funkcjonuje związana ze środowiskiem Ordo Iuris Konfederacja Kobiet RP. Fundacja „wspiera kobiecość, promuje macierzyństwo, szacunek dla roli rodziny oraz prawo do godnego życia dla każdego człowieka”, chyba że ktoś akurat jest nieheteronormatywny albo potrzebuje korekty płci – wtedy nie.

Organizacji daleko do splendoru amerykańskiego Turning Point, ale coś tam sobie powoli dłubie. Aktywnie zaangażowała się w uwalenie edukacji zdrowotnej, namawia Pierwszą Damę do promowania macierzyństwa jako „najpiękniejszego wymiaru życia kobiety” i potępienia mordu skrobankowego. W pałacu prezydenckim widzi „centrum walk o rodzinę”, a w jego gospodarzach ambasadorów sprawy.

Trudno odmówić KKRP sznytu rewolucyjnego, bo jak na ultrakatolickie konserwy dosyć odważnie zjebały polskich biskupów za to, że na kursach przedmałżeńskich omawiane są naturalne metody unikania ciąży.

W konsekwencji tego występku przeciwko naturalnemu porządkowi „narzeczeni wstępują w związek małżeński z przekonaniem, że to po stronie ich preferencji leżą dowolne decyzje na temat prokreacji, a otwarcie na jedno, góra dwoje dzieci jest w sensie moralnym tak samo wartościowe (…) jak zgoda na przyjęcie 10 dzieci”. Co jest oczywiście głęboko niesłuszne i niezgodne z planem bożym.

Spędy takie jak w amerykańskim Dallas czy przesiąkające konserwatywnym smrodkiem oddolne akcje odnóg Ordo Iuris na pierwszy rzut oka mogą nie wydawać się zagrożeniem dla wartości demokratycznych, ale ignorowanie wkładu kobiet w promowanie agendy skrajnej prawicy jest błędem. Chociaż kobiety rzadziej zajmują prominentne stanowiska przywódcze w partiach konserwatywnych, odgrywają kluczową rolę w budowaniu zbiorowej tożsamości, zapewnianiu trwałości i rozszerzaniu tych ruchów.

Europejska skrajna prawica w social mediach czuje się jak ryba w wodzie. Pokazują to wyniki niemieckiej AfD, francuskiego Zjednoczenia Narodowego czy polskiej Konfederacji, które swoje ostatnie kampanie oparły na TikToku. Według ubiegłorocznego badania Meltwater Polska zajmuje drugie miejsce na świecie pod względem liczby osób, które czerpią informacje o świecie z mediów społecznościowych. Stwierdza to 52 proc. Polaków w wieku 16–64 lat. Drastycznie rosnące bezrobocie wśród młodych, niechęć do zatrudniania kobiet, nagonka demograficzna i radykalizacja mężczyzn w połączeniu z dobrze uszytym przekazem mogą wpędzić pokolenie dorastających w tej chwili Polek tam, skąd spieprzały ich przodkinie. I jest to paskudnie niewesoła perspektywa.

IDALIA DUBICKA

Chcemy cycków i fiutów

Transkobiety tajnym dobrem narodowym

Związek transpłciowej modelki Michaliny Manios i Dawida Szóstaka, byłego już działacza Ruchu Narodowego (wchodzącego w skład Konfederacji), to nie odosobniony przypadek. W minionym sezonie ogórkowym ta niezwykła relacja transkobiety i narodowca była gorącym tematem. Ale czy rzeczywiście niezwykła? Choć głośno się o tym nie mówi, ten przypadek to tylko wierzchołek góry lodowej.

Trudno mi się zgodzić z poglądami wyznawanymi przez Dawida Szóstaka, ale nie potrafię nie szanować go za postawę. Gdy jego związek z Michaliną (gwiazdą drugiej edycji „Top Model” w 2011 r.) został wyciągnięty na światło dzienne, przemielony przez wszystkie możliwe media i społecznościówki oraz skomentowany przez tysiące „ekspertów”, Szóstak nie schował głowy w piasek i nie szukał idiotycznych tłumaczeń. Stanął wobec wyboru: polityka albo partnerka i wybrał swoją ukochaną – wystąpił z Ruchu Narodowego. Zrobił coś, o czym większość mężczyzn mających różnego rodzaju związki z transpłciowymi kobietami, nawet by nie pomyślała. Bo choć w sporej liczbie fascynują się oni transkobietami, to jednak warunkiem realizacji tych fascynacji jest absolutna cisza wokół tego, co robią.

W życiu nie wychodzi tak, jak chcą prawicowi politycy. Oni widzą osoby transpłciowe jako zło wcielone, zagrożenie dla zdrowej substancji narodowej i element odpowiedzialny za wszystkie nieszczęścia z kokluszem, gradobiciem i Unią Europejską włącznie. Ale zdrowy korzeń Narodu Polskiego niekoniecznie tak uważa. Zdrowy korzeń, czyli biali, heteroseksualni prawdziwi Polacy. Czy to się komuś podoba, czy nie, w polu ich erotyczno-romantycznego zainteresowania znajdują się transkobiety. A jeżeli weźmiemy pod uwagę najskrytsze męskie fantazje, to dziewczyny trans plasują się w nich wyżej nawet niż kobiety – nazwijmy to – tradycyjne. Dlaczego tak jest? Nie wiadomo, bo nikt tego nie bada, choć zagadnienie to jest potencjalnym polem do popisu dla seksuologów i psychologów. Ale jakimś dziwnym trafem nikogo to nie interesuje.

Męskie fantazje na temat transkobiecości są zapewne echem przedwiecznego archetypu androgyne – uniwersalnej istoty o boskich cechach, uosobienia spokoju, harmonii i emanacji życia, choć w naszym codziennym wymiarze są zredukowane do podszytej erotyką fascynacji warstwą cielesną. Szczególnie jeśli ta warstwa posiada na raz i piersi, i penisa – to jest to, co najbardziej interesuje chłopaków na polskim podwórku. I to nie jakichś tam popapranych lewaków albo miglanców z zagranicznymi paszportami, ale najzdrowszą tkankę Narodu – prawilnych chłopców, patriotów szczerych, co to i 1 Sierpnia 1944 r. pamiętają, i wrogom Ojczyzny śmierć zwiastują. Sól ziemi naszej.

Jako transkobieta mam dość szeroki wgląd w przekrój społeczny tych, którzy startują do nas w koperczaki. Moja znajoma, transdziewczyna trudniąca się pracą seksualną, opowiada o prawicowych politykach korzystających z jej usług – jest profesjonalistką, więc bez nazwisk. Inna koleżanka zauważa, że na portalu randkowym otrzymuje sporo ofert z Podlasia, a odsetek szalikowców Jagiellonii Białystok jest w gronie oferentów całkiem spory. Ba, sama nie raz otrzymywałam niedwuznaczne propozycje na Facebooku od kolesi odzianych w klubowe dresy i szaliki a to Jagiellonii, a to Legii Warszawa, a to Lecha Poznań, względnie pomniejszych klubów. A nie tak dawno miałam propozycję od gościa, który na swoim profilu słowo Konfederacja odmieniał przez wszystkie przypadki z odpowiednią nabożnością.

Zaczepiają nas wszędzie wszyscy. – Kiedyś szłam pod Domami Centrum w Warszawie i nagle jakiś kark w dresie podszedł mnie od tyłu i zaczął mi coś mówić do ucha, niezbyt głośno, ale to była propozycja seksualna. A zwracał się do mnie per „kochanie” – mówi Joanna, transdziewczyna z małego miasta, która od niedawna układa sobie życie w Warszawie. Z kolei Dagmara, która w stolicy rezyduje od lat, opowiada, że ilekroć odwiedza rodziców we wsi na wschodzie kraju, to jej dawni koledzy udają, że jej nie poznają. Ale gdy nikt nie widzi i nie słyszy, odzyskują pamięć, a nawet już niejeden z nich złożył jej całkiem jednoznaczną propozycję. – A to jest region, gdzie niegłosowanie na PiS lub inną prawicę jest grzechem śmiertelnym. Tradycja i konserwatyzm to fundamenty nie tylko mojej wsi, ale całego województwa – mówi.

Jeszcze jedna koleżanka podrzuca inny przykład: nawet grypsera w warunkach wolnościowych czyni nam propozycje. I na dowód pokazuje wiadomość od kolesia z wytatuowanymi na ramionach pagonami, który wyznaje jej, co i jak by z nią robił. I nie jest to jedyny znany mi przypadek tego typu.

Kiedyś na popularnym komunikatorze zaczepił mnie pewien jegomość, składając wprost seksualną ofertę. W kolejnym zdaniu wyznał, że jest księdzem katolickim. Kiedy zapytałam go, czy zdaje sobie sprawę, do kogo pisze, odpowiedział konkretnie: „Tak, wiem i właśnie o to mi chodzi”. Niestety, spłoszyłam go zbyt szybko pytaniem: „A to wam wolno robić takie rzeczy?”.

Czasem oglądamy z koleżankami na portalach randkowych i społecznościowych, kto i co do nas pisze. Patrzymy na zdjęcia: wszystko to postawni, umięśnieni, nierzadko wytatuowani mężczyźni. Bywa, że pokazują się na zdjęciach z żonami lub partnerkami, a nawet z pociechami. Mają w profilowych narodowe barwy, husarskie skrzydła i hasła: „1944 – pamiętamy”, „11 Listopada”, ewentualnie coś o żołnierzach wyklętych.

Jak już wspomniałam, badań żadnych na ten temat nie ma, ale wieloletnie doświadczenie transkobiety pozwala mi wysnuć wniosek:


Rys. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 1d3e1214be

Tęczowo-brunatni

Kiedy narodowiec kocha narodowca



Rys. TOMASZ WIATER

11 listopada przez ulice polskich miast z Warszawą na czele przejdą niezliczone tysiące nacjonalistów. Młodsi i starsi, chudzi i grubi, ale w zdecydowanej większości mężczyźni i chłopcy. Zastanawiające, że tacy panowie nie szukają towarzystwa kobiet – a jak śpiewa punkowa kapela Mass Kotki, „W towarzystwie pań najlepiej bez dwóch zdań" – lecz preferują przebywanie z innymi panami. Rodzi się zrozumiałe podejrzenie, że owa męska bliskość liczona jest nieraz w centymetrach ujemnych…

Jak wiadomo, nie ma dymu bez ognia. A ta oficjalna prawicowa homofobia jest ciut za głośna, aby była do końca szczera.

W polskim internecie nie brak narzekań prawicowców na to, że przez gejów męska przyjaźń znajduje się na cenzurowanym. Do klasyki gatunku weszły wypowiedzi ks. Henryka Zielińskiego („Ideologia gejowska niszczy nam bowiem pojęcie zdrowej męskiej przyjaźni, nakładając na wszystko erotyczną i grzeszną kalkę skojarzeń") czy Tomasza P. Terlikowskiego („Poklepanie się po plecach, objęcie ramieniem czy zbyt długie przebywanie z przyjacielem może być bowiem potraktowane jako dowód homoseksualnych inklinacji").

W zeszłym roku konfederata Krzysztof Bosak stwierdził, że „Jest trochę osób homoseksualnych w społeczeństwie, także wśród naszych wyborców". Parę lat temu z kolei stwierdził, że gdyby jego syn był homoseksualny, byłoby to dla niego problemem, nie wolno akceptować homoseksualizmu, bo to „grzech", „ale to nie znaczy, że należy odrzucać człowieka. Trzeba kochać, wspierać, szanować".

Kochanie przez narodowców homoseksualnych mężczyzn ma długą historię.

Kumple z wojska

Wojsko stanowi najwyższe wcielenie idei narodowej. To każdy pojedynczy żołnierz, gotowy zabijać i ginąć za ojczyznę, przyczynia się do obrony narodu przed śmiertelnym wrogiem, umożliwiając mu przetrwanie. Nie jest to nic nowego, dużym błędem jest utożsamienie homoseksualizmu ze zniewieścieniem, miękkością i słabością. Pamiętajmy, że najsłynniejsi żołnierze starożytności, oddział spartańskich hoplitów, obrońców Termopil przed Persami w 480 r. p n.e. – uwieczniony w dziwacznym i rasistowskim filmie „300" – był dlatego tak waleczny, że składał się ze 150 par męskich kochanków.

Tyle daleka historia, lecz wróćmy do znacznie bliższej nam czasoprzestrzeni.

Pamiętajmy, że niemieccy nacjonaliści już w XIX w. lubili się postrzegać jako spadkobierców antycznej Grecji: umięśniony nagi mężczyzna (często wojownik) był stawiany na piedestale, reprezentując wigor i aspiracje narodu. Jak pisał przed laty Harry Oosterhuis w artykule naukowym „Male Bonding and Homosexuality in German Nationalism", wywyższano męskie ciało jako wizualny wzorzec piękna, siły, spokoju, wewnętrznej czystości. Symbolizowało ono zabezpieczenie przed rozwiązłością, kobiecą słabością, a także chaosem i sztucznością społeczeństwa miejskiego.

Męska przyjaźń jawiła się jako wyraz patriotyzmu, troski o sprawę narodową. I wojna światowa, wpędzająca miliony niemieckich mężczyzn w okopy, sprzyjała „pedałowaniu". Męska przyjaźń stała się przyjaźnią narodową, gdyż kojarzyła się z poczuciem wspólnoty, charyzmatycznym przywództwem, militaryzmem i poświęceniem się dla innych. Była ściśle związana z ideami mizoginistycznymi i antydemokratycznymi, poparciem dla patriarchatu zarówno w społeczeństwie, jak i w rodzinie.

Co ciekawe, homoseksualny nacjonalizm nie wykluczał małżeństwa, o ile będzie ono tradycyjne, z jasnym podziałem ról. Takim, gdzie baba rodzi dzieci i zajmuje się domem, a aryjski wojownik realizuje się w towarzystwie innych mężczyzn w sferze polityki, wojska czy kultury. Rodzina miała sprowadzać się do reprodukcji biologicznej narodu. Emocjonalne zaangażowanie facetów w małżeństwo i życie rodzinne było wykluczone.

Trzecia Rzesza oficjalnie była wroga homoseksualistom (oznaczonym różowymi trójkątami w obozach śmierci), lecz faktyczny stosunek do nich był zróżnicowany i często do bólu pragmatyczny. Oczywiście w walce o władzę – tzw. noc długich noży – Hitler zlikwidował Ernsta Röhma, szefa potężnej SA, piętnując jego homoseksualizm, lecz wcześniej go chronił mimo oczywistej dla wszystkich orientacji towarzysza partyjnego. Niektórzy homoseksualiści żyli spokojnie w reżimie nazistowskim.

Pamiętajmy, że homoseksualistą był fikcyjny bohater powieści Jonathana Littella „Łaskawe", Max Aue, w czasie II wojny światowej Obersturmbannführer SS. W ten sposób pisarz unaocznił znaczenie praktyk homoseksualnych w różnych organizacjach hitlerowskich, które wiązały się z koniecznością ciągłej czujności, aby to się nie wydało.



Rys. TOMASZ WIATER

Nie jest też bynajmniej przypadkiem, że w kultowej scenie komedii „Blues Brothers", kiedy naziści z Illinois ścigają samochodem głównych bohaterów i kończą długim lotem prosto do piekła, ostatnie słowa przydupasa führerka brzmiały: „Zawsze cię kochałem!".

Od neonazistów po homonacjonalistów

Urodzony w 1958 r. w Londynie Nicky Crane byłby w dzisiejszej Polsce prawdziwym bohaterem. Nienawidził obcych etnicznie i rasowo – przeprowadzał brutalne ataki na Azjatów, czarnych i Żydów. Innymi słowy: dbał o czystość narodu brytyjskiego, broniłby chłop granic jak Bąkiewicz, ale Pakistańczycy czy czarni z Karaibów już byli na miejscu, toteż należało się nimi rozprawić przy pomocy metalowych kijów, noży czy stylisk od kilofów. Nienawidził lewactwa – bezwzględnie atakował ze swoimi koleżkami robotnicze imprezy, tłukąc wszystkich, których się dało. Sędzia, gdy go skazywał na więzienie, powiedział, że bandyci przezeń kierowani „zachowywali się gorzej niż zwierzęta".

Nicky Crane jednak zrobił krok dalej i został neonazistą. Najbardziej znanym w kraju, ochroniarzem hitlerków z zespołu Skrewdriver. Po latach mówił, że Hitler był jego bogiem i wszystko, co robił, czynił w imię wodza. Świadczyły o tym nazistowskie tatuaże, włącznie ze swastykami, zdobiące jego muskularne ciało. W połowie lat 80. monitorujące ruchy skrajnie prawicowe czasopismo „Searchlight" napisało, że Crane – kiedy akurat nie bije kolorowych – bawi się w gejowskich klubach.

Naziolscy kumple Nicky'ego zignorowali te rewelacje. Homoseksualizm utożsamiali ze zniewieścieniem, a Crane zyskał sławę jako twardziel. No i każdy, kto mógł mu wypomnieć orientację, mógł zgarnąć ostry wpierdol. Odnotowano przynajmniej jeden taki przypadek.

Co ciekawe, zostawiając na boku jawnych hitlerowców – zawsze co najwyżej zbyt duży i groźny, ale jednak margines – od lat coraz większe znaczenie odgrywa tzw. homonacjonalizm. To pojęcie ukute przez Jasmin K. Puar określało początkowo amerykańską propagandę z czasów wojny z terrorem, gdy wmawiano, że dobre, postępowe społeczeństwo amerykańskie jest przyjazne społeczności LGBT, a to obce dzikusy, głównie muzułmanie, nienawidzą jej i brutalnie prześladują.

Homonacjonalistycznymi hasłami szermują politycy w krajach skandynawskich czy Beneluksu, by wspomnieć tylko Pima Fortuyna z Holandii, łączącego ksenofobię i antymuzułmańskie hasła z byciem gejem i zwolennikiem praw tej społeczności. Gejem był też Jörg Haider, lider austriackiej skrajnej prawicy.

Co ciekawe, dyskurs homonacjonalistyczny jest wymierzony nie tylko w wyznawców Allaha, ale także w Afrykanów z Maghrebu, a także Rosjan czy mieszkańców Europy Środkowo-Wschodniej, zwłaszcza Polaków. Kiedy się poczyta prasę w Holandii, to jedną z cech nieodmiennie przypisywanych „brudnym i zachlanym" Polakom, jest skrajny katolicyzm – nie do pogodzenia jakoby z miejscowym liberalizmem – nieodłącznie związany z homofobią.

Generalnie, jak się wydaje, homonacjonalizm nieprędko, jeśli w ogóle, przyjmie się w Polsce. Nie ubolewam bynajmniej z tego powodu.

Męskie marsze (donikąd)

Kiedy weszłam na stronę rejestru Stowarzyszenia Marsz Niepodległości, zobaczyłam, że w siedmioosobowym zarządzie zasiada tylko jedna kobieta, przy czym prezesem i wiceprezesami są faceci. A zatem największy spęd nacjonalistów w kraju to męska rzecz.

Nie przez przypadek 11 listopada ulice wielu miast przesycone są testosteronem kapiącym wręcz z grubych, łysych karków kiboli, na co dzień gotowych bić – a niekiedy mordować – za inny szalik. Na ten jeden dzień – przy czym drugim jest pielgrzymka na Jasną Górę z płonącymi pochodniami – łączą się oni w stada, aby pokazać wszystkim, że tu jest Polska, a oni są wzorcami polskości.

Jakieś 80 proc. osób na stadionach to mężczyźni. Według badania sprzed paru lat wśród kibiców polskich klubów, którzy używają aplikacji randkowych, 7,5 proc. korzysta z aplikacji dla osób homoseksualnych, a najbardziej „gejowskie" trybuny mają: Wisła Kraków, Legia Warszawa, Pogoń Szczecin i Śląsk Wrocław.

Nie dziwota: oglądanie spoconych facetów w krótkich spodenkach, którzy często się dotykają, jest raczej ciut gejowskie, tym bardziej gdy obok ciebie stoją umięśnione ciacha, niekiedy pokazujące nagie torsy: muskularne i wytatuowane, jakże seksowne…

Mam pewne wątpliwości co do ujawniania orientacji seksualnej kogokolwiek, ale w przypadku wszystkich, którzy są oficjalnie homofobiczni, uważam, że taką hipokryzję niekiedy warto wydobywać na światło dzienne. Ludzie mają prawo wiedzieć, czy ci, którzy gardłują przeciwko homoseksualności, sami po cichu – albo niekiedy całkiem głośno – nie „pedałują".

Tak czy inaczej, widząc te męskie tłumy w Święto Niepodległości, ja sobie będę przed ekranem nuciła słowa kawałka kapeli Ye.Stem, pt.: „Polscy chłopcy":

„Husaria polskich miast na ulicy.
Pochodni blask oświetla marsz.
On stoi dumny pośród nich,
Zaczarowany.
Walczy dla kraju i dla Boga, lecz ma do siebie wielki żal.
Chce zabić gejów i obcych, lecz pociągają go chłopcy.
Tylko chłopcy, polscy chłopcy".

KATARZYNA KOENIG

w mentalności przeciętnego heteroseksualnego mężczyzny Polaka jest także miejsce dla transkobiety. I niekiedy to miejsce zajmuje dużo miejsca. Byle po cichu i dyskretnie.

Bo jeżeli zapytacie przeciętnego heteroseksualnego Polaka, co myśli o transkobietach, to najwyżej usłyszycie trochę przekleństw i obelg. Nigdy nie dowiecie się, że jeden z drugim marzy o związku, romansie, czy nawet tylko o seksie z transkobietą. Na takie wyznanie ich mentalność nie pozwala, bo są przekonani, że skutkowałoby to w najlepszym razie wyśmianiem ich przez otoczenie, a w gorszym – obelgami i łatką zboczeńca na zawsze. Stąd zapewne dostajemy od mężczyzn głównie utrzymywane w tajemnicy romanse i tajne spotkania seksualne. Znane mi pary transkobieco-męskie żyjące ze sobą otwarcie mogę policzyć na palcach jednej ręki.

Kiedyś jeden absztyfikant zarzekał mi się, że chce być ze mną na zawsze. – Wytrzymasz miesiąc, może dwa – powiedziałam mu. Nie wierzył i upierał się przy swoim. Wytłumaczyłam mu, że transkobieta nie jest partnerką, którą zabierze na świąteczny obiad do rodziny, na imieniny do cioci, na grilla do przyjaciół, na piwo z kumplami do pubu. – Wtedy stchórzysz. Bo będziesz się bał, że to ciebie zwyzywają od zboczeńców i wyśmieją. Nie mnie, bo ja jestem, kim jestem, i noszę to ze sobą na co dzień, ale ciebie, bo przyprowadziłeś kogoś takiego jak ja – mówiłam. Wtedy zamilkł. To milczenie było przyznaniem mi racji.

Tylko komu to służy?

EDYTA BAKER

eprasa.pl 1d3e1214be

ETYKA BEZBOŻNA

Co wolno idiotom?

Władza rodzicielska kontra człowieczeństwo dzieci

Dwoje nieodpowiedzialnych turystów z Litwy wybrało się w zimowych warunkach na Rysy. Pal sześć, gdyby szli sami i mieli raki. Ale oni zabrali na ten skuty już lodem dwuipółtysięcznik dziewięciomiesięczne dziecko! No, muszę powiedzieć, jako były taternik, co niejedno w Tatrach widział, czapki z głów! Takich idiotów to chyba najbardziej zakurzone annały tatrzańskich wypraw ratunkowych nie pamiętają. Na szczęście na górze był akurat ratownik górski, który zniósł dziecko do schroniska po słowackiej stronie góry, do którego ze szczytu jest niedaleko.

Ostatecznie nikomu nic się nie stało, ale niedojrzali rodzice będą zapewne musieli tłumaczyć się przed sądem. Polskim, słowackim, a może litewskim. To się okaże. Swoją drogą, ciekawym wątkiem tej sprawy jest odmowa zgody na wezwanie helikoptera, co proponował ratownik. Rodzice powiedzieli, że są nieubezpieczeni i obawiają się, że będą musieli zapłacić za ten transport. Nie potrafię tego ocenić, bo nie wiem, jak złe panowały na górze warunki, ale brzmi to niepokojąco.

Gdybym był sędzią i miał ocenić, czy rodzice narazili swoje dziecko na niebezpieczeństwo w tak rażący sposób, że należy ograniczyć ich prawa rodzicielskie, pewnie miałbym z tym kłopot. Zapewne decyzja sądu będzie do pewnego stopnia dla rodziców dotkliwa, lecz nie nazbyt surowa. Dozór kuratorski dobrze im zrobi, a przy tym dziecko jest na tyle małe, że nie będzie świadome kompromitacji swoich rodziców. Dowie się o całej sprawie, jak podrośnie – w internetach wszak nic nie ginie. I to będzie dla rodziców spóźniona kara.

Sprawa zakresu władzy rodzicielskiej oraz obowiązków państwa w zakresie ochrony i bezpieczeństwa dzieci jest jednym z najgorętszych tematów prawno-etycznych w debacie publicznej na Zachodzie. W krajach północnej Europy, a zwłaszcza w Skandynawii, ingerencja państwa w wychowanie dzieci wciąż rośnie. Władze wtrącają się już nie tylko do spraw bezpieczeństwa, lecz również do kwestii czysto wychowawczych. Można mieć kłopoty, gdy krzyczy się publicznie na swoje dziecko albo nie kupuje się mu przedmiotów, które mają praktycznie wszystkie dzieci, jak rower czy piłka. Wielu ludzi czuje się zagrożonych takim nadzorem, uważając go za zbyt daleko idącą ingerencję w prywatność. I można to nawet, przynajmniej na poziomie emocjonalnym, zrozumieć.

W Polsce natomiast wciąż trzymamy się wąskiego rozumienia zobowiązań państwa wobec dzieci pozostających pod władzą rodzicielską, ograniczając je do kwestii bezpieczeństwa. Nie można dziecka bić, głodzić, więzić stale w zamkniętym pomieszczeniu, pozostawiać bez opieki bądź też opiekować się nim pod wpływem alkoholu. Mniej więcej na tym się kończy. Prawo rodziców do postępowania z dziećmi, jak im się podoba, traktowane jest przez kodeks rodzinny i sądy bardzo poważnie. A bierze się to stąd, że dzieci jeszcze pół wieku temu uważane były niemalże za własność rodziców, a ściśle – ojca.

Ten anachronizm powoli ustępuje przed naporem etycznej i prawnej rewolucji, polegającej na przyznawaniu i ochronie tzw. praw podstawowych w odniesieniu do każdego człowieka, bez względu na jego status. A dziecko to przecież też człowiek. Ma więc prawo do tego, by jego najbardziej żywotne interesy były zabezpieczone. A należy do nich nie tylko bezpieczeństwo fizyczne, lecz również to, co pozwala mu się rozwijać i dorastać, czyli ochrona jego zdrowia, edukacja, zabawa i kontakt z rówieśnikami. W Polsce sprowadza się to do obowiązku szkolnego i obowiązku szczepień, lecz należy się spodziewać, że zachodni trend dotrze i do nas, wobec czego państwo w przyszłości będzie się trochę bardziej niż dotychczas wtrącać do tego, co ze swoimi dziećmi wyczyniają ich rodzice.

Za komuny było takie hasło: „Wszystkie dzieci są nasze". Znaczyło to właśnie tyle, że dobrostan dziecka nie jest wyłącznie sprawą jego rodziców, lecz do jakiegoś stopnia powinien obchodzić całą społeczność. Dzieci są bezbronne wobec dorosłych i od nich zależne.

I choćby już z tego powodu spoczywa na nas większa odpowiedzialność za szeroko rozumiane dobro cudzych dzieci, niż ma to miejsce w odniesieniu do obcych nam osób dorosłych. Cudzie dziecko i to, co się z nim dzieje, to nie jest wyłącznie sprawa jego rodziców. Dziś chyba wszyscy tak czujemy.

I bardzo dobrze – władza rodzicielska nie jest żadną świętością, a na pewno nie większą niż elementarny dobrostan dziecka. Jesteśmy coraz bardziej na krzywdę dziecka wyczuleni i jest to jedna z niewielu rzeczy w sferze moralnej, których możemy sobie jako społeczeństwo pogratulować.

A swoją drogą jest tego pewna paradoksalna konsekwencja. Otóż jedną z wartości, które uważamy za szczególnie istotne dla zachowania dobrostanu dziecka, jest niezachwiany autorytet, jaki powinni mieć w jego oczach rodzice. Gdy bowiem ten autorytet się podważy, dziecko może odczuć niepokój o spójność i trwałość swojej rodziny. W konsekwencji z wielkim trudem przychodzi nam zwracać uwagę rodzicom źle traktującym w naszej obecności swoje dzieci, bądź niereagującym na ich uciążliwe dla innych zachowanie. To bardzo ciekawe zjawisko, gdyż owa swoista nietykalność dziecka i relacji rodzinnych ma podstawę w trosce o dobro dziecka – a więc taką samą jak nasze przekonanie, że w imię wspólnej społecznej odpowiedzialności za dobro dzieci w pewnych sytuacjach powinniśmy reagować na zachowanie rodziców wobec nich. Ta sprzeczność powoduje, że jesteśmy trochę skołowani i sami już nie wiemy, jak się mamy zachować w niepokojących sytuacjach. Zresztą wszelkie scysje związane z zachowaniem dzieci i zachowaniem ich rodziców należą do szczególnie paskudnych. Wiele tu czyha na nas tabu i złych emocji. Najczęściej przeto odpuszczamy, co niekoniecznie jest dobrym wyborem.

A co do naszych dzielnych litewskich „taterników", to nauka z ich wyczynu płynie taka, że trzeba w schroniskach wywiesić kartki z informacją o zakazie wnoszenia małych dzieci na górskie szczyty. Nie trzeba do tego ustawy – wystarczy wprowadzić taki punkt do regulaminu korzystania z Tatrzańskiego Parku Narodowego. I pewnie taki zabieg formalny trzeba będzie wykonać. Cóż, nie po raz pierwszy tak się zdarzyło, że życie napisało scenariusz, którego my, przyziemni i pospolici zjadacze chleba i bułek, nie potrafilibyśmy sami wymyślić.

JAN HARTMAN

Hipokryzja w szkole, a co w uczelniach?

W „NIE" 42/2025 Pan Tomasz Borowiecki, pisząc o kształceniu w szkołach średnich, na końcu artykułu podzielił – jak mi się wydawało – entuzjazm maturzystów z zakończenia kształcenia i radość, że wreszcie będą się mogli czegoś nauczyć na studiach. Nie podzielam tego entuzjazmu i myślę, że po przeczytaniu niniejszego artykułu Pana Borowieckiego ogarną wątpliwości, jeżeli nie popadnie w całkowity pesymizm. Zastrzegam się, że piszę to z perspektywy filologa anglisty i nie śmiałbym sugerować żadnych uogólnień.

Polska szczyci się największą liczbą osób z wykształceniem wyższym i półwyższym (licencjat – niesłusznie, moim zdaniem, uznawany jest za wykształcenie wyższe).

Dzięki „deformie" Gowina dla ogromnej liczby młodych ludzi otworzyła się możliwość kształcenia na prywatnych uczelniach. Od tego czasu degradacja stopniowo postępowała. Zlikwidowano egzaminy wstępne. Zlikwidowano także wymogi kadrowe do otwierania kierunków studiów.

W zasadzie wystarczył jeden profesor lub doktor habilitowany, a nieraz tylko jeden doktor (czasami mianowany na profesora) na kierunku studiów, żeby taka szkoła powstała. Biznes zwęszył w tym niezły interes i masowo zaczęły powstawać szkoły tak prywatne,

SŁOWO CZERWONE

Powtórki nie będzie

Nauczmy się wyłączać telefon

Nie każdy potrafi i nie każdy ma sposobność, żeby ciężką pracą dorobić się majątku. Ale postawa polegająca na braniu każdej fuchy i pracowaniu w każdej chwili – nawet w każdej wolnej chwili – jest u nas wynoszona pod niebiosa. Tak jak gdyby życie sprowadzało się do dorabiania się, a czas spędzony na czymkolwiek innym był czasem straconym. To nazywamy kultem zapierdolu.

Znam takich ludzi, którzy w wielkim trudzie i mozole dorobili się ogromnych domów. Miały to być siedziby rodowe. Miały w nich mieszkać dzieci i wnuki wdzięczne zapierdalaczowi, że im stworzył taką wielką kubaturę. Tyle że sen seniora nie był snem jego latorośli. Oni wyjechali, a on ze swoją willą na wsi został sam. Cała jego ciężka praca okazała się bezwartościowa. Bo nie doprowadziła do zamierzonego celu. Dzieci, które rzadko widywały ojca, bo ciągle pracował, nie zdążyły się do niego przywiązać. Był dla nich co najwyżej sumą zer na koncie.

Człowiek nie korzystał z życia, bo z jakichś dziwacznych przyczyn wolał się poświęcać dla dzieci, żeby one „miały lepiej". Dzieci z zapewnioną przyszłością finansową nie musiały się już tak starać. Więc było duże ryzyko, że nie zdobędą ciekawego zawodu i staną się tylko przedwczesnymi rentierami wydającymi pieniądze rodziców.

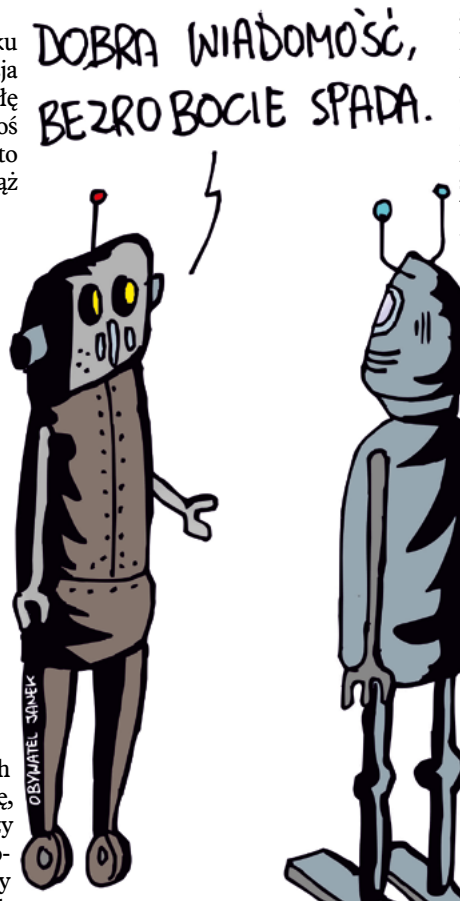
Między zarabianiem a wydawaniem pieniędzy, między pracą a korzystaniem z życia musi być zachowana jakaś równowaga. Pieniądze zarobione ciężką pracą smakują lepiej niż te otrzymane za nic. Kiedy byłem posłem, dostawałem w okienku dużo pieniędzy. W latach 90. pensja poselska miała o wiele większą siłę nabywczą niż teraz. Ale ta forsa jakoś mnie szczególnie nie cieszyła. Za to wierszówka za napisany artykuł wciąż dawała prawdziwą radochę.

Jest więc tak: bez pracy człowiek się popsuje. Z badań wynika, że pięć lat bezrobocia, bezczynności niszczy naszą psychikę. A ta bezczynność nie musi wynikać z wysokiej stopy bezrobocia. Może być skutkiem lenistwa wywołanego brakiem ekonomicznej konieczności zarabiania na życie.

Bogaci też doświadczają zgubnych skutków bezczynności. Mam kolegę, który dokonał wynalazku w branży IT i zarobił na nim kilkaset milionów. Zwierzył mi się, że ma kłopoty wychowawcze z synem, który nigdy nie widział, żeby rodzice wychodzili do pracy.

Wreszcie ważna jest sama praca, a niekoniecznie zarobek. Znam osoby, które są szczęśliwe, choć nie zarabiają zbyt wiele – bo większość życia spędzają na pracy wolontaryjnej na rzecz innych. Ich działania są skuteczne i zapewne ważniejsze niż smażenie hamburgerów.

Jeżeli ktoś dzień i noc pracuje nad jakimś ważnym wynalazkiem, to przecież nie dla pieniędzy, ale właśnie dla efektu, który uczyni ich wysiłek, ich trud i ich samych istotnymi, pożytecznymi, godnymi szacunku. Wtedy taki zapierdol ma sens. Bo uszczęśliwia tych, którzy poświęcają się dla ważnego efektu końcowego.



Jeżeli efektem pracy są tylko pieniądze, to szczęścia nie przynoszą. Najwyżej kłótnie w rodzinie o spadek jeszcze za życia testatora. Za to ciężka sensowna praca dla dokonania jakiegoś przełomu, czegoś dobrego, uszczęśliwia. Ma sens. No tak, ale nielicznym jest dane pracować aż tak sensownie. Dla większości praca jest obowiązkiem, a nie nagrodą.

Najważniejszym celem każdego jest szczęście. Dlatego tak ważna dla ankietowanych Polaków jest rodzina. Dlatego nie warto jej tracić z oczu, żeby więcej zarobić. Faceci, którzy dali się wygonić z pokoju dziecinnego dla mamony, kończą jako przegrani, którzy nie widzieli, jak dzieci dorastały, i którzy dla tych dzieci są obcy, bo stanowią tylko źródło kasy. Więc trudno się dziwić, że takie dzieci nie są w stanie ojca szczerze i serdecznie przytulić.

Rozumiem, że dla większości z nas, którzy walczymy o związanie końca z końcem, o przetrwanie do pierwszego bez pożyczania, takie rozważania o sensie pracy i bogactwa są cokolwiek abstrakcyjne. Zasuwamy od świtu do zmroku, bo nie mamy wyboru.

Ale na szczęście przynajmniej jakaś część z nas ma wybór. Czy oddać się pracodawcy bez reszty – czy zacząć siebie i swój czas szanować i nie zostawać po godzinach? Nie być do dyspozycji firmy 24 godziny na dobę. Moim zdaniem powinien powstać przepis, który zabrania żądania od pracownika jego prywatnego numeru telefonu. Czy dzwonienia do podwładnych poza godzinami pracy, np. w święta czy niedziele.

Zerwanie z niewolnictwem zwanym nieszczerze dyspozycyjnością to wielkie wyzwanie, któremu coraz więcej młodych ludzi potrafi sprostać. Odmawiają szefom pracy w wydłużonym czasie. Młodzi pracownicy zaczynają odmawiać, bo zrozumieli, że żyją tu i teraz, i drugi raz nie będą młodzi. Że życie nie kończy się olimpiadą, tylko śmiercią. Powtórki nie będzie.

PIOTR IKONOWICZ

Rząd wie, że seniorów przybywa – i sam też się wyraźnie starzeje, bo sposób myślenia o polityce senioralnej jest coraz bardziej archaiczny. Zamiast więc budować więcej domów opieki, dostępnych mieszkań i wind w blokach, wymyślono nowe cudowne rozwiązanie: najem senioralny.

Pomysł jest prosty – aż boli. Starsza osoba niejako wypożycza gminie swoje mieszkanie, a w zamian dostaje lokal komunalny „lepiej dostosowany" – czyli z windą, na parterze, może nawet z balkonem, żeby mogła wywiesić wyborcze transparenty. Gmina zaś wynajmuje oddane mieszkanie komuś innemu, żeby „efektywniej gospodarować zasobem". I wszystko pięknie, dopóki nie przeczyta się, jak to ma działać naprawdę.

Trzy umowy, jedna z losem

Bo diabeł, jak zwykle w Polsce, siedzi w umowie. A tu umowy są aż trzy: senior podpisuje z gminą, gmina z podnajemcą, a potem jeszcze wszyscy z losem. Trzy umowy – czyli trzy okazje, żeby coś się sypnęło. Rzecznik praw obywatelskich już ostrzega: to przepis na bałagan, konflikt i prawny labirynt. Senior nie będzie do końca wiedział, kto mu co płaci, kto odpowiada za szkody, a kto za czynsz. A w razie kłopotów może się okazać, że jego „wypożyczone" mieszkanie już nie jest takie jego, bo gmina – jak to gmina – „nie ma narzędzi prawnych, by je opróżnić".

Oddajesz gminie mieszkanie, bo chcesz mieć wygodniej – bliżej do sklepu i z windą – a w praktyce tracisz kontrolę nad swoim dotychczasowym lokalem. Zamiast bezpieczeństwa dostajesz tylko obietnicę, że ktoś się tobą zajmie.

RPO zwraca uwagę też na inne sprawy, o których projektodawcy zdają się nie pamiętać. Na przykład, że w Polsce mieszka też trochę ludzi z niepełnosprawnościami, którzy nie są seniorami, ale też nie bardzo powinni mieszk-

eprasa.pl 1d3e1214be

Wykształcenie wyższe bez podstawowego

jak i publiczne w całej Polsce, na ogół z dojeżdżającymi (lub nie) profesorami z uniwersytetów. Dołożyły się do tego ambicje lokalne i w małych miejscowościach powstawały szkoły licencjackie, właściwie pomaturalne.

Niestety, odbyło się to ze szkodą nie tylko dla istniejących już uniwersytetów, ale dla całej nauki. Profesorowie z uczelni państwowych rozdwajali się lub roztrojali (albo i więcej) – i dojeżdżali (lub nie) najwyżej na jeden dzień w tygodniu. Czasami raz w miesiącu, lub raz w semestrze, bywało, że wcale – byle się liczyli do tzw. minimum kadrowego. Doszło do tego ograniczenie liczby godzin i kompresja treści przedmiotów do minimum. Do „uczelni" takich bez egzaminów wstępnych przyjmowano kandydatów, którzy na studia się nie nadawali – według mojej byłej studentki, profesjonalnej psycholożki, procent ten sięgał połowy kandydatów. Nie można było też eliminować studentów w czasie studiów. W końcu biznes to biznes, musi się tak kręcić, żeby właściciel odpowiednio zarobił, a szkoła funkcjonowała w małych miejscowościach. Nierzadko takie studia sprowadzały się po prostu do sprzedaży dyplomów – czego najdrastyczniejszym, ale zapewne niejedynym przykładem jest Collegium Humanum – a korupcja sięgnęła nawet Państwowej Komisji Akredytacyjnej. Zmniejszono też liczbę wydziałów wymaganą do nazwania uczelni uniwersytetami. Często po prostu wymyślano wydziały – mające mało wspólnego z kształceniem uniwersyteckim.



Ponieważ reklama jest dźwignią handlu, wszystkie te uczelnie zaczynają swoją prezentację od misji, obietnic kształcenia nieomalże na poziomie noblowskim – co przy okrojonych programach i dojeżdżającej kadrze wygląda na koszmarny żart.

W „misji" jednej z takich szkół czytamy: „Sapientiae Servientes (w służbie mądrości) – słowa te, umieszczone na sztandarze Akademii, wyrażają misję Uczelni. Akademia to miejsce, gdzie wspólnym wysiłkiem poszukuje się prawdy, wiedzy i umiejętności"…

Jak wyglądało to w rzeczywistości, wiem z własnych anglistycznych doświadczeń – a także z doświadczeń naukowców z innych filologii. Na filologii angielskiej, zapewne w ramach poszukiwania wiedzy, na wykład z tysiącletniej historii języka angielskiego, dano mi 15 godzin lekcyjnych. Dla porównania: na moich studiach cały mój rok, bez względu na zainteresowania, miał 60 godzin wykładów i 60 godzin ćwiczeń z tego przedmiotu. Jak mnie poinformowano, tyle samo godzin przeznaczono na tysiącletnią literaturę angielską (dawniej 240 godzin + lektury do domu dla wszystkich). Porównania te nie wymagają komentarza.

Niedawno dowiedziałem się, że niektóre uniwersytety też poszły tym śladem i programy są drastycznie ograniczane, nawet do 14 godzin. Pomijając praktyczną użyteczność przedmiotów (podobnie zresztą, jak wszystkich przedmiotów w szkole średniej), ćwiczą one umysł w różnorodny sposób, zmuszając szare komórki do aktywności. Chyba abiturienci nie mają powodów, żeby łudzić się, że – jak chce red. Borowiecki – od momentu zdania matury „można się będzie zacząć czegoś uczyć". A może cieszą się, że nie będą się uczyć wcale (14 godzin zamiast 120 lub 240 w wielu przedmiotach)?

Wspomniałem powyżej o dojeżdżającej (lub nie, lub rzadko) kadrze. Poza nielicznymi wyjątkami trudno w internecie znaleźć składy kadry na poszczególnych kierunkach. Są to informacje najwyraźniej skrzętnie ukrywane. Po aferze w Państwowej Komisji Akredytacyjnej nasuwa się wiele wątpliwości co do obsady kadrowej, szczególnie w aspekcie tej kadry wykształcenia i prowadzących do niego procedur.

Przykład – z mojego własnego doświadczenia. W 2011 r. Instytut Filologii Angielskiej Uniwersytetu Łódzkiego poprosił mnie o recenzję pracy habilitacyjnej dr Anny Bączkowskiej (opisałem to w recenzji opublikowanej w 2015 r. w „Academic Journal of Modern Philology", vol 4, więc nie jest to żadna tajemnica). Recenzja na 13 stron była druzgocąca. Poza niechlujną, pełną błędów formą, Autorka wykazała się kompletną nieznajomością języka angielskiego. Żeby nie być gołosłownym: pisała, że angielski przyimek *at* („przy") znaczy „szybko", a *on* („na") znaczy „wolno". Można by z tego wywieść, że przy stole siada się lub siedzi szybko, a na stole siada się lub siedzi wolno… Widocznie Autorka jest zdania, że siadać przy stole należy szybko, żeby uprzedzić innych, natomiast na stole siada się wolno, żeby nie usiąść w zupę… Wiedza o *at* i *on* to szkoła podstawowa, lub nawet przedszkole – konstrukcja podobna do języka polskiego.

Inni recenzenci byli bardziej łaskawi i wydali opinie pozytywne. Prof. Kardela (UMCS) przyznał się potem, że pracy nie czytał, prof. Tabakowska (UJ) tłumaczyła się, że jej recenzja była w zasadzie negatywna, ale zdecydowała się napisać pozytywną konkluzję. Na dodatek prof. Lewandowska-Tomaszczyk (UŁ) wystąpiła w potrójnej roli: jako wcześniejsza promotorka pracy doktorskiej dr Bączkowskiej, jako recenzentka jej książki habilitacyjnej i jako recenzentka w procesie habilitacyjnym. Ówczesny dziekan prof. Stalmaszczyk, bliski kolega tejże recenzentki i jej wcześniejszy podwładny, usłużnie zechciał nie zauważyć tej drobnej etycznej niewłaściwości, ignorując skądinąd „Kodeks etyki pracownika naukowego" PAN. Z internetu widzę, że dr hab. Anna Bączkowska ma się dobrze i jako profesor uczelniany na Uniwersytecie Gdańskim uczy, że „przy" znaczy „szybko", a „na" znaczy „wolno"… Chyba że się już douczyła. Jakie kadry kształcą się gdzie indziej, wolę nie myśleć. Rada Wydziału uznała tę habilitację jako „znaczny wkład w rozwój językoznawstwa"!

Tak więc uwaga Pana Borowieckiego, że każdy student powie, że „najszczęśliwszym dniem było zakończenie szkoły, bo dopiero od tego momentu można się było zacząć uczyć" – brzmi cokolwiek ironicznie. Zapewne studenci chwalą sobie 14 godzin zamiast 120 czy 240. Ale to nie jest ponury żart, a poważna narodowa tragedia.

Prof. dr hab.
ALEKSANDER SZWEDEK
professor emeritus, UAM

Jak wydymać dziadka i wnuczka

Najem senioralny zaszkodzi i seniorom, i ich najemcom

kać na piętrze bez windy. Oni jednak się „nie kwalifikują". Bo w ustawie zapisano, że chodzi o osoby po sześćdziesiątce. Młodszy? Trudno. Poczekaj, aż dożyjesz.

Inne kluczowe pytanie: kto ma płacić rachunki. Senior? Gmina? Podnajemca? Może premier? Odpowiedź brzmi: nikt nie wie. W projekcie po prostu tego nie ma. Wiadomo tylko, że jeśli coś się zepsuje albo lokator coś zniszczy, to senior nie ma gwarancji żadnej rekompensaty. Tak, ten sam senior, który oddał mieszkanie, żeby mieć spokój na starość, może jeszcze dostać rachunek za cudze szkody. Państwo opiekuńcze, ale nie przesadzajmy.

Niepewność dotyczy także tych, którzy mieliby w tych mieszkaniach zamieszkać. Bo skoro gmina tylko podnajmuje, to w każdej chwili może kazać się wynosić. A że większość takich lokali trafi pewnie do ludzi z listy oczekujących na lokal komunalny, to wyjdzie jak zwykle: jedni zostaną z walizkami, drudzy z wezwaniem do sądu, a trzecim zostanie tylko poczucie, że znowu ktoś zrobił reformę bez głowy.

Nowe sposoby dyskryminacji

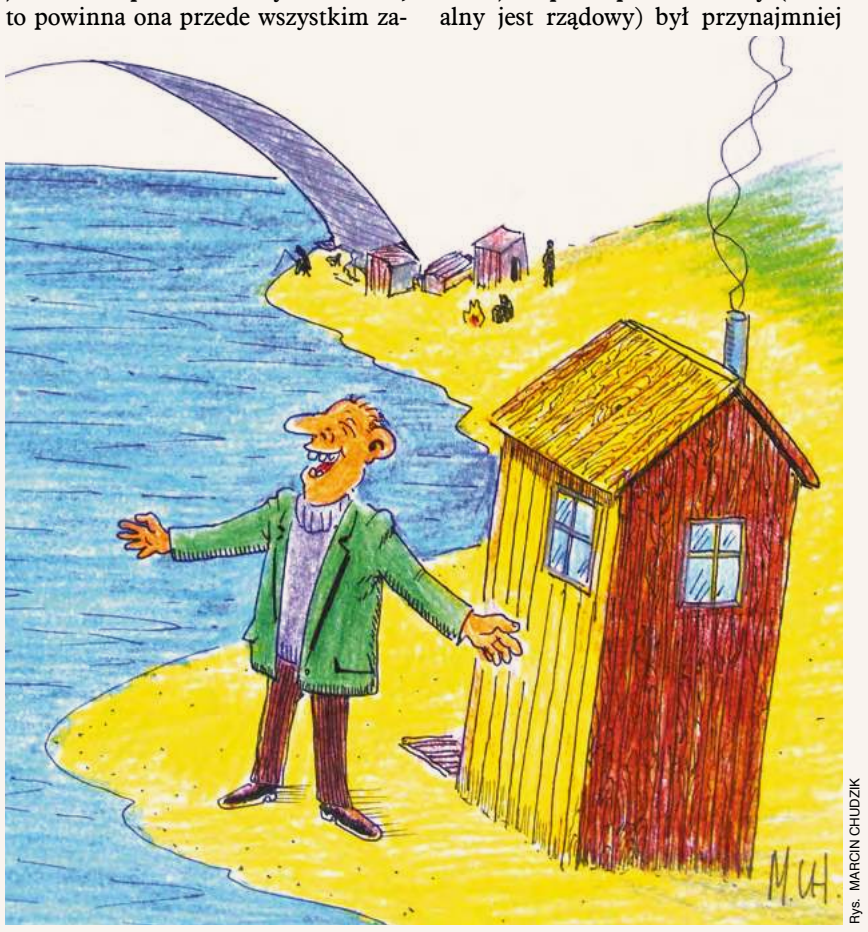
Według Komitetu Obrony Praw Lokatorów projekt to bubel. Nie wychodzi naprzeciw oczekiwaniom osób starszych, borykających się z życiem w niedostosowanych do ich potrzeb mieszkaniach. Zamiast rozwiązywać palące problemy lokatorów – na które Komitet wielokrotnie wskazywał w pismach przekazywanych projektodawcom – najem senioralny wprowadza nowe niespójności prawne i nowe rodzaje dyskryminacji lokatorów w i tak już wadliwym systemie prawnym.

Po pierwsze: niesprawiedliwe traktowanie ludzi nieposiadających lokali. Wiele osób, które zwracają się do gminy o pomoc mieszkaniową, spotyka się z odmową tylko dlatego, że mają jakąkolwiek własność – choćby ułamek udziału w odległej nieruchomości, o którą od lat toczy się skomplikowana sprawa spadkowa. Nawet ta czysto iluzoryczna własność wyklucza ich z grona potencjalnych beneficjentów pomocy mieszkaniowej. Tymczasem według nowego projektu wygodne, dostosowane do swoich potrzeb lokale dostaną ci, którzy nie tylko mają na własność mieszkanie, ale też mogą w nim mieszkać. Trudno uznać, że taka polityka rzeczywiście wspiera tych, którzy najbardziej potrzebują pomocy.

Po drugie: niepewność najmu. Osoby, które podnajmą mieszkania po seniorach, znajdą się w bardzo niepewnej sytuacji. Projekt nie gwarantuje im żadnej stabilności – mogą stracić dach nad głową, jeśli senior albo jego spadkobiercy zechcą mieszkanie odzyskać.

Po trzecie: wykluczenie seniorów z opiekunami. Nawet jeśli projekt miałby działać dla części starszych osób, wiele z nich zostanie pominiętych ze względu na to, że mieszkają z opiekunami wspierającymi ich w codziennym życiu. W praktyce oznacza to, że nadal pozostaną więźniami wysokich pięter i nie będą mogli liczyć na wsparcie gminy.

Po czwarte: brak poprawy standardu mieszkań. Jednym z największych mankamentów projektu jest całkowity brak działań na rzecz poprawy jakości lokali dla seniorów i osób z niepełnosprawnościami. Standardy mieszkań oferowanych przez gminy są nadal niskie i w wielu przypadkach nie pozwalają na godne życie. Jeśli celem ustawy jest realna pomoc starszym osobom, to powinna ona przede wszystkim zadbać o to, aby oferowane lokale były naprawdę funkcjonalne i dostępne.



Przepis na bezsenność

Najbardziej groteskowe jest to, że pierwotny pomysł, zgłoszony w maju do sejmu przez posłów lewicy (aktualny jest rządowy) był przynajmniej logiczny. Zakładał, że gmina kupuje mieszkanie od seniora i daje mu lokal w zamian. Można było się spierać o szczegóły, ale przynajmniej wiadomo było, kto jest właścicielem.

Teraz mamy wersję „na próbę", gdzie państwo ani nie kupuje, ani nie chroni. Wszystko „tymczasowe", „współdzielone" i „elastyczne". Typowy neoliberalny bełkot ubrany w ciepły sweterek polityki senioralnej.

Ministerstwo rozwoju zapewnia, że to „szansa na godne starzenie się w przyjaznym otoczeniu". Wątpię. Bo dla przeciętnej emerytki z czwartego piętra to raczej przepis na bezsenność. Nikt nie chce być testowym królikiem w eksperymencie z najmem senioralnym. Tym bardziej że seniorzy już nie raz dali się nabrać – na odwrócone hipoteki, fundusze hipoteczne i inne cuda kapitalizmu. Na końcu zawsze okazywało się, że w ich mieszkaniu mieszka ktoś inny, a oni zostają z pustymi słowami urzędników.

Politycy mówią, że społeczeństwo się starzeje. Tylko, że ich pomysły zdają się starzeć jeszcze szybciej – zakurzone, biurokratyczne i liberalnie skostniałe. Zamiast realnej pomocy dla seniorów powstają ustawy, które w praktyce utrudnią im życie lub po prostu będą martwe. Nie powinno dziwić, że seniorzy nie ufają państwu – w końcu rzadko przychodzi ono z pomocą, a teraz chce jeszcze klucze.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl 1d3e1214be

Łódzkie tronowanie

Czyli jak Hanna z Joanną tasują Platformę

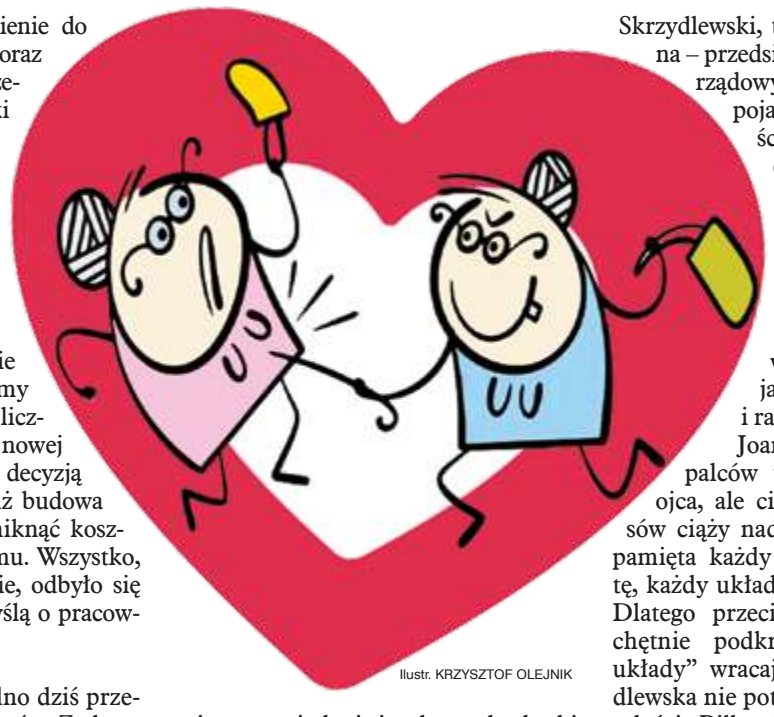
W Łodzi trwa wojna pałacowa, jakiej dawno nie widziano. Nie o idee, nie o program, tylko o metry kwadratowe władzy. Hanna Zdanowska i Joanna Skrzydlewska – dwie kobiety, które od lat rządzą regionem z różnych pięter Platformy – toczą bój o to, kto ma większe biuro, dłuższy korytarz i droższy ekspres do kawy.

Hanna Zdanowska, od 15 lat pani na Piotrkowskiej, ogłosiła, że to jej „ostatnia kadencja". Oczywiście nikt w to nie wierzy – a PSL i rządząca koalicja już majstrują przy dwukadencyjności. Zdanowska przez lata stworzyła wokół siebie układ z betonu: lojalni dyrektorzy, zaprzyjaźnione spółki, wierne media. Ale beton ma to do siebie, że z czasem pęka.

I właśnie w te szczeliny wślizgnęła się Joanna Skrzydlewska – była wiceprezydentka Łodzi, dziś marszałkini województwa. Ambitna, młodsza, wygadana i coraz pewniejsza siebie. Postanowiła z rozmachem zaznaczyć swoje panowanie – kupując nową siedzibę urzędu marszałkowskiego. Oficjalnie – dla „poprawy komfortu pracy". Nieoficjalnie – by każdy widział, że to ona przejmuje stery.

Nowy biurowiec – ponad 20 tys. mkw. – kosztował ok. 260 mln zł. Transakcja została przeprowadzona po cichu, bez przetargu, a jej szczegóły ujawniono dopiero po fakcie. I wtedy zaczęło się robić gorąco.

Sprawą zajęła się posłanka Agnieszka Wojciechowska van Heukelom z PiS, która oskarżyła marszałkinię o niegospodarność i przepłacenie za nieruchomość. Złożyła zawiadomienie do Najwyższej Izby Kontroli oraz prokuratury, pytając, dlaczego urząd marszałkowski kupuje biurowiec w trybie nagłym, w dodatku od spółki, która miała problemy finansowe. A że Łódź ma bogatą tradycję prywatyzowania publicznego, to historia chwyciła błyskawicznie.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Marszałkini oczywiście zaprzecza, że w ogóle mamy do czynienia z aferą. Publicznie przekonuje, że zakup nowej siedziby był racjonalną decyzją ekonomiczną – tańszą niż budowa od zera i pozwalającą uniknąć kosztów wieloletniego wynajmu. Wszystko, jak zapewnia jej otoczenie, odbyło się zgodnie z prawem i z myślą o pracownikach urzędu.

Tyle że Łodzian trudno dziś przekonać do takich argumentów. Zwłaszcza gdy po drugiej stronie barykady, pod rządami Hanny Zdanowskiej, miasto planuje wynajem droższego biurowca w Bramie Miasta – kontrakt wart prawie 300 mln zł przez 15 lat. Ta decyzja budzi pytania o sens inwestowania w nowe powierzchnie, skoro miasto posiada już własne budynki wymagające remontów.

Efekt? Wojna na biura. Skrzydlewska kupuje – Zdanowska wynajmuje. Jedna chwali się aktem własności, druga panoramą z okna.

Joannie Skrzydlewskiej polityka nie spadła z nieba. Jej ojciec, Witold Skrzydlewski, to postać w Łodzi znana – przedsiębiorca, działacz samorządowy, a dawniej także figura pojawiająca się w kontekście afery „łowców skór", czyli procederu handlowania informacjami o zgonach przez pracowników pogotowia. Skrzydlewski prowadził wówczas sieć zakładów pogrzebowych, więc nazwisko przewijało się w publikacjach i raportach.

Joanna nigdy nie maczała palców w dawnych sprawach ojca, ale cień rodzinnych interesów ciąży nad nią w Łodzi. Miasto pamięta każdy przetarg, każdą kwotę, każdy układ – i lubi przypominać. Dlatego przeciwnicy Skrzydlewskiej chętnie podkreślają, że „rodzinne układy" wracają na salony, a Skrzydlewska nie potrafi odciąć się od przeszłości. Bilbordy i kariera polityczna bowiem kosztują.

W teorii obie panie należą do tej samej partii. W praktyce – do dwóch różnych światów. Zdanowska to stara gwardia – twarda, z siecią kontaktów i własnym sposobem rządzenia. Skrzydlewska – nowa elita, wychowana na PR-owych prezentacjach i mediach społecznościowych.

Cezary Grabarczyk, długoletni lider łódzkiej Platformy Obywatelskiej i były minister sprawiedliwości, próbuje mediować między nimi, ale to jak próba pogodzenia dwóch monarchiń, które mają własne dwory. Każda z nich ma swoich lojalnych ludzi w spółkach i urzędach. Każda rozdaje nominacje jak karty do gry. Każda planuje przyszłość po drugiej stronie wyborów.

A Platforma w Łodzi? Z zewnątrz wygląda jak zjednoczona. W środku – jak związek po terapii: razem tylko dla dobra dzieci.

Dla Łodzian oznacza to jedno: kolejne miliony publicznych pieniędzy utopione w biurowcach zamiast w tramwajach, kamienicach czy szkołach. Obie panie zapewniają, że „to inwestycje w przyszłość". Tyle że Łodzianie coraz częściej pytają: czyją?
No cóż, na pewno jakiejś pani z Koalicji Obywatelskiej. Żyjemy przecież w demokracji.

DAMIAN DUSZCZENKO

I love Łódź

Clooney w mieście, czyli PR zamiast kanalizacji

Łódź to prowincjonalne miasto w środku Europy – ale za to z ambicjami. Dział promocji więc nie śpi, bo Hanna Zdanowska musi mieć czym się pochwalić.

Owszem, mamy najdroższą i jednocześnie najgorszą komunikację miejską w Polsce. Ale raz w roku jest za darmo – na czas Łódź Summer Festival. Tegoroczna edycja kosztowała 5 mln zł. Co z tego, że Łodzianie na co dzień tłuką się starymi tramwajami i kluczą między wykopami – ważne, że przez weekend Łódź tańczy i śpiewa.

Prawie 30 tys. mieszkań wciąż nie ma łazienki, ponad 20 tys. toalety, a 10 tys. nawet bieżącej wody. Ale za to mamy Orientarium, którym można się pochwalić w telewizji. W końcu co komu po kiblu, skoro może zobaczyć słonia.

Kolejki po mieszkania komunalne ciągną się latami. W tym czasie wielu zdąży umrzeć, wyjechać albo pogodzić się z myślą, że władza ma ważniejsze sprawy. Na przykład sprowadzenie hollywoodzkiej gwiazdy, żeby wygłosiła kilka ciepłych słów o mieście – i na moment przykryła całą rzeczywistość.

W latach 90. Łódź była miastem upadłym, zmiażdżonym przez transformację. Stała się symbolem biedy i wstydu, miejscem, z którego ludzie uciekali, a nie do którego wracali. Stąd ogromna potrzeba pokazania, że jest lepiej – a po dwóch dekadach i miliardach euro wpompowanych w infrastrukturę wszędzie jest lepiej. Tak dobrze, że miasto wyludnia się szybciej niż kiedykolwiek… Łódź pod rządami Hanny Zdanowskiej wciąż szuka swojej tożsamości. Festiwale, rewitalizowane fabryki, parki tematyczne, strefy kreatywne, lodowiska i fontanny – co sezon nowy „wizerunek, na który stawiamy", czyli w praktyce zmiana dekoracji zamiast planu dla miasta. Wszystko z promiennym uśmiechem prezydent. Nawet powstała miejska gazeta, która nie informuje o problemach, tylko o sukcesach. Zapełniona zdjęciami inwestycji, których mieszkańcy często nawet nie zauważyli, służy przede wszystkim jako narzędzie PR-u, szczególnie skuteczne tuż przed wyborami.

Mimo tych wysiłków Łódź wciąż się zwija, a jej wizerunek pozostaje marny. Sięgnięto zatem po ostateczną broń: George Clooney. Gwiazdor kawowych reklam, niegdyś poważany aktor, przyjechał do Polski jako moralny autorytet i gość 12. Igrzysk Wolności Fundacji Liberté. Paradoks? W mieście złamanym przez transformację wydarzenie paleoliberałów współfinansował samorząd. Dał na to skromne 1,3 mln zł. Ale cóż – autorytety trzeba mieć, najlepiej po angielsku. I najlepiej takie, które robią zdjęcia z prezydent i podkreślają, że Łódź jest „cool".

Ostatnią gwiazdą witaną tu z takim entuzjazmem był chyba Michael Jackson w 1997 r. Clooney nie przyjechał grać ani promować filmu, lecz pouczać o demokracji i wolności – oczywiście tych, którzy mogli zapłacić 3,5 tys. zł za bilet VIP. Reszta mieszkańców mogła jedynie oglądać zdjęcia w gazetach i mediach społecznościowych. Co obiegło wszystkie serwisy informacyjne? Nagrania, na których Clooney, podpytywany przez Zdanowską, niezdarnie powtarza słowa „Kocham Łódź" – hasło wykorzystywane w jej kampaniach wyborczych.

Sukces gotowy. Kompleksy przykryte, PR odetchnął. Na rok wystarczy. Tymczasem codzienność miasta pozostaje niezmienna: dziurawe drogi, puste kamienice, wyludniające się osiedla.

Bo choć Clooney odleciał, Łódź wciąż stoi w miejscu. „I love Łódź" nie zastąpi ani planu rewitalizacji, ani mieszkań z łazienką, ani tramwajów, które ciągle się psują.

WKD

Major Ejsmont znowu na tropie Łowczyni powraca

Prorządowe media cieszą się, że sponiewierana za PiS mjr Magdalena Ejsmont ze stanowiska komendanta Straży Miejskiej w Warszawie wróciła do matecznika, czyli do Służby Kontrwywiadu Wojskowego jako ta legendarna łowczyni ruskich szpiegów. To przypomnijmy historię mjr. rezerwy Romana J., który dekadę temu zbudował jej legendę (jak twierdzi Platforma Obywatelska) i antylegendę (to w wersji PiS).

Szpieg, który poszedł na grzyby

„Sprawa żołnierza z Białegostoku pokazuje jakość naszych służb" – nadymał się w 2016 r. Tomasz Siemoniak, ówczesny minister obrony narodowej, a obecny koordynator ds. służb specjalnych, kiedy Białorusini oddali nam naszego szpiega.

Ale nasz dzielny kapitan 18. Pułku Rozpoznawczego z Białegostoku wcale nie powinien się znaleźć po białoruskiej stronie. Chyba że ktoś w służbach pomylił mapę z atlasem grzybów. A może chłop sam postanowił zabawić się w Jamesa Bonda z Podlasia? Efekt: na nogi postawił cały kontrwywiad wojskowy i cywilny, a w Białymstoku wylądował w rubryce „Zaginieni".

Zanim ktokolwiek zdążył go poszukać dyplomatycznymi kanałami, kapitana Romana J. poszukiwała miejscowa policja. Chłop był na urlopie, rodzinie rzucił przez ramię, że idzie na grzyby, i słuch po nim zaginął. Samochód znaleziono przy granicy. Grzybów, jak nietrudno się domyślić, nie.

Według naszych ówczesnych policyjnych źródeł twierdzenia, że kapitan pojechał „odwiedzić rodzinę na Białorusi" i że „zatrzymali go bez dowodów" można włożyć między inne szpiegowskie legendy, obok tej o „sprawnym działaniu państwa". Takie opowieści z mchu i paproci w sam raz dla dziennikarzy TVN, którzy kochają frazę: „Dotarliśmy do sensacyjnych informacji".

Tymczasem Roman J. od lat uczestniczył w oficjalnych misjach w krajach WNP, oglądał sprzęt wojskowy w ramach tzw. dokumentu wiedeńskiego i – jak to bywa w wojsku – trochę za bardzo się tym interesował. Białorusini, czyli KGB, nie są przecież idiotami.

– Przysiadł się do niego na kawę jakiś muzyk, pogadali, i zaraz było pozamiatane – relacjonował nasz informator. Zanim kapitan zdążył wyjąć termos, siedział już w kazamatach z wyrokiem za szpiegostwo.

Jak Platforma zgubiła oficera

Po polskiej stronie wybuchła panika. Służby z czasów Platformy zaczęły się zastanawiać, czy nasz bohater nie przeszedł przypadkiem „na złą stronę mocy". Policja, SKW, ABW – wszyscy szukali człowieka, który najprawdopodobniej już wtedy był na białoruskim wikcie. Dopiero dyplomatyczne kanały doniosły: siedzi. I to z wyrokiem.

Wtedy, już po wzięciu władzy przez prawicę w 2015 r., na scenę wkroczyli bohaterowie z PiS: nadszef wszystkich służb specjalnych Mariusz Kamiński i szef SKW Piotr Bączek, którzy uznali, że uwolnienie kapitana to sprawa honorowa. Akurat w ich przypadku rzeczowniki „honor" i „służby" w jednym zdaniu brzmią dość egzotycznie, ale tym razem się spięli. Po pomoc sięgnęli nawet do ludzi związanych z Platformą Obywatelską: poprzednika Kamińskiego na stanowisku koordynatora ds. służb posła Marka Biernackiego i byłego szefa ABW generała Dariusza Łuczaka. Jak widać, kiedy trzeba wymienić szpiegów, to w Polsce nawet koty z psami potrafią się dogadać.

Polska Mata Hari

W tym miejscu pojawia się ona – mjr Magdalena Ejsmont, oficerka SKW, oddelegowana do natowskiego Centrum Kontrwywiadu. Według legendy to właśnie ona miała „wyciągnąć naszego człowieka z łap Łukaszenki". Brzmi to jak scenariusz filmowy: jedna kobieta kontra system – Łukaszenka i białoruskie KGB.

Wersje, które podpowiadają nam nasi informatorzy, są dwie: albo naprawdę znała kapitana i sama go „zadaniowała" na kierunku białoruskim, więc teraz chciała ratować własną robotę, albo cała ta historia nie trzyma się kupy, nawet na poziomie szkolenia podstawowego w służbach.

Potem pisowska SKW oficjalnie ogłosiła, że pani major działała bez zgody przełożonych, samowolnie, „zakłócając czynności uprawnionych instytucji". Po ludzku jednak zrobiła swoje, a służby się obraziły. Sąd administracyjny uznał kilka lat temu, że degradacja oficerki za samowolkę była niesłuszna. Czyli – jak to u nas – wszystko znowu wróciło do punktu wyjścia.

Poza Romanem J., który cieszy się dobrą wojskową emeryturą. Tak samo jak pewnie jego białoruski odpowiednik, Siarhiej H., którego musieliśmy oddać Białorusinom w zamian. Napisał też książkę z pobytu u Baćki, w której prezentuje się jako niewiniątko, które bezzasadnie trafiło do białoruskiego pierdla, choć przecież pojechał tam tylko dla rekreacji i aby przy okazji zaopatrzyć się w tanie części do osobistego auta. I chwali przy okazji za skuteczność Mariusza Kamińskiego.

Bo w Polsce każda afera szpiegowska kończy się tak samo: jedni zostają bohaterami, drudzy awansują, a reszta idzie na grzyby.

JMP

eprasa.pl 1d3e1214be

Dni Merza są policzone



Ilustr. PAWEŁ FERENC

„NIE" rozmawia z Andrejem Hunko, politykiem Sojuszu Sahry Wagenknecht (BSW)

– Podobno planujecie obalić rząd kanclerza Merza?

– Uporządkujmy: domagamy się uczciwego przeliczenia głosów oddanych w lutowych wyborach. I owszem, może to spowodować, że Friedrich Merz nie będzie miał większości w parlamencie.

– To po kolei. Wasza partia miała zaledwie rok, kiedy wystartowała w wyborach do Bundestagu…

– Tak, rozpoczęliśmy działalność 24 stycznia 2024 r.

– Po tym, jak 10 posłów – w tym pan – odeszło z Die Linke, żeby powołać Sojusz Sahry Wagenknecht dla Rozsądku i Sprawiedliwości. Dlaczego? Co wam nie odpowiadało w Die Linke?

– Przede wszystkim jej prowojenna postawa. Jesteśmy najbardziej antywojenną partią w Niemczech. Były też inne kwestie, związane z wolnością wypowiedzi – ale kluczowe jest to, że nie zgadzamy się na wysyłanie coraz to więcej i więcej broni na Ukrainę, bez żadnej perspektywy zakończenia tego konfliktu.

– I w ciągu tego pierwszego roku istnienia odnieśliście szereg sukcesów wyborczych.

– W czerwcu 2024 r. wzięliśmy udział w wyborach do Parlamentu Europejskiego i zdobyliśmy 6,2 proc. głosów. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, żeby jakakolwiek partia przekroczyła pięcioprocentowy próg wyborczy w pierwszym roku swojego istnienia. Następnie we wrześniu wystartowaliśmy w wyborach do landtagów Brandenburgii, Turyngii i Saksonii – i wszędzie wzięliśmy ponad 10 proc. głosów. To był naprawdę dobry start.

– A potem przyszły przedterminowe wybory do Bundestagu.

– Tak zwana koalicja świateł drogowych – socjaldemokratów, liberałów i zielonych – rozpadła się bodaj w październiku. Pierwotnie wybory miały się odbyć pod koniec marca, ale pod presją Friedricha Merza zostały przesunięte na 23 lutego. Parlament został rozwiązany 27 grudnia. To oznaczało bardzo mało czasu na przygotowanie wyborów, co było skądinąd częścią problemu.

– Głównie waszego. Nie przekroczyliście progu.

– Było też bardzo mało czasu na szkolenia członków komisji, co zaowocowało wieloma nieprawidłowościami. Ale owszem, najmocniej obiło się to na nas. Według oficjalnych wyników uzyskaliśmy 4,981 proc., przy pięcioprocentowym progu wyborczym.

– Dostaliście 2,5 mln głosów, do przekroczenia progu zabrakło wam 9500. Może po prostu mieliście pecha?

– Już w wieczór wyborczy dostaliśmy sygnały od wyborców, którzy na nas głosowali, a potem widzieli, że w ich komisji obwodowej nie padł na nas ani jeden głos. Np. w moim okręgu wyborczym, w Aachen, udało nam się ustalić, że w jednej z komisji obwodowej 48 głosów oddanych na nas przypisano bardzo małej partii, która była przed nami na liście. Oni byli 15., zapisani jako „BD", my – 16., zapisani jako „BSW". Jeszcze w wieczór wyborczy złożyliśmy protest i ten protest został uznany. Takie błędy pojawiały się w całych Niemczech, protestowaliśmy wszędzie, ale decyzja, czy ponownie przeliczyć, czy nie, należy do przewodniczącego lokalnej komisji wyborczej. Część podjęła taką decyzję – i pomiędzy wynikami wstępnymi i oficjalnymi zyskaliśmy 4277 głosów.

– To pierwszy z błędów, które przywołujecie w swojej skardze wyborczej: przy liczeniu, które odbywa się – tak jak w Polsce – ręcznie, część głosów oddanych na was przypisano partii z bardzo podobnym skrótem, która była na liście przed wami. W skali kraju BD otrzymało 0,2 proc., wy – prawie 5, ale w 145 okręgach wyborczych oni mieli więcej od was, co najpewniej jest pomyłką w liczeniu.

– Tak. Drugi był taki, że w wielu komisjach uważano, że karta wyborcza bez pierwszego głosu jest nieważna – a to nieprawda.

– To może wyjaśnijmy: według niemieckiej ordynacji wyborczej każdy obywatel ma dwa głosy: pierwszy – na konkretnego kandydata w systemie większościowym, a drugi na listę partyjną w systemie proporcjonalnym.

– Dla nas, jako młodej partii bez struktur, wystawienie kandydatów we wszystkich 299 okręgach jednomandatowych było niemożliwe. Więc byliśmy tylko na tej drugiej liście, partyjnej. To oczywiście osłabia przekaz wyborczy, sprawia, że jesteśmy mniej widoczni – ale z prawnego punktu widzenia wystarcza. Wyborcy mogą swój pierwszy głos oddać na kandydata z innej partii albo w ogóle nie oddać. Było jednak wiele komisji obwodowych, w których mówiono wyborcom, że zagłosowanie tylko na listę partyjną sprawi, że ich głos będzie nieważny.

– Brakuje wam 9,5 tys. głosów, w Niemczech jest 95 tys. obwodowych komisji wyborczych. Jeśli w jednej na dziesięć dostaliście jeden głos więcej, niż policzono – to powinniście być w Bundestagu.

– Jesteśmy w stanie wykazać, że duża liczba naszych głosów została zaliczona dla Bündnis Deutschland, a także, że dużo kart z głosem na nas zostało uznane za nieważne, ponieważ nasi wyborcy zrezygnowali z oddania pierwszego głosu. Według naszych obliczeń, mówimy o różnicy rzędu 30 tys.

– Zwróciliście się do Federalnego Trybunału Konstytucyjnego w Karlsruhe, ale on odesłał was do parlamentu, który jest pierwszą instancją dla protestów wyborczych.

– Tak. Niemcy są jedynym krajem na świecie, gdzie nowo wybrany parlament decyduje o swojej własnej legalności. Taki zapis jest w niemieckiej konstytucji.

– Dlaczego? Toż to idiotyczne.

– To zaszłość historyczna z czasów monarchii. W XIX w. parlament był jedyną instytucją, która mogła ochronić demokrację przed cesarzem, więc to parlamentowi powierzono kontrolę nad procesem wyborczym. Ale to, co było uzasadnione w wieku XIX, nie ma racji racji bytu w XXI. Ten zapis powinien być zmieniony po II wojnie światowej…

– Ktoś próbował?

– Nie, ponieważ nigdy wcześniej nie pojawił się problem z tak poważnymi konsekwencjami politycznymi jak teraz. Choć ten system był krytykowany przez instytucje międzynarodowe, na przykład OECD, która w konkluzji z obserwacji wyborów w 2017 r. zaleciła zmianę tej procedury.

– I teraz czekacie na decyzję szefa parlamentarnej komisji do spraw ważności wyborów, której przewodzi nowo wybrany poseł nowej większości rządzącej…

– To jest polityk SPD – partii, która jest w rządzie, ma wicekanclerza. On rzeczywiście starał się opóźniać tę procedurę, ale w tej chwili jest duży nacisk polityczny.

– Więc kiedy komisja parlamentarna się tym zajmie i – jak można się spodziewać – odrzuci wasz protest, to wtedy możecie udać się w Trybunału w Karlsruhe. Ile to może potrwać?

– Jednym z problemów tej procedury – i to też krytykowała OECD w 2017 r. – jest brak wyznaczonych ram czasowych. To może zająć dwa albo i trzy lata. Ale dzięki presji politycznej Trybunał w sierpniu orzekł, że decyzja musi być podjęta w rozsądnym czasie.

– I co to znaczy?

– Myślimy, że możemy się jej spodziewać jeszcze w tym roku.

– Mówi pan o presji politycznej. Wiem, że politycy innych partii mówią teraz o konieczności ponownego przeliczenia głosów…

– Polityczna presja jest rzeczywiście obecna ze wszystkich stron, z wyjątkiem kierownictwa czterech partii, które mają interes w zachowaniu status quo: CDU, SPD, Zielonych i Die Linke. Inne partie – zarówno skrajna prawica, AfD, jak i mniejsze ugrupowania, nawet te, które na tych błędach zyskały – opowiadają się za przeliczeniem. Nie w interesie naszej partii, ale dla dobra niemieckiej demokracji. Bez tego narastać będzie brak zaufania do demokratycznych instytucji, co w dłuższej perspektywie jest ważniejsze od składu jednego parlamentu.

– Mówią to także mainstreamowe media, które bynajmniej was nie kochają…

– Na początku września dwaj poważani politolodzy, prof. dr Eckhard Jesse i prof. dr Uwe Wagschal, odezwali się w tej sprawie we „Frankfurter Allgemeine Zeitung". To był totalny *game changer*, wcześniej nasze protesty spotykały się głównie z milczeniem. Czasem z komentarzem, że nie potrafimy przegrywać, albo z zarzutem, że chcemy wywołać chaos, a przecież to wspaniale, że mamy nowy rząd. I tak było aż do momentu, kiedy ci dwaj bardzo wpływowi – i co warto dodać: konserwatywni – uczeni opublikowali artykuł, w którym stwierdzili, że ta sytuacja stanowi poważny problem dla demokracji i że zablokowanie ponownego przeliczenia głosów wyrządzi demokracji niemieckiej wielkie szkody, ponieważ argumenty BSW są bardzo poważne.

– I po „FAC" były artykuły w „Stern" i „Der Spiegel", który opublikował wstępniak zatytułowany „Wagenknecht ma rację".

– W zasadzie

każde mainstreamowe pismo opublikowało jakiś tekst mówiący mniej więcej tyle: nie lubimy tej partii, ale ma poważne argumenty i dla dobra niemieckiej demokracji trzeba coś z tym zrobić.

– Jeśli wygracie tę batalię – co się stanie?

– Najpierw będzie ponowne przeliczenie głosów – i, wziąwszy pod uwagę informacje statystyczne, jakimi w tej chwili dysponujemy, jest bardzo prawdopodobne, że przekroczymy pięcioprocentowy próg i zdobędziemy miejsca w Bundestagu.

– A kto je straci?

– W tej chwili parlament jest ograniczony do 630 miejsc. Nam prawdopodobnie przypadnie 34–35, więc taka liczba obecnych posłów straci mandaty. Co oznacza, że rząd kanclerza Merza nie będzie miał większości. Jedna możliwość jest taka, że poszukają nowego koalicjanta – być może Zielonych i powstanie koalicja kenijska…

– Dlaczego „kenijska"?

– Czarno-czerwono-zielona. Jak flaga Kenii.

– A może palestyńska? Przecież to są też barwy flagi palestyńskiej…

– W palestyńskiej jest też biel… Ale przede wszystkim myślę, że Palestyna nie jest punktem odniesienia, na którym by im specjalnie zależało, zważywszy że Niemcy są jednym z niewielu krajów na świecie, który do tej pory nie uznał państwa palestyńskiego...

– A jeśli nie powstanie koalicja kenijska – czy też palestyńska – to co?

– Teoretycznie może być też koalicja prawicowa. Ale nie jest to zbyt prawdopodobne, bo CDU raczej nie porozumie się z AfD. Za pięć lat – być może, teraz – wątpię.

– Jest jeszcze opcja rządu mniejszościowego.

– Zawsze pytam moich kolegów polityków, dlaczego idea rządu mniejszościowego budzi w nich taką panikę. Przecież to oznacza, że więcej decyzji podejmowanych jest przez parlament – ponieważ rząd musi negocjować z partiami parlamentarnymi, które nie należą do koalicji rządowej. Ale w Niemczech sądzi się, że rząd mniejszościowy oznacza niestabilność.

– A tego Niemcy nie lubią. Rozumiem. Ale na tym lęki mainstreamu się chyba nie kończą. Jeżeli wejdziecie do parlamentu, to razem z AfD będziecie mieć więcej niż jedną czwartą mandatów – co, jak czytam, pozwoliłoby wam powoływać komisje śledcze…

– Tak, to drugi powód do niepokoju. W dzisiejszym Bundestagu obowiązuje zasada kordonu sanitarnego: nigdy nie współpracować w żaden sposób, nie popierać żadnych wniosków zgłaszanych przez Alternative für Deutschland. To zasada, której hołdują wszystkie partie – także opozycyjne. Co z kolei sprawia, że opozycja nie ma dość głosów do powołania komisji śledczych. A powoływanie takich komisji jest przywilejem opozycji – i wystarczy do niego 25 proc. głosów. Dziś to jest niemożliwe, ponieważ Zieloni i Die Linke nie mają 25 proc., a nie zagłosują razem z Afd, która samodzielnie też nie ma 25 proc. To jest sytuacja bardzo wygodna dla kanclerza Merza, ponieważ gwarantuje, że opozycja nie urządzi mu żadnego śledztwa.

– A wy jesteście gotowi przerwać ten kordon sanitarny?

– My mówimy, że w pewnych sytuacjach możemy zagłosować razem z AfD za powołaniem takiej komisji. Nie przewidujemy współpracy strategicznej, ale w dwóch kwestiach: polityki covidowej – co jest sprawą w Niemczech nadal bardzo istotną i żywą – a także ataku na Nord Stream 2 wyobrażamy sobie zagłosowanie razem z AfD za komisją.

– À propos: jaka była niemiecka reakcja na polską decyzję o niewydawaniu wam Ukraińca oskarżonego o wysadzenie Nord Stream 2? Polska klasa polityczna była zachwycona.

– Ze strony rządu nie było w zasadzie żadnej reakcji. Nawiasem mówiąc: ja mogę zrozumieć polskie emocje w tej sprawie – bo z polskiego punktu widzenia współpraca pomiędzy Niemcami i Rosją, pomijająca Polskę, może być powodem do niepokoju. Ale dla nas totalna blokada dostaw gazu i ropy z Rosji jest przemysłowym samobójstwem. Niemiecki model ekonomiczny opiera się na taniej energii, wykwalifikowanych pracownikach i eksporcie. Dziś ten model został podkopany, jesteśmy w czwartym roku recesji – co ma związek z cenami energii. Alternatywą dla gazu rosyjskiego jest gaz łupkowy z USA – trzy do czterech razy droższy i dużo bardziej szkodliwy dla środowiska, z powodu metod wydobywania, skraplania, transportu przez ocean. Z ekonomicznego i ekologicznego punktu widzenia amerykański gaz jest dużo gorszy niż ten, który możemy uzyskać poprzez Nord Stream.

– A ministrowie energii Unii Europejskiej zdecydowali ostatnio o całkowitym zakazie importu gazu i ropy z Rosji.

– Tak, i zarówno dla Niemiec, jak i całej Europy, ze szczególnym uwzględnieniem Słowacji i Węgier, jest to decyzja samobójcza. Jest za to jak najbardziej w interesie amerykańskim.

– Czy w Niemczech ktoś poza wami ma odwagę to powiedzieć?

– Owszem, AfD.

– I pewnie dlatego w polskich mediach przedstawiani jesteście jako potencjalny sojusznik neofaszystów. Także w mojej lewicowej bańce pojawiają się takie głosy, choć nieco inaczej umotywowane: że jesteście antyimigranccy – ergo naziole…

– Ja bym powiedział, że nasz stosunek do imigracji jest racjonalny. Nie jesteśmy, jak Die Linke, zwolennikami polityki otwartych granic – z tą polityką wiążą się problemy i nie wolno ich ukrywać – ale absolutnie nie podzielamy rasistowskiego myślenia AfD. Z dziesięciu parlamentarzystów, którzy w zeszłym roku tworzyli klub parlamentarny BSW, siedmiu ma imigranckie korzenie – łącznie z dwiema liderkami partii, Sarą Wagenknecht i Amirą Mohamed Ali.

– A także łącznie z panem.

– Owszem. Mój ojciec pochodził z Ukrainy, urodził się w Polsce. Nie ma u nas ksenofobów. Serio.

Rozmawiała AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

eprasa.pl 1d3e1214be

Petro nie klęka

Kolumbia nową nadzieją lewicy w Ameryce Łacińskiej



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gustavo Francisco Petro Urrego stał się gwiazdą światowej lewicy po tym, jak przy okazji Zgromadzenia Ogólnego ONZ zorganizował na ulicach Nowego Jorku propalestyński wiec – za co Przywódca Wolnego Świata odebrał mu amerykańską wizę. Nikogo nie powinno to dziwić. Petro jest twardzielem.

Został wybrany na prezydenta Kolumbii w sierpniu 2022 r., jako kandydat lewicowego ugrupowania Pacto Histórico. To pierwszy od dziesięcioleci lewicowy prezydent tego kraju. Realizacja programu reform społecznych zapewniła mu dość burzliwą kadencję, która nabrała jeszcze bardziej gorącego charakteru, kiedy Petro rozpoczął starania o reelekcję w roku 2026.

Ugrupowania prawicowe i stojąca za nimi oligarchia robią wszystko, żeby do reelekcji nie dopuścić – co nie dziwi, wziąwszy pod uwagę, że tak pod względem polityki zagranicznej, jak i reform krajowych Petro jawi się jako lider wśród lewicowych przywódców w Ameryce Łacińskiej.

Aby zrozumieć, dlaczego prawica go nienawidzi, warto przyjrzeć się sytuacji, w jakiej obejmował urząd.

Dziesięciolecia rządów neoliberałów pozostawiły 12,8 mln ludzi w kompletnej nędzy. 10 proc. mieszkańców nie miało dostępu do wody pitnej, 72 proc. – stałych umów o pracę, trzy na cztery osoby starsze w Kolumbii nie posiadały emerytury. 80 proc. ziemi uprawnej było w rękach latyfundystów, którzy cały czas powiększali swoje posiadłości drogą wywłaszczeń i przemocy. Na to wszystko nakładał się terror narkomafii i prawicowych ugrupowań paramilitarnych.

Reformy nowego prezydenta pozwoliły na poprawę sytuacji w wielu obszarach. Tylko w pierwszym roku w 20 z 32 departamentów udało się wydobyć z nędzy 2,9 mln osób. Wygospodarowano dodatkowe środki na zasiłki dla osób powyżej 80. roku życia – 1,6 mln emerytów. 33 mld pesos wydano na wsparcie dla najbardziej dotkniętych biedą terenów kraju. Rząd wsparł gospodarstwa rolników, wspólnoty Indian i Afrykanów w departamentach Magdalena, Antioquia, Bolívar, Cauca i Chocó, kwotą 50 mld pesos. Podwyższono żołd dla szeregowych żołnierzy. 1 bln pesos przeznaczono na poprawę i rozwój publicznej służby zdrowia – m.in. zagwarantowano cztery bezpłatne wizyty lekarskie podczas ciąży; program objął 87 proc. ciężarnych. Znacząco rozbudowano komunikację kolejową poprzez uruchomienie m.in. Tren del Pacífico, Tren de Bogotá, Tren de Cupica-Darién etc. Zainwestowano w energie odnawialne, zbudowano 30 parków solarnych.

Obszarnicy z bronią

Największe kłopoty sprawiła realizacja reformy rolnej – prezydent natrafił na twardy opór latyfundystów, a walcząc z nimi, często ryzykował życiem. Do jednego z większych starć między prezydentem a reprezentantem latyfundystów doszło na zebraniu Narodowego Forum Rolniczego w Bogocie w kwietniu 2024 r. Uczestniczyło w nim 600 właścicieli ziemskich.

Przeciw Gustavowi Petro wystąpił don Eduardo Villareal Mendoza, największy obszarnik w Kolumbii, właściciel 500 tys. ha ziemi. Miał on na swoich usługach 20 deputowanych oraz legion prawników i ochroniarzy, dzięki którym zdołał finansować i szantażować ośmiu kolejnych prezydentów. Co dało mu poczucie bezkarności posunięte tak daleko, że na spotkaniu w Bogocie przerwał wystąpienie prezydenta, który przedstawiał konieczność reform, stwierdzając, że to on jest „prawdziwym właścicielem państwa kolumbijskiego", natomiast prezydent jest tylko kadencyjny. Gustavo Petro przyjął wyzwanie. Na podstawie dokumentów przygotowanych przez prokuraturę przedstawił drogę don Eduarda do dzisiejszego imperium.

Mendoza zaczął skupowanie żyznych gruntów w 1973 r. Wtedy właśnie w departamencie Córdoba nabył 2000 ha za 50 tys. pesos, choć ich realna wartość wynosiła 2 mln. Jednak na trzy tygodnie przed transakcją związana z don Eduardem prawicowa grupa paramilitarna zamordowała na tym obszarze 47 rolników, a ich rodziny sterroryzowała i przegnała. Dzięki temu ziemia była tania – gdyż uchodziła za niczyją. Podobną taktykę kupowania ziemi don Eduardo praktykował później w innych miejscach. Od 1990 r. przez trzy lata finansował krwawą działalność paramilitarnych bojówek, korumpując burmistrzów i dygnitarzy państwa. Don Eduardo stanął przed sądem – postanowiono mu 78 zarzutów. Najważniejsze dotyczyły odpowiedzialności za śmierć 347 osób, zamordowanych z jego rozkazu przez prawicowe bojówki.

Do zwarcia prezydenta z obszarnikami doszło także w departamencie Córdoba. Podczas wizyty Petra w Palacio de Nariño – siedzibie prezydentów Kolumbii – szefowa wiejskiej wspólnoty z tego departamentu Esperanza Morales zwróciła się do prezydenta z prośbą o pomoc. Miejscowy obszarnik don Ricardo Villanueva nakazał 200 rodzinom opuścić tereny, na których zamieszkiwali od pokoleń – i dał im na to 48 godzin. Prezydent zareagował błyskawicznie: rządowym helikopterem, w towarzystwie niewielkiej grupy prawników i ochroniarzy, poleciał na miejsce, zabierając z sobą ekipę telewizyjną. Spotkał się tam ze zrozpaczonymi rolnikami i don Ricardem – właścicielem 15 tys. ha, z majątkiem wycenianym na 50 mln dolarów – który przybył czarną limuzyną, także z zespołem prawników i uzbrojonych ochroniarzy. Konfrontacja była na żywo transmitowana w telewizji. Na telefoniczne polecenie prezydenta minister spraw wewnętrznych Armando Benedetti wprowadził w regionie stan wyjątkowy, co dało prokuraturze 180 dni, podczas których, korzystając ze specjalnych uprawnień, mogła przeprowadzić rzetelną kontrolę akt własności ziemi don Ricarda. Wszystkie okazały się sfałszowane. Don Ricardo stanął przed sądem.

Gustavo Petro jest pierwszym w dziejach Kolumbii prezydentem, który ogłosił stan wyjątkowy na wsi, stając w obronie biedoty. Ten precedens stał się inspiracją dla rolników z departamentu Córdoba, którzy zaczęli się organizować i przeciwstawiać latyfundystom.

Prezydent Kolumbii potrafi potwierdzać swoją nonkonformistyczną postawę życiową w sposób dla przeciętnych zaskakujący. 28 lipca 2025 r. pojawił się w ruinach prekolumbijskiego miasta Ciudad Perdida w departamencie Santa Marta, by tam wygłosić przemówienie do zgromadzonych licznie Indian, zapewniając ich o gotowości rządu kolumbijskiego do obrony praw ludności autochtonicznej.

Z Wenezuelą, przeciw Izraelowi

Także polityka zagraniczna Gustava Petro zasadniczo odbiega od linii jego poprzedników. Z inicjatywy Międzynarodówki Progresywnej 31 stycznia 2025 r. ukonstytuowała się tzw. Grupa z Hagi. Należą do niej: Kolumbia, Boliwia, Kuba, Republika Południowej Afryki, Indonezja, Namibia, Belize, Honduras, Malezja i Senegal. Jej celem jest przede wszystkim sprzeciw wobec zbrodni Izraela w Gazie.

Kolumbia jest bardzo aktywnym reprezentantem Grupy z Hagi. 15 lipca, na zwołanym z jego inicjatywy zebraniu w Bogocie,

Gustavo Petro wygłosił przemówienie, w którym stwierdził, że wobec poparcia Zachodu dla izraelskiego ludobójstwa w Gazie, Kolumbia nie może być dalej „globalnym sojusznikiem" bloku NATO.

Dodał, że Kolumbia zaspokaja 60 proc. izraelskiego zapotrzebowania na węgiel, dostarcza też Izraelowi gaz ziemny – i to musi się skończyć. Potępił ostro całą politykę Zachodu opartą na agresji i kłamstwach. Nazwał NATO „armią ciemności" i wezwał do przeciwstawienia jej „armii światłości".

Kolumbia stała się „sojusznikiem globalnym" NATO w 2017 r., za prezydenta Ivána Duque. Taki status mają też Afganistan, Pakistan, Australia, Korea Południowa, Irak, Japonia, Mongolia i Nowa Zelandia. Wycofanie się Kolumbii z kręgu „sojuszników globalnych" jest dla NATO co najmniej niewygodne.

Za słowami prezydenta poszły czyny i na początku października zamknięto ambasadę izraelską w Kolumbii. Petro zadeklarował gotowość wysłania wojska do Gazy celem ochrony Palestyńczyków przed izraelską agresją. Zapowiedział też podjęcie kroków uniemożliwiających werbunek w Kolumbii najemników wysłanych później na front ukraiński.

Po przyznaniu Corinie Machado Pokojowej Nagrody Nobla Gustavo Petro nie krył oburzenia. Wysłał do Machado list otwarty, w którym zakwestionował jej działalność na rzecz demokracji i pokoju. Wytknął jej apel do Netanjahu o interwencję zbrojną w Wenezueli, a także spiskowanie z prezydentem Argentyny Mauricio Macrim, wymierzone przeciw własnemu krajowi.

W ostatnich tygodniach Gustavo Petro podjął także wyjątkowo trudny – z kolumbijskiego punktu widzenia – temat produkcji narkotyków i handlu nimi. Donald Trump używa pretekstu wojny z „narkomafią" jako uzasadnienia potencjalnej inwazji na Wenezuelę, której prezydenta Nicolasa Maduro Trump oskarża o bycie szefem narkotykowego Kartelu Słońc. Prezydent Kolumbii twardo wypowiedział się przeciw najazdowi na Wenezuelę, która – wedle jego słów – stanowi wrota do Ameryki Południowej: jeśli Amerykanie podbiją Wenezuelę, wówczas istnieje możliwość inwazji na inne kraje kontynentu. Gustavo Petro oświadczył, że nie zezwoli na to, żeby z terytorium Kolumbii odbywała się jakakolwiek operacja przeciwko Wenezueli. Zapowiedział też, że podejmie działania mające na celu usunięcie z Kolumbii siedmiu (wg innych danych – ośmiu) wojskowych baz amerykańskich. Oskarżył flotę amerykańską o zatopienie kolumbijskiego kutra rybackiego wraz załogą.

Petro nie kryje swoich opinii na temat Stanów Zjednoczonych: „Administracja Trumpa buduje obozy koncentracyjne dla emigrantów, uznaje ich wszystkich za przestępców narkotykowych i schlebia swoim wyborcom, kiedy mówią, że emigranci są niższą rasą… W rzeczywistości większość zbirów narkotykowych ma blond włosy i niebieskie oczy, i swoje gigantyczne fortuny odkłada w największych bankach świata. Bossowie karteli nie mieszkają w Bogocie ani w Caracas ani na Karaibach, ani w Gazie – mieszkają w Miami i w Nowym Jorku, i w Paryżu, i w Madrycie, i w Dubaju; żyją tam, gdzie jest luksus, a nie gdzie jest nędza, ale amerykańskie pociski wycelowane są w tych biednych, a nie w bogatych"…

Trudno się dziwić, że takie wypowiedzi Gustava Petro nie wywołały w USA pozytywnych reakcji. Prezydent Kolumbii został pozbawiony prawa wjazdu na teren Stanów Zjednoczonych, a na kraj nałożono dodatkowe cła. W mediach amerykańskich – zwłaszcza tych prorządowych jak Fox News – pojawiły się opinie, że prezydent Kolumbii jest chory psychicznie. Biały Dom oskarżył Gustava Petro o przynależność do gangów narkotykowych i ich wspieranie. Pojawiły się też informacje, że Stany Zjednoczone zaatakują Kolumbię z pomocą Ekwadoru. Reakcja Bogoty była zdecydowana i dość szybka. 12 października Kolumbia i Wenezuela zawarły układ obronny przewidujący wzajemną pomoc wojskową w razie agresji amerykańskiej.

Zamachy – w parlamencie i na ulicy

Polityka zarówno wewnętrzna, jak zagraniczna, jaką prowadzi prezydent, nie budzi aplauzu w kręgach rodzimych oligarchów, karteli narkotykowych i Zachodu. Oskarża się go, że atakuje świętą własność prywatną, jest niezrównoważony i zagraża stabilności kraju.

W lipcu 2024 r. miał miejsce zamach na życie Petra. Według oficjalnych źródeł zorganizowały go środowiska skrajnej prawicy, a sfinansował gang Nueva Junta del Narcotráfico działający z Dubaju. Rok później próbę zgładzenia prezydent podjął gang Tren de Aragua – ulubiony temat tyrad Donalda Trumpa, który poddaje setki imigrantów nielegalnej ekstradycji właśnie pod pretekstem ich przynależności do tego gangu.

Równolegle do prób zamachu na życie głowy państwa podejmowanych przez ultraprawicowe bojówki i narkomafię latem tego roku prawica parlamentarna podjęła próbę impeachmentu. Rolę główną w tym spektaklu odegrała Lina María Garrido, reprezentantka prawicowej partii Cambio Radical. Przez trzy tygodnie wraz z zespołem prawników przygotowywała wniosek o pozbawienie prezydenta urzędu. Atak nastąpił na sesji parlamentu 21 lipca. Według wniosku, za rządów Gustava Petro rozpanoszyły się korupcja, przemoc i zbrodnia. Garrido oświadczyła, że „prezydent zdradził naród, a za zdradę nie będzie przebaczenia", co bardzo wyraźnie zabrzmiało jak groźba.

Narracja Garrido wspierana była głośną owacją prawej strony sali; Gustavo Petro zachował całkowity spokój. Do kontrataku przystąpił na następnej sesji, po konsultacji z szefem MSW. Na początek wykazał Linie Garrido, że zdobyła mandat posłanki za pieniądze mafii narkotykowej i grup paramilitarnych. Przedstawił bankowe transfery na 8 mld pesos, które posłanka i jej ojciec, Hermes Garrido Villamil, otrzymali od grup paramilitarnych w latach 2015–2018.

Hermes Garrido był zresztą przedsiębiorcą, który wyłudził od państwa 15 mld pesos na budownictwo publiczne. Nigdy nie ukończył ani nie rozliczył żadnej rozpoczętej budowli. Prezydent przedstawił bardzo długą listę oszustw rodziny Garrido. Wykazał także ścisłe kontakty Liny i Hermesa Garrido z reprezentantem paramilitarnych bojówek Mauriciem Granadosem, który przekazywał posłance instrukcje, jak pozbyć się Gustava Petro. Sesja parlamentu zakończyła się martwą ciszą po prawej stronie sali i płaczem Liny Garrido. W chwili obecnej toczy się przeciw niej proces sadowy i grozi jej osiem lat więzienia. Co nie przeszkadza jej organizować nadal pełnych nienawiści wieców, na których krzyczy: *Fuera Petro!*

Innym zaprzysięgłym wrogiem prezydenta jest Victoria Eugenia Dávila, główna kandydatka prawicy w nadchodzących wyborach prezydenckich, zwana z angielska Vicky. To szefowa prawicowego czasopisma „Revista Semana", które wsławiło się obroną byłego prezydenta Álvaro Uribe Véleza, znanego ze ścisłych związków z kartelem z Medellin i szwadronami śmierci. Obecnie Vicky z pasją atakuje Gustava Petro za rzekome przekazanie dowództwa armii kolumbijskiej Wenezueli i Kartelowi Słońc. Wzywa żołnierzy do nieposłuszeństwa rządowi.

• • •

Gustavo Petro niewątpliwie ma przed sobą ciężkie dni. Wybory 2026 r. pokażą, czy społeczeństwo kupi kłamstwa i ulegnie manipulacjom prawicowej demagogii, czy też wybierze kierunek reprezentowany przez urzędującego prezydenta zmierzający do większej niezależności politycznej i gospodarczej Kolumbii.

ANDRZEJ ULMER

eprasa.pl 1d3e1214be



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gwiazda Zohrana

Wybory na mera Nowego Jorku pokażą, co naprawdę może amerykańska lewica

Należę do tych lewaków, którzy święcie wierzą, że w 2016 r. Bernie Sanders wygrałby amerykańskie wybory prezydenckie, co ocaliłoby świat przed Donaldem Trumpem. Dotychczas była to wiara równie nieweryfikowalna jak ta o wniebowzięciu Najświętszej Maryi Panny. Ale teraz jest szansa, żeby odpowiedzieć – choć częściowo – na pytanie: czy „demokratyczny socjalista" (po naszemu: socjaldemokrata) i radykalny „liberał" (po naszemu: lewak) może w USA wygrać w powszechnym wyborach?

Kiedy piszę ten tekst, nie wiem jeszcze, czy 33-letni Hindus urodzony w Ugandzie, radny miejski Zohran Kwame Mamdani wygrał wybory na mera Nowego Jorku – acz niewykluczone, że kiedy będziecie Państwo go czytać, wszystko już będzie jasne. Wybory są 4 listopada. Mamdani prowadzi we wszystkich sondażach i to grubo: jego przewaga nad najważniejszym konkurentem, byłym – też demokratycznym – gubernatorem stanu Nowy Jork, Andrew Cuomo, wynosi 10 do 24 punktów procentowych, w zależności od badania. Nie istnieje nawet jeden sondaż, który dawałby Cuomo chociaż cień szansy na zwycięstwo. Co wiele znaczy, zważywszy, że przed prawyborami z 24 czerwca Cuomo w sondażach wyraźnie prowadził, a jednak przerżnął z kretesem: Mamdani dostał 56,4 proc; Cuomo – 43,6.

Zresztą – powiedzmy sobie szczerze – nie jest to najlepszy z możliwych konkurentów.

Andrew Cuomo, startując z Partii Demokratycznej, wygrał wybory na gubernatora stanu Nowy Jork w roku 2010, 2014 i 2018. Ciągnęły się za nim podejrzenia o korupcję i skandale obyczajowe. W 2020 r. 13 kobiet – w większości jego aktualnych i byłych podwładnych – oskarżyło go o molestowanie seksualne, co po długim i niesmacznym skandalu skłoniło go w końcu do rezygnacji ze stanowiska. Teraz Cuomo powrócił w nadziei na ocalenie Nowego Jorku przed „komunistą". Ponieważ demokratyczny elektorat nie podzielił jego niepokoju i w prawyborach postawił na Zohrana, Cuomo wypiął się na partię i postanowił wystartować jako kandydat niezależny. Na jego kampanię zrzucali się miliarderzy przerażeni wizją lewaka na czele miasta – m.in. ci, którzy fundowali kampanię Donalda Trumpa – a także kamienicznicy, którym Mamdani groził, że każe im naprawdę dbać o kamienice, oraz lobby proizraelskie, które oskarżało kandydata demokratów o antysemityzm. W związku, a jakże, z jego krytycznym stosunkiem do ludobójstwa w Strefie Gazy.

Bezprzykładną histerię elit budzi ten punkt programu Zohrana, który mówi o podatkach dla najbogatszych: 11,5 proc. – zamiast 7,25 – maksymalnej stawki podatku od firm i dodatkowym, dwuprocentowym lokalnym podatku od dochodów powyżej miliona dolarów rocznie. Na tę histerię z wdziękiem odpowiadają członkowie Patriotic Millionaires – organizacji złożonej z dziwacznych bogaczy, którzy chcą płacić podatki. Jak Morris Pearl, były szef potężnej międzynarodowej firmy inwestycyjnej BlackRock, który nagrał filmik:

„Mówią wam, że milionerzy wyjadą z Nowego Jorku, jak Mamdani podniesie im podatki? To absurd. Cały sens bycia milionerem polega na tym, że można mieszkać tam, gdzie się chce".

Zohran planuje zamrożenie czynszów w lokalach należących do miasta i budowę nowych – co jest źródłem histerii deweloperów. Obiecuje karanie kamieniczników, którzy nie utrzymują właściwych standardów, wykonywanie remontów i obciążanie ich kosztami, a w razie niezapłacenia – przejmowanie nieruchomości przez miasto. Zapowiada szybkie i bezpłatne autobusy miejskie – co w ogóle jest bardzo nieamerykańskie, bo publiczna komunikacja nie przynosi zysku żadnej prywatnej firmie. Mało tego – już w duchu czystego komunizmu obiecuje stworzyć sieć należących do miasta sklepów spożywczych sprzedających po cenach hurtowych, nienastawionych na generowanie zysku, tylko na zaspokajanie potrzeb mieszkańców, których coraz częściej nie stać na jedzenie.

I tak dalej. Generalnie jego – jak to się mówi po amerykańsku – „platforma" to „Nowy Jork, na który stać Nowojorczyków". Co okazało się nader popularne wśród mieszkańców najdroższego miasta w Stanach.

Inną supermocą Mamdaniego okazuje się – zaskakująco – fakt, że jest muzułmaninem. Dotychczas Nowy Jork uważany był za miasto żydowskie. Co odbiło się w groteskowej demokratycznej debacie prawyborczej, gdzie odpowiedzi kandydatów na pytanie o pierwszą zagraniczną wizytę w razie wygranej rozciągały się od „Ziemi Świętej" do „Izraela" – tylko Mamdani odparł, że nigdzie by nie wyjechał, tylko został w Nowym Jorku i zajął się rozwiązywaniem problemów miasta. Dociskany przez prowadzącą twardo odmówił stwierdzenia, że Izrael ma prawo istnieć jako „państwo żydowskie" – zamiast tego mówiąc, że „Izrael ma prawo istnieć jako państwo równych praw", co było w jawny sposób nawiązaniem do obowiązującego w tym państwie apartheidu.

Nawiasem mówiąc, entuzjazm dla polityki Izraela nie jest oczywistym wymogiem wobec burmistrza także w gronie nowojorskich Żydów – albowiem postępowa żydowska młodzież jest w znacznym stopniu oburzona ludobójstwem w Gazie, wielu chasydów zaś prezentuje stanowisko antysyjonistyczne z przyczyn religijnych i nie uznaje państwa Izrael.

Żydowska populacja Nowego Jorku oceniana jest na 960 tys. – i, wedle sondażu zrobionego na zamówienie Quinnipiac University's New York City, 60 proc. nowojorskich Żydów chce głosować na Cuomo – ale aż 29 proc. na Mamdaniego, mimo całej kampanii dorabiającej mu antysemicką gębę.

Z drugiej strony – wśród muzułmanów, których w NY jest według różnych rachunków od 600 tys. do miliona – kandydat na „pierwszego muzułmańskiego burmistrza Nowego Jorku" zdaje się nie mieć konkurencji.

Tym bardziej że życie w Nowym Jorku, z cieniem World Trade Center nad głową, nie musi był dla nich łatwe. Co postanowił potwierdzić w tej kampanii Andrew Cuomo.

– Gdyby, nie daj boże, wydarzył się kolejny 11 września, wyobrażasz sobie Mamdaniego na tym stanowisku? – zapytał Cuomo dziennikarza konserwatywnego radia, Sida Rosenberga. – On by klaskał – odpowiedział Rosenberg. Chwilę później sztab Cuomo wrzucił na socjale wygenerowany przez sztuczną inteligencję filmik tak prymitywnie rasistowski, że nawet w Polsce wzbudziłby niejakie zdziwienie. Na filmiku pokazani są zwolennicy Mamdaniego – „kryminaliści": czarnoskóry złodziej sklepowy w arafatce, równie ciemny alfons jak z filmu z lat 80., w futrze i wielkim kapeluszu, i jeszcze jeden o arabskich rysach, który wzywa do „globalizacji intifady". Wprawdzie sztab dość szybko się połapał, że przegiął i filmik zdjął, ale w necie, jak wiadomo, nic nie ginie. Dla kilkuset tysięcy nowojorskich muzułmanów fakt, że kandydat jest ofiarą tej samej islamofobii co oni – może być rozstrzygającym argumentem, żeby pójść do wyborów.

Kiedy Mamdani wygrał prawybory, establishment Partii Demokratycznej popadł w niejaką panikę. Teraz, kiedy jego zwycięstwo w wyborach jest prawie pewne – elita partii nadal nie czuje się z tym dobrze. Mamdaniego z ogniem wspierają Bernie Sanders i Alexandria Ocasio Cortez – liderzy lewego skrzydła partii – za to Kamala Harris, zapytana, co myśli o partyjnym establishmencie dystansującym się od kandydata, który jest niewątpliwą gwiazdą partii, odparła z dużym dyskomfortem, że „jeśli o nią chodzi, to Mamdani jest kandydatem demokratów i powinien być popierany", ale „Barbara Drummond w Mobile w Alabamie i Helena Moreno w Nowym Orleanie też są gwiazdami".

AWŁ

Siostrzeństwo dla wybranych

Feminizm islamski – dziwne, nie? Nie.

Od entuzjastów Izraela często słyszymy, że jest on jedynym przyczółkiem praw kobiet na Bliskim Wschodzie. Ten argument odsłania szpetną stronę zachodniego feminizmu. Wciąż żywe dziedzictwo europejskiego kolonializmu i antymuzułmańska polityka Zachodu obalają mit globalnego siostrzeństwa.

Ostrze hasbary – czyli, mówiąc wprost, izraelskiej międzynarodowej propagandy – jest skierowane nie tylko w patriarchalną opresję, której ofiarami są biedne Palestynki, ale także w tę grupę zachodnich (i w domyśle głupich) feministek, które po prostu nie rozumieją, że domagając się suwerenności państwa palestyńskiego, sankcjonują system opresji wobec palestyńskich kobiet. Islam bowiem traktuje Palestynki jak istoty podrzędne, moralnie podejrzane i prawnie niepełne. W przeciwieństwie do Izraela, naturalnie…

Obrona miejscowych kobiet przed ich własną kulturą to częsty chwyt kolonialnej ideologii.



Rys. JANUARY

Z Bogiem

Fraza „islamski feminizm" w świecie zachodnim uchodzi za oksymoron. Głównie dlatego, że społeczeństwom postępowej części globu trudno ogarnąć, że hermeneutyka koraniczna może być narzędziem emancypacji. Tymczasem kobiety i grupy marginalizowane na Bliskim Wschodzie walczą o swoje prawa wszelkimi dostępnymi narzędziami, także kulturowymi. Niestety, zachodni dyskurs prezentuje świat, w którym po jednej stronie mamy to, co cywilizowane i europejskie, a po drugiej – to, co muzułmańskie i zacofane, przyczyniając się w ten sposób do inspirowania i legitymizowania antagonizmu między Zachodem a światem islamu.

Z europejskiej (i nie tylko) perspektywy dążenie do zrównania w prawach kobiet i mężczyzn w krajach muzułmańskich wydaje się niemożliwe do zrealizowania. Poza systemami klanowymi czy kłopotliwymi dla równości płciowej strukturami politycznymi największą przeszkodą jest sama religia: siedlisko patriarchatu pod szyldem islamu w wersji hard.

Tymczasem, wbrew krążącym stereotypom, dla wielu muzułmańskich aktywistek religia nie jest przeszkodą, bo to w niej upatrują równości kobiet i mężczyzn. Wyzwolone muzułmanki po prostu nie pasują do sztywnych ram definicji feminizmu, która przywodzi na myśl skojarzenia z sekularną kulturą Zachodu.

O ile podstawowe dogmaty islamu dla wszystkich są takie same, o tyle dyskurs wokół nich może być bardzo zróżnicowany. Z tego też powodu feminizm muzułmański jest zjawiskiem, które łączy w sobie wiele grup, potrzeb i działań.

Najbardziej znaną strategią muzułmanek jest tzw. genderowy idżtihad (nie mylić z dżihadem), czyli metoda interpretacji zapisów islamu, dla której wykładnią są konteksty funkcjonowania płci. Aktywistki przekonują, że religia daje kobietom i mężczyznom odpowiednie narzędzia, by spełniać się w swoich rolach. Jednocześnie zwracają uwagę na sposób, w jaki w islamie odczytuje się fragmenty dotyczące objawienia kobiet: tak, aby umniejszać ich rolę w religii.

Feministki islamskie nie kwestionują tego, że historia i teraźniejszość muzułmańskich społeczeństw jest naznaczona patriarchalną dominacją nad kobietami, przemocą i mizoginią, które najczęściej są uzasadnione przez odwołania do świętych tekstów islamu. Zakładają jednak, że wszystkie te zjawiska doświadczane przez muzułmańskie kobiety w istocie zaprzeczają moralnemu przesłaniu Koranu i są efektem historycznych uwarunkowań, w jakich żyły wyznające islam społeczeństwa. Dlatego też ich celem jest profesjonalna reinterpretacja świętych tekstów pokazująca prokobiecy potencjał tkwiący w religii, a następnie reforma istniejących społeczeństw muzułmańskich.

Istnieją grupy, dla których priorytetem jest edukacja kobiet – ale nie po to, by mogły piastować te same co samce stanowiska, lecz w ramach dopełnienia ról żon i matek, wyznaczanych dla nich przez religię. Inne działaczki domagają się dopuszczenia kobiet do zawodów, które ze względu na ich religijny charakter są postrzegane jako zarezerwowane wyłącznie dla mężczyzn.

I bez Boga

W zależności od państwa pochodzenia sytuacja i postulaty kobiet mogą się diametralnie różnić, a nawet stawiać w opozycji do siebie działaczki poszczególnych narodowości. Na Bliskim Wschodzie były i wciąż są nurty odwołujące się do legitymizacji laickiej, związane z ruchami lewicowymi.

Ruchy kobiece na Bliskim Wschodzie narodziły się na przełomie XIX i XX w. Od początku żądały spełnienia swoich postulatów w ramach niepodległych państw. Najczęściej podnoszono kwestie prawa do edukacji i pracy oraz reformy statusu kobiety w małżeństwie i rodzinie. Różne formy feminizmu muzułmańskiego były silnie splecione z antykolonialnymi ruchami nacjonalistycznymi, dla których emancypacja kobiet i ich zaangażowanie polityczne w okresie walki o niepodległość były ważnym elementem budowania politycznej i kulturalnej siły nowoczesnego narodu.

Feminizm islamski narodził się na przełomie lat 80. i 90. XX w. Został zapoczątkowany przez działające w międzynarodowych instytucjach akademickich muzułmańskie intelektualistki, m.in. Pakistankę Asmę Barlas, Marokankę Fatimę Mernissi czy Irankę Zibę Mir-Hosseini.

Jak zauważyła specjalizująca się w problematyce kobiet i gender science profesor historii Bliskiego Wschodu Margot Badran, feminizm islamski nie jest produktem Wschodu ani Zachodu. Ma także ewolucyjny, a nie rewolucyjny charakter, dlatego jego działania powodują stałe, choć wciąż powolne zmiany.

Palestyńskie kobiety postrzegają wyzwolenie płciowe jako nierozerwalnie złączone z wolnością narodu, co czyni Palestynę „kwestią feministyczną" na skalę globalną.

Feminizm palestyński – podobnie jak pozostałe ruchy kobiece – ewoluował od wczesnych protestów w XIX w. po współczesne kolektywy i sieci cyfrowe; niestety zawsze w cieniu konfliktu i represji.

W jego obrębie działają: Al Qaws – palestyńska organizacja społeczeństwa obywatelskiego na rzecz budowania społeczności LGBTQ+; Palestinian Feminist Collective (Diaspora w USA); Union of Palestinian Womens Committees zaangażowana w edukację i prawa pracownicze.

Standardy Pierwszego Świata traktowane jako normy, według których ocenia się niezachodnie kobiety, to kolonialne myślenie, które nie tylko je uprzedmiotawia, ale też wykorzystuje ich prawa na potrzeby polityki militarnej.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl 1d3e1214be

Rewolucja inżynierów

W polskim rządzie powinien być sekretarz stanu ds. polityki chińskiej.

We wrześniu Chińczycy znowu dowiedli swej technologicznej potęgi. W uchodzącej za nadal biedną i niezindustrializowaną prowincji Guizhou zbudowali najwyższy most na świecie.

Wznosi się ponad 625 metrów nad rzeką Beipan, przepływającą tam w kanionie Huajiang. Ma długość 2890 metrów.

Na złamanie karku

Most nie tylko łączy brzegi kanionu, skraca i ułatwia komunikację. Da zapewne impuls do rozwoju gospodarczego regionu. Zgodnie ze starą chińską zasadą „Chcesz być bogaty – zbuduj drogę".

Jak każda obecnie chińska wielka inwestycja ma część komercyjno-propagandową. W jednej z wież mostu otwarto kawiarnię położoną ponad 792 metry nad okolicą, oferującą niezwykłe widoki. Zbudowano prawie 600-metrową szklaną kładkę, idealną dla kolekcjonerów efektownych selfie.

A dla odważnych platformę do skoków na bungee. Skoki z najwyższego mostu zapewne ściągną tam fanów bungee z całego świata i influencerów. W „komunistycznych" Chinach wszystko powinno zarabiać.

Warto dodać, że budowa tego mostu kosztowała niewiele więcej niż warszawskiego Mostu Południowego. Wysokości 36 metrów i 534 metry długości.

Chińczycy budują nie tylko najwyższe i najdłuższe mosty na świecie.

Już dwie trzeci produkowanych na świecie samochodów powstaje w Chinach.

Nic dziwnego, bo tam w przemyśle motoryzacyjnym pracuje 100 mln ludzi. Dla porównania w USA, nadal pierwszej gospodarce świata, jednie 13 mln.

W 2022 r. chińskie stocznie zbudowały 1,8 tys. statków morskich – amerykańskie aż pięć. Wedle prognoz w 2030 r. Chińczycy będą posiadać ok. 45 proc. światowego potencjału przemysłowego, a tzw. kolektywny Zachód około 38 proc.

Co tak napędza chińską gospodarkę?

Powody chińskich sukcesów wyjaśnia urodzony w Chinach, wykształcony w USA, pracujący dla Uniwersytetu Stanforda politolog Dan Wang w opublikowanej w sierpniu książce „Breakneck: China's Quest to Engineer the Future". Co można luźno przetłumaczyć jako „Na złamanie karku – chińska misja zaprojektowania przyszłości". Wang twierdzi, że chińska gospodarka stale rośnie, bo rządzi nią warstwa mentalnych inżynierów. Oni gigantycznymi inwestycjami w infrastrukturę i przemysł budują przyszły dobrobyt.

Zaś USA to „państwo prawników". Zawodowych, bo tam statystycznie na każde 100 tys. mieszkańców aż 400 osób uprawia zawody prawnicze. I przede wszystkim setki tysięcy prawników mentalnych decydujących o amerykańskim stylu życia.

W efekcie w Chinach ludzie o mentalności inżynierskiej budują wszystko, co się da i gdzie się da. W USA ludzie o mentalności prawników skupiają swą aktywność przede wszystkim na obronie interesów swych klientów.

Obiecując im obronę posiadanego statusu i pozycji materialnej. W efekcie blokują rozwój gospodarki, choć Amerykanie „żyją już w ruinach cywilizacji przemysłowej, której infrastruktura jest ledwo utrzymywana i rzadko wykorzystywana".

Reaktywacja

Biali Amerykanie zwykle mają krótszą pamięć historyczną niż my, Europejczycy. Pewnie dlatego, że mają też krótszą historię swej Ameryki.

My w Europie lepiej niż Amerykanie pamiętamy, że jeszcze na początku XIX w. Chiny były największą gospodarką świata i światowym centrum produkcji. Dominującym w ówczesnym świecie nie tylko ilością produkowanych towarów, ale też ich jakością. Bawełniana, tradycyjnie wytwarzana tkanina „nankin" konkurowała wtedy pod względem ceny i jakości z najlepszymi w Europie tkaninami brytyjskimi.

W XVIII w. Chiny były cywilizacyjnym wzorem dla europejskich elit. Niemiecki uczony Gottfried Wilhelm Leibniz dowodził, że Chińczycy swą kulturą, stylem życia, zwłaszcza w kwestiach etyki i polityki, przewyższają uważającą się za centrum cywilizacji Europę.

„Uczcie się od Chin!" – to hasło powtarzali francuscy XVIII-wieczni uczeni, z Wolterem na czele. Chiny stały się wtedy dla europejskich elit politycznym wzorem monarchii oświeconej, zarządzanej przez wykwalifikowanych urzędników państwowych. Rekrutowanych i awansowanych wedle ich kompetencji i pracowitości, a nie ich arystokratycznego pochodzenia.

Chińska kultura była wtedy trendy. Każdy europejski zamożny szlachcic i burżuj musiał mieć w domu „chiński gabinet" wyposażony w chińskie meble, obrazy i przede wszystkim porcelanę. I koniecznie chiński pawilon w ogrodzie.

Zachowały się takie bogato wyposażone gabinety w pałacach w Wilanowie, Łańcucie. W warszawskim kościele akademickim główny ołtarz udekorowano chińskimi motywami. W wielu parkach znajdziemy chińskie altany.

Ale w XVIII w. potężne, bogate cesarstwo chińskie zamknęło się w swych granicach. Nie potrafiło wykorzystać bogactwa do modernizacji państwa.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie dostrzegło europejskiej rewolucji naukowo-technicznej. Kultywowało system gospodarczy niepasujący do imperialnej światowej gospodarki.

W drugiej połowie XIX w. niedawne największe globalne imperium stało się państwem drugorzędnym, kolonizowanym przez nowe światowe mocarstwa. Grabionym i wyzyskiwanym. To cywilizacja białego człowieka stworzyła państwowy kartel narkotykowy, zmuszając Chiny do legalizacji brytyjskiego opium.

W XX w. imperium, które było wzorem dla elit Europy, stało się synonimem biedy. Miejsce chińskiego uczonego w zachodniej świadomości zajął kulis, chiński biedak.

Wiek XX to też lata poszukiwania przez Chiny zmodernizowanego, ale też zgodnego z tradycjami, stylem życia nowego systemu politycznego i gospodarczego. Wojny, rywalizację wygrali chińscy komuniści.

W 1949 r. przewodniczący Mao proklamował w Pekinie powstanie Chińskiej Republiki Ludowej. Obiecał wtedy, że Chiny wracają do wielkości i nikt już nie będzie Chińczyków poniżał. Ale do wielkości gospodarczej Chiny wróciły pod koniec XX w. Od kiedy gospodarkę przejęli promowani przez Deng Xiaopinga „inżynierowie".

Chińska po polsku

Chiny są już drugą gospodarką świata i światowym mocarstwem. O jego przychylność zabiegają przywódcy kolektywnego Zachodu. Nawet prezydent Trump znowu przymila się do przewodniczącego Xi.

Za to liderzy polskiej polityki zachowują się, jakby ciągle nie wierzyli w siłę chińskiej gospodarki i polityczne wpływy chińskich liderów. Polskie elity nie mają długofalowej polityki wobec tego mocarstwa. Prowadzą politykę impulsywną, reagując na pojedyncze, często kryzysowe wydarzenia.

Bez wcześniejszej koordynacji władzy ustawodawczej z rządowymi resortami i kancelarią prezydenta RP.

Dodatkowo polskie media głównego nurtu są niekompetentne w chińskiej problematyce. Traktują Chiny z pogardliwą wyższością i antykomunistycznymi fobiami. Straszą Polaków chińską inwazją na Tajwan. Nie informują, że rząd Tuska i prezydent Nawrocki jednoznacznie deklarują, że Tajwan jest częścią Chin,

czyli obecnej Chińskiej Republiki Ludowej. To samo stanowisko zajmują wszystkie polskie formacje polityczne.

Takie deklaracje padły niedawno podczas rozmów ministra Sikorskiego i prezydenta Nawrockiego z chińskim ministrem Wangiem Yi. To oznacza, że Polska nie będzie umierać za Tajpej.

Polska polityka wobec Chin powinna wykorzystać nasz wielki atut. Położenie geograficzne. Dzięki niemu przez polskie terytorium przebiega najkrótsza linia kolejowa łącząca Chiny z Unią Europejską.

Dlatego władze polskie powinny sprzyjać rozbudowie w Małaszewiczach i innym przygranicznych miejscowościach wielkiego centrum tranzytu Europa–Azja, które stałoby się hubem przeładunkowym dla transportowanych towarów.

Jednak ten projekt nie powinien ograniczyć się tylko do sprawnego przeładunku i nowoczesnych magazynów. Powinno powstać tam miejsce spotkań przeróżnych firm azjatyckich i europejskich. Start-upów, projektowo-dizajnerskich, promocyjnych, logistycznych, handlowych. Taki wielki XXI-wieczny bazar.

Do stworzenia takiego międzynarodowego przedsięwzięcia można wykorzystać środki finansowe z polityk spójności Unii Europejskiej, chińskie fundusze z programu Nowego Jedwabnego Szlaku. Można pozyskać w przyszłości wsparcie finansowe, kooperując z firmami rosyjskimi, białoruskimi, kazachskimi, japońskimi, brytyjskimi, które już tworzą sieci transportowe.

Taki polsko-międzynarodowy port handlowy to także szansa na poprawę bezpieczeństwa naszego państwa.

Państwo polskie powinno wybrać którąś z chińskich prowincji i uczynić z niej „polską prowincję". Skupić się tam na promocji Polski na wszelkich poziomach. Oczywiście nie oznaczałoby to ograniczenia dotychczasowej współpracy politycznej na linii Warszawa–Pekin czy dotychczasowej kooperacji gospodarczej z innymi chińskimi prowincjami.

Chiński styl uprawiania polityki, biznesu, myślenia – jest inny niż zachodnioeuropejski. Dlatego relacje z Chinami wymagają inaczej prowadzonej polityki. Innego języka, innych działań, odpowiednio przeszkolonych kadr.

Dlatego w polskim rządzie powinien być sekretarz stanu ds. polityki chińskiej i silny ośrodek zajmujący się długofalową polityką chińską.

Zwłaszcza że chińską politykę kreują pragmatyczni mentalni „inżynierowie". Niestety, w polskich elitach politycznych nadal rządzi mentalny, reliktowy polski inteligent. Z wykształcenia historyk, polonista, prawnik, politolog. Rozchwiany moralnie, hamletyzujący, mentalny XIX-wieczny powstaniec. Gardzący zdehumanizowaną sferą technologiczną, bo to przecież ojczyzna inżyniera Mamonia.

PIOTR GADZINOWSKI

Wiele wskazuje na

Chiny właśnie ogłosiły zaostrzenie kontroli eksportu metali ziem rzadkich (REE – *rare earth elements*). Nowe regulacje wejdą w życie 1 grudnia br. i rozszerzą obowiązujące od wiosny restrykcje na cały łańcuch dostaw. Oznacza to, że nie tylko surowce z Chin, ale także produkty zagraniczne zawierające nawet śladowe ilości chińskich REE będą wymagać licencji eksportowej od chińskiego Ministerstwa Handlu (MOFCOM). Europa znalazła się między młotem krzyków z Waszyngtonu a kowadłem chińskiej cierpliwości.

Krótka piłka

Decyzja Pekinu to odpowiedź na działania USA i Unii Europejskiej, które nakładają na Chiny różne ograniczenia, jak np. cła na chińską stal czy pojazdy elektryczne. Chiny nie tylko chcą utrzymać swoją przewagę w dostawach kluczowych metali ziem rzadkich, ale wymusić ustępstwa przed Wspólnotą Gospodarczą Azji i Pacyfiku (APEC).

Kluczowe dla technologii w np. smartfonach, pojazdach elektrycznych czy sprzęcie wojskowym REE, to doskonały środek nacisku do ochrony szeroko pojętego chińskiego bezpieczeństwa narodowego.

Chińskie ministerstwo wprowadziło szeroki reżim kontroli eksportu z zastosowaniem zasady eksterytorialności: jeśli produkt zawiera powyżej 0,1 proc. chińskiego komponentu lub technologii, będzie podlegał ograniczeniom. Jakim? Nowe regulacje obejmą takie metale jak erb, holm, europ, iterb i tul, które dzięki swoim unikalnym właściwościom optycznym, luminescencyjnym i magnetycznym odgrywają kluczową rolę w nowoczesnych technologiach. Eksporterzy będą musieli uzyskać specjalne licencje wydawane przez chińskie Ministerstwo Handlu. Lista produktów objętych restrykcjami jest wyjątkowo szeroka, a wszystko przez fakt, że obejmuje zarówno metale czyste, jak i ich stopy oraz materiały do zastosowań specjalistycznych.

Firmy polskie, niemieckie, koreańskie czy argentyńskie, które w swoim produkcie mają bodaj farfocel chińskich metali ziem rzadkich, będą musiały zapytać ichniejszy rząd o zgodę na sprzedaż swojego produktu dalej. Jeśli ten produkt ma zastosowanie militarne albo idzie do firmy, która znajduje się na chińskiej czarnej liście, to nie uzyska pieczęci eksportowej.

Przykładowo, jeśli rodzimy producent sprzętu wojskowego użyje kupionych od innego dostawcy z UE magnesów trwałych w radarze, a ów dostawca kupił pierwiastki ziem rzadkich z ChRL i tylko je u siebie przetopił, chiński rząd może zablokować eksport tego produktu znad Wisły do kraju trzeciego, uznając go za produkt z komponentem chińskiego pochodzenia. Kiedy niemiecki producent baterii użyje chińskiego grafitu, fabryka w Niemczech nie będzie mogła legalnie eksportować tego wyrobu do USA. Krótko mówiąc, chińskie prawo pójdzie za produktem w świat.

Ba, od dnia ogłoszenia nowych zasad gry przez MOFCOM, czyli 9 października, bez licencji nie wolno przekazywać know-how montażu, konserwacji, modernizacji czy napraw linii produkcyjnej REE. Chińskie firmy nie mogą wspierać zagranicznych podmiotów w wydobyciu czy przetwarzaniu strategicznych metali bez uzyskania ministerialnego glejtu. Manewr ten ukrócił rozwój alternatywnych łańcuchów poza Chinami – np. w USA, gdzie brakuje zakładów rafinacji.

To nie embargo, to instrument polityki, przeniesienie globalnego centrum kontroli z Waszyngtonu do Pekinu. Kaganiec technologiczny zmienił właściciela.

Prętem po kratach

Chińskie przepisy to analog powstałej w 1959 r. amerykańskiej „Foregin Direct Product Rule" (FDPR) znanej również jako „reguła bezpośredniego produktu zagranicznego". FDPR rozszerza jurysdykcję Stanów Zjednoczonych na produkty wytworzone poza granicami USA, ale oparte na amerykańskiej technologii, oprogramowaniu lub sprzęcie produkcyjnym. Celem – poza górnolotnymi hasłami o ochronie bezpieczeństwa i polityki zagranicznej USA – jest ograniczenie dostępu do zaawansowanych technologii krajom uznawanym za zagrożenie, takim jak Rosja, Iran czy właśnie Chiny. Mówiąc bardziej precyzyjnie, FDPR to potężne narzędzie USA do kontroli globalnego łańcucha dostaw technologii, które wyewoluowało z zimnowojennego reliktu w broń w rywalizacji z Chinami. Te, jak widać, przestały się pieścić w tańcu i odpowiedziały pięknym za nadobne. Pekin właśnie wyjaśnił Waszyngtonowi, że może Stany Zjednoczone mają kontrolę nad chipami, ale Chiny trzymają łapę na surowcach, od których istnienie chipów i reszty elektronicznych flaków strategicznych zależy. I wiedzą, co mówią: w tym obszarze świat pozostaje silnie uzależniony od ChRL, która odpowiada za ok. 70 proc. ich globalnego wydobycia i 90 proc. rafinacji.

Za chwilę tysiące producentów hi-tech będą musiały ustawić się w wielokilometrowej kolejce do uzyskania licencji. Jak nietrudno wywnioskować, chiński makro instrument wywoła efekt nie tylko czysto gospodarczy, ale i znacząco wpłynie na spowolnienie zachodniego systemu zbrojeń: USA, NATO (w tym Polski) i sojuszników indo-pacyficz-

eprasa.pl 1d3e1214be

to, że Chiny załapały świat za jaja i nieprędko puszczą.

Egzekucja po chińsku



Ilustr. PAWEŁ FERENC

nych. Chiny już nie reagują na posunięcia Zachodu, Chiny regulują to, co na Zachodzie się wydarzy.

Pod nadzorem

MOFCOM będzie monitorował transakcje poprzez bazy danych i inspekcje celne. Naruszenia nowych procedur poskutkują karami finansowymi, konfiskatą towarów czy zakazem działalności w Chinach. Pekin ma narzędzia – takie jak Lista Niewiarygodnych Podmiotów (UEL) Anti-Foregin Sanctions Law – do sankcjonowania firm przez zakazy wjazdu, zamrożenie aktywów czy bojkot handlowy. Opóźnianie wydawania licencji stworzy niedobory, wymuszając ustępstwa na rzecz ChRL.

Donald Trump ocenił, że mimo groźby zaostrzenia wojny handlowej z Chinami, w relacjach między mocarstwami „wszystko będzie dobrze”, sugerując, że powodem sporu był „zły dzień” przewodniczącego ChRL Xi Jinpinga.

Przyznał, że na tę chwilę zamierza wprowadzić cła odwetowe, lecz dodał, że do daty ich wprowadzenia – 1 listopada – pozostała „wieczność” i wciąż może wiele się wydarzyć. Dość spolegliwe skamlenie jak na przywódcę kraju, który od lat odgraża się odcięciem Chin od nowoczesnych technologii…

Krok ChRL to symptom rozpadu globalnego porządku handlowego na bloki, w których każdy zasób strategiczny może stać się bronią. Podczas gdy Stany Zjednoczone szczekały, a Europa spała, Chiny inwestowały w przyszłość. Manewr ze skróceniem smyczy metali ziem rzadkich to test i nowa jakość negocjacji. Warto mieć na uwadze, że Państwo Środka jest też dominującym dostawcą aktywnych środków farmaceutycznych (API) dla światowego łańcucha farmaceutycznego.

Pytanie, czy ostre zagranie rynkiem REE będzie dla Europy szokiem, który ostatecznie zmusi ją do podjęcia realnych – a nie deklaratywnych – działań na rzecz budowy strategicznej autonomii surowcowej i technologicznej, pozostaje otwarte, choć trudno wyobrazić sobie taką autonomię w najbliższym dziesięcioleciu. Póki co pozostaje składać hołd lenny Chinom, czekać i obserwować.

IDALIA DUBICKA

Jak ludowe są Chiny?

Czy ten ustrój ma nazwę?

Jakiekolwiek by były dzisiejsze Chiny, przyznać im trzeba jedno: przez ostatnie kilka dekad udało im się dokonać gigantycznego przeskoku cywilizacyjnego. Chiński cud gospodarczy stał się obiektem zainteresowania wielu osób na całym świecie. Od badaczy przez przedsiębiorców aż po zwykłych szarych ludzi. Jednocześnie zaś brakuje jednoznacznej odpowiedzi na pytanie: na jakim systemie gospodarczym operuje czerwone imperium.

Socjalizm o chińskiej charakterystyce

Jedną z trudności, jakie przysparza analiza chińskiej gospodarki, jest to, że zasadniczo jest to gospodarka rynkowa, tylko na tyle odmienna od naszej, że ciężko jest je obie wsadzić do jednego wora. Główna różnica pomiędzy systemem zachodnim i chińskim to na pewno specyficzna rola państwa oraz konkretnie Komunistycznej Partii Chin w gospodarce. Ta posiada swoje komórki w każdym większym prywatnym przedsiębiorstwie oraz wyznacza plany pięcioletnie, które wytyczają kurs gospodarki kraju. Jak zatem określić takie pomieszanie rynku i centroplanu?

Pewną podpowiedź daje nam sama partia w postaci terminu: „socjalizm o chińskiej charakterystyce”. Co się jednak za nim kryje? Dość kontrintuicyjnie pochodzi on z początku lat 80. i epoki reform rynkowych prowadzonych przez Deng Xiaopinga. Wówczas zaczęto śmiało eksperymentować z wpuszczaniem do kraju prywatnego kapitału, wolną wymianą towarów czy prywatyzacją. Możemy więc bezpiecznie założyć, że ta „chińska charakterystyka” to po prostu pewne odchylenie od właściwego socjalizmu.

Przyjrzyjmy się zatem, jak daleko idą te wypaczenia. Jeśli przyjmiemy klasyczną, marksistowską interpretację socjalizmu – to jest nim w skrócie dyktatura proletariatu. A bardziej po ludzku: jest to społeczeństwo, w którym jest jedna klasa, robotnicza (czyli ludzie utrzymujący się ze swojej pracy, a nie z wyzysku), i jest ona w posiadaniu kapitału oraz ogólnie jest klasą rządzącą. W wersji leninowskiej odbywa się to za pośrednictwem partii i państwa reprezentujących robotników. W wersji syndykalistycznej odbywa się to bezpośrednio pod postacią spółdzielni i demokratycznych kolektywów. Chiny niespecjalnie spełniają tę definicję.

Sprzeczności społeczeństwa chińskiego

To, co pierwsze rzuca się w oczy, to wszechobecność prywatnego kapitału, zarówno małego, jak i dużego, oraz w konsekwencji istnienie podziału klasowego. A tam, gdzie jest podział klasowy, pojawia się też wyzysk. Objawia się on oczywiście pod postacią zgarniania przez kapitalistów zysków wypracowanych przez pracowników, ale nie jest to jego jedyna twarz. W Chinach powszechne są wszelkie patologie wynikające z urynkowienia gospodarki. Np. kraj obecnie boryka się – jak my – z cenami mieszkań rosnącymi w wyniku skupywania ich pod spekulację. Można też mnożyć przykłady choćby dodawania szkodliwych substancji do żywności w celu cięcia kosztów produkcji czy wprowadzania praktyk monopolowych przez platformy e-commerce.

Wyzysk i cięcie kosztów objawiają się też w wymyślnym systemie meldunku, tzw. *hukou*. Powstał on w czasach Mao, jako środek kontroli tego, gdzie obywatele mogą mieszkać i pracować, co miało stanowić element gospodarki planowej. Dziś jednak jest on wykorzystywany do utrzymywania kategorii półlegalnych migrantów, którzy bez papierów przenieśli się z biednych wsi i miasteczek do dużych miast. Tam zaś służą jako tania siła robocza o ograniczonych prawach pracowniczych i socjalnych. Zupełnie jak imigranci na Zachodzie.

To wszystko już było

Wskazówek odnośnie do tego, jak nazwać system Chin Ludowych, możemy doszukać się w innych państwach, które próbowały podobnych rozwiązań. A tych – jak się okazuje – było w poprzednim stuleciu przynajmniej kilka. Inspiracji KPCh szukać mogła w cesarskiej Japonii pierwszej połowy XX w., Korei Południowej z czasów junty czy rządzonym przez nacjonalistów Tajwanie. Wszystkie te państwa opierały swój rozwój gospodarczy o wielkie państwowe inwestycje i planowy rozwój sił wytwórczych w połączeniu z gospodarką rynkową i uczestnictwem w globalnej wymianie towarowej. Czyli niemal dokładnie jak w Chinach. Niemal – bo w gospodarce ChRL istotną rolę odgrywa jednak wątek ideologiczno-partyjny. Ten natomiast możemy zaobserwować, gdy przeniesiemy się do Europy lat 30. A konkretnie do faszystowskich Włoch i hitlerowskich Niemiec.

Określenie systemu dzisiejszych Chin mianem faszyzmu to nadal koncepcja często pomijana w debacie publicznej. Niemniej jest ona dość popularna wśród różnych lewicowych radykałów, w tym komunistów.

I choć wśród fanów Państwa Środka takie porównanie może wywołać oburzenie, to nie zapominajmy, że Trzecia Rzesza i ówczesne Włochy to nie tylko wojna i Holokaust. Przez cały okres swojego istnienia były to państwa o określonym systemie politycznym, społecznym i gospodarczym. Jeśli spojrzymy na sprawę w ten sposób, to natychmiast zobaczymy liczne paralele.

Przede wszystkim jest to upolitycznienie i upartyjnienie całego organizmu społecznego z gospodarką włącznie. To, co mylnie określa się w Chinach socjalizmem, zaobserwować można też w przedwojennych Niemczech. Mowa tu o partyjnej kontroli przedsiębiorstw i samych kapitalistów. W odróżnieniu od kapitalizmu w faszyzmie instytucją rozdającą karty nie jest burżuazja, tylko państwo z aparatem partii rządzącej na czele. I owszem, państwo i biznes żyją tam w pewnej symbiozie, ale jest to układ raczej kruchy i nie zawsze korzystny dla kapitału. Nie można go jednak nazwać socjalizmem, gdyż faszystowskie państwo i partia nie są w żaden sposób reprezentantami klasy robotniczej. Ta jest akurat wyzyskiwana dużo bardziej niż kapitał – i w przeciwieństwie do kapitalistycznych demokracji liberalnych nie posiada wielu praw, np. do wolnego zrzeszania się w związki zawodowe, niezależne organizacje polityczne oraz partie.

Co dalej?

Nie ma sensu udawać, że Chiny Ludowe to w jakimkolwiek stopniu państwo lewicy czy socjalizmu. Owszem, osiągnięcia Państwa Środka budzą podziw, ale tak samo podziw budził rozwój np. Stanów Zjednoczonych w czasach Marksa. Tam też realizowano wielkie projekty, które dla Europejczyków pozostawały w strefie marzeń. I tak jak USA przywdziały wtedy fasadę wolności, demokracji i liberalizmu, tak ChRL przywdziewa dziś czerwień, socjalizm i wszystkich świętych od Marksa po Mao. Ważne, żeby nie dać się nabrać i świadomie podchodzić do tematu.

PIOTR STARCZEWSKI



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 1d3e1214be

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ ***Większość żyje tak, jakby Boga nie było. Rezygnacja z wiary i rozumu rodzi wtórne pogaństwo. Tak, Polacy są dziś w większości pogańskiego pochodzenia.*** *Największym dziś zwycięstwem diabła jest nie otwarty bunt przeciwko Bogu, lecz obojętność i przeciętność duchowa. (…) Przykazania stabilizują człowieka, zanim nauczy się miłości.*

red. Robert Tekieli, Radio Maryja, 20 października

■ ***Akademia Kultury Społecznej i Medialnej ma wielkie ambicje, chce kształtować i formować ludzi sumienia, których pragnieniem jest niesienie miłosierdzia. Wszystkie kierunki wpisują się w misję służby człowiekowi, w misję niesienia miłosierdzia ludziom zagubionym. Podejmujecie tutaj formację intelektualną i duchową, bo wiecie, że to nie człowiek stwarza mądrość.*** *Tworzycie środowisko ludzi, którzy chcą się uczyć nawiązywania dojrzałych relacji z Bogiem, który jest źródłem wszystkich relacji.*

bp Arkadiusz Okroj, homilia AKSiM Toruń, 18 października

■ *Niektórzy areligijni intelektualiści zarzucali Janowi Pawłowi II, że uważał ateizm za banalny synonim komunizmu i że zrównywał apostazję z degradacją moralną. Nie mogli mu darować, że napisał, iż „zaparcie się Boga pozbawia człowieka jego fundamentu”, lub też, że zaliczył ateizm do „zła dnia dzisiejszego”.* (…) ***W obecnej Polsce, z widmem Putina na wschodnich granicach i klimatem dominacji myślenia lewicowo-liberalnego ogarniającym Europę, stawką w dyskursie politycznym okazał się być Jan Paweł II i miejsce, jakie zajął w narodowym panteonie wśród najdostojniejszych bohaterów.***

ks. Robert Skrzypczak, Opoka.org.pl, 21 października

■ ***„Przeciwnikiem” – Biblia nazywa przede wszystkim szatana. To największy wróg ludzkości, dewastator nadziei, intelekt, który nienawidzi Chrystusa w ludzkich duszach, nienawidzi Jego Wcielenia, Jego zwycięstwa na krzyżu.*** *Chce nas za wszelką cenę przekonać, że istnieje tylko ten świat, innego nie ma.* ***Przekonał wielu artystów, naukowców, dziennikarzy i polityków, że jest ich niezastąpionym współpracownikiem, stróżem ich wielkości.***

dalej Skrzypczak

■ *Hasło: „aborcja jest prawem kobiety”* ***jest tak samo głupie jak stwierdzenie, że gwałt jest prawem mężczyzny, zabójstwo prawem mordercy, a kradzież prawem złodzieja.***

ks. Janusz Chyła, X, 23 października

■ ***Zorganizowanie konwencji programowej Lewicy w dniu 41. rocznicy śmierci ks. Popiełuszki jest albo kompletną głupotą, albo próbą uderzenia w ważny dla Polaków symbol.*** *(…) Nie wiem, jak nazwać organizację konwencji Lewicy właśnie w dniu i miejscu śmierci męczeńsko zamordowanego kapłana. Trolling? Plucie w twarz? Bezmyślność? Złośliwość? Ignorancja? Głupota? (...)* ***Wiem, że dzisiejsi członkowie Lewicy nie odpowiadają za śmierć ks. Jerzego Popiełuszki. Ale nie sposób zapomnieć, że wielu z nich jest spadkobiercami dawnej PZPR – władzy, która prześladowała duchowieństwo i opozycję.***

Agnieszka Huf, Gosc.pl, 19 października

■ *Niech cnoty św. Jadwigi będą naszym drogowskazem. Prośmy Boga, abyśmy mieli odwagę iść za Chrystusem nie tylko prywatnie, ale także w życiu społecznym.* ***Dziś wielu wierzących, pełniących funkcje społeczno-polityczne, ulega poprawności politycznej, chcąc być nowoczesnymi, oddzielają wiarę od życia publicznego. Św. Jadwiga potrafiła te dwa światy połączyć.***

abp Józef Kupny, homilia, bazylika św. Jadwigi Śląskiej w Trzebnicy, 18 października

KLECHA



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Papieskie reparacje

Rachunku sumienia nie trzeba płacić

Gdyby skuteczność Kościoła kat. w walce z pedofilią mierzyć liczbą komisji, raportów, konferencji, przeprosin i nabożeństw, można by stwierdzić że ofiary i sprawcy są już kwita, a wręcz Kościół ma lekką górkę. Nie ma tygodnia, by nie pojawił się następny raport z kolejnego kraju czy zakonu opisujący – zazwyczaj historyczne – wybryki kleru wszelkiej maści. Od statystyk i podsumowań można się złapać za głowę lub, jak kto wierzący, przeżegnać. Czasu brakuje, by wszystko przeczytać i streścić, co akurat Kościołowi jest na rękę. Dzięki tej mrówczej pracy i wpisywaniu w tabelki cyferek, pod którymi kryją się dramaty, sporo ludzi ma robotę, bo robienie raportów to niezła fucha. Raportomanii uległ też Watykan i pierwszy raz za nowego papieża opublikowano spis sutannowych cudzołożników i program naprawczy.

Męczennicy

Drugi raport roczny w ciągu swojego istnienia przygotowała Papieska Komisja ds. Ochrony Małoletnich utworzona przez Franciszka w 2014 r. Jej głównym zadaniem jest „udzielanie Biskupowi Rzymskiemu rad i wskazówek, a także proponowanie najwłaściwszych inicjatyw na rzecz ochrony nieletnich i osób bezradnych”. Pierwszym jej przewodniczącym był amerykański kardynał Seán O’Malley, który na konferencji w Polsce przyrównywał ofiary księży do Jerzego Popiełuszki. Musiało to zapewne oburzyć polskich duchownych i polityków prawicy, którzy porównania do zamordowanego kapelana Solidarności zarezerwowali dla takich postaci jak ks. Michał „Salceson” Olszewski. Przecież zgwałcone dziecko – jak pouczał niegdyś abepe Józef Michalik – „lgnie, szuka. I zagubi się samo i jeszcze tego drugiego człowieka wciąga”. To jakie to męczeństwo? Chyba tego wciągniętego księdza.

Papieską Komisję po tegorocznym konklawe przejął Francuz abepe Thibault Verny, dotychczasowy wiceprzewodniczący. Komisja pod jego wodzą w raporcie chwali żabojadów za wzorcową współpracę na linii instytucje kościelne–prokuratura. „Francja jest liderem w integracji prawa cywilnego i kanonicznego” – piszą autorzy raportu. Co zaś do Polski, to odnotowują „Lex Kamilek” i 11 kościelnych zespołów wdrażających te przepisy. Poza tym za wiele o nas nie ma. Piszą, że w krajach postradzieckich bida, wóda, przemoc domowa i seksualna oraz kultura milczenia. Nie dziwota, że księdza molestują, skoro wszyscy chleją i molestują. Komisja wspomniała, że grupa polskich ofiar księży napisała do episkopatu list z postulatami, o czym informowaliśmy na naszych łamach. Póki co apel nie miał żadnych skutków poza propagandowym spotkaniem biskupów ze skrzywdzonymi. Biskupi kluczą w sprawie komisji mającej zbadać nadużycia kleru, ale o tym raport łaskawie nie wspomina. Wspomniane jest za to utworzone 10 lat temu Centrum Ochrony Dziecka, w którym pracuje dr Ewa Kusz, członek papieskiej komisji – dziwne, żeby nie wspomniała o sobie. Gdyby nadwiślańskie ekscelencje ruszyły dupę i stworzyły porządną komisję, to miałyby swój rozdział, a że certolą się z tym trzeci rok, to wyprzedzili ich koledzy choćby z Korei, Japonii, Etiopii, Gabonu czy Mozambiku.

Nie tylko wojenne

Kluczowe słowo raportu to „reparacje”. Bliskie polskiej duszy, ale nowe w tym kontekście. Polscy sprawozdawcy raportu starają się go unikać, zmiękczając na „zadośćuczynienie”. W angielskiej wersji jak byk stoi *reparation* i reparacyjną wersję podjął „Tygodnik Powszechny”, a za nim np. portal internetowy Polskiego Radia. Polscy biskupi zapewne w całości raportu nie przeczytają, bo nie ma polskiej wersji i liczy 200 stron. Niewątpliwie jednak na dźwięk słowa „reparacja” niejedno serce pod sutanną szybciej zabiło, a na skroni pojawiły się krople potu, kojarząc je z bilionowymi żądaniami pisowców od Niemców.

Kościół wszakże pojmuje reparacje po swojemu. Raport wskazuje sześć obszarów, na których ma pomagać ofiarom księży i wspierać je.

Wsparcie finansowe wylądowało dopiero na czwartym miejscu, nawet nie na pudle. Hajs wyprzedziły: przyjęcie, wysłuchanie i troska; publiczne i prywatne przeprosiny oraz wsparcie duchowe i psychoterapeutyczne.

Po pieniądzach komisja stawia na reformy instytucjonalne i dyscyplinarne oraz inicjatywy prewencyjne we wspólnocie kościelnej.

Płacz i nie płać

Polscy biskupi chętnie podłapali watykańską narrację o priorytetach w pomocy ofiarom kleru. Zapytany przez „Tygodnik Powszechny” bepe Artur Ważny z Sosnowca mówi, że „wiele z tych osób nie chce odszkodowań w formie finansowej”, ale oczekuje „pomocy w terapii”. „Dodaje, że odszkodowania są już wypłacane przez polskie diecezje – po mediacji i bez procesów sądowych, w których, jak przyznaje hierarcha, skrzywdzeni »czują się narażeni na kolejne skrzywdzenie, wykorzystywanie i manipulowanie przez adwokatów«” – czytamy w tygodniku.

Co do pieniędzy, to komisja przedstawiła także sprawozdanie finansowe z własnej działalności, okraszając je narzekaniem i żebractwem. W raporcie czytamy, że w 2024 r. całkowite wydatki komisji wyniosły 547 312 euro, z czego 236 680 euro przeznaczono na personel, a pozostałą część na wydatki operacyjne, takie jak podróże, wydarzenia, działalność badawcza, materiały technologiczne i utrzymanie obiektów. Działalność komisji w większości finansuje Watykan, ale pomagają też lokalne episkopaty, fundacje i osoby prywatne. Autorzy raportu skarżą się, że Stolica Apostolska ma kłopoty finansowe, przez co – choć nie zmniejsza dotacji – ich budżet nie rośnie zgodnie z oczekiwaniami. Można się domyślić, że przedstawiciele komisji po hostelach nie śpią i w barach mlecznych nie jadają. Konfrontacja ze skrzywdzonymi przez księży zwichrowanymi psychicznie ludźmi musi się przecież odbywać w godnych warunkach.

Pożyteczne są oczywiście wskazówki, co robić, gdy nadużycia kleru wyjdą na jaw, choć wypadałoby być mądrym przed szkodą i w seminariach uczyć, jak nie ruchać dzieci. Może to dla kleryków trudniejsze niż dogmat o Trójcy Świętej, ale nie wadzi spróbować. Rachunek sumienia to w katolicyzmie jeden z warunków rozgrzeszenia. Żalu za grzechy czy postanowienia poprawy nie da się zweryfikować, za to rachunek sumienia w postaci raportu jak najbardziej. Najważniejsze, że nie trzeba go płacić. Odfajkowane, można grzeszyć dalej.

Raport zaprezentowano 16 października, w rocznicę wyboru Wojtyły na papieża (przypadek?). Jeśli dodać do tego, że na początku października komisja obradowała po raz pierwszy poza Watykanem, w Polsce – w Krakowie – to brzmi to niemal jak „JP2 wiedział” w języku dyplomacji oraz subtelnie wskazuje na wyjątkowy charakter naszego kraju na mapie klerykalnej pedofilii.

MATT KOBOSKO



Rys. TOMASZ WIATER

Gulbinovičiaus

Litwo, ojczyzno gnoja...

Nie każdy czerwony patron ulicy jest niepożądany. Nieświętej pamięci kardynał Gulbinowicz stał się tematem litewskiej debaty: odbierać mu honorowe obywatelstwo i patronat nad ulicami, czy nie odbierać?

Henryk Gulbinowicz urodził się 17 października 1923 r. w polskim wówczas Wilnie. Zmarł 97 lat później w polskim Wrocławiu, a w międzyczasie – jak na niemal stulatka przystało – miał mnóstwo przygód, z czego wiele wstydliwych. Pod koniec życia – obwieszony od stóp do głów orderami i nagrodami, cieszący się sławą jednej z najwybitniejszych postaci polskiego Kościoła kat., przyjaciela Jana Pawła II i elit politycznych – został strącony z cokołu. Mało brakowało, ale jednak zabrakło trochę do świętości. Choć plotki o jego zamiłowaniu do „chłopców” (wymawianych przez niego – z kresowym akcentem – z przedniojęzykowym „ł”) krążyły od lat, to

pierwszą oficjalną rysą na życiorysie był mimowolny występ w dokumencie Sekielskich „Tylko nie mów nikomu”, gdzie przypadła mu rola protektora księdza pedofila. Film miał wielki zasięg, a po premierze pojawiły się głosy, że nie tylko krył podwładnych, ale i sam krył nieletnich.

Takich zgłoszeń musiało być sporo, bo na fali degradowania polskich biskupów oberwał i sam Gulbinowicz. Na 10 dni przed śmiercią Watykan wlepił mu zakaz uczestniczenia w jakiejkolwiek celebracji lub spotkaniu publicznym i zakaz używania insygniów biskupich; pozbawił prawa do nabożeństwa pogrzebowego w katedrze i pochówku w katedrze i nakazał wpłacenie darowizny na działalność Fundacji św. Józefa zajmującej się ofiarami kleru. Były to oczywiście kuksańce jedynie prestiżowe i opóźnione, ale o cóż jak o nie o prestiż mogło chodzić czcigodnemu seniorowi na łożu śmierci. Pochowany został bez honorów na cmentarzu komunalnym w Olsztynie; nie ogłoszono nawet terminu pogrzebu, żeby nie doszło do gorszących scen.

Jeszcze za życia pozbawiono go honorowych obywatelstw Wrocławia, Lubina i Białegostoku, a także doktoratów honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego i tamtejszej Politechniki, a nawet KUL-u. Jak się okazuje, od 2017 r. pozostaje jednak honorowym obywatelem rejonu wileńskiego i ma tamże trzy ulice swojego imienia. Niektórzy uznali jednak, że nie jest to może najlepszy patron, jakiego sobie można wymarzyć, a i honorowy obywatel obciachowy. Radny Daniel Ilkiewicz przedłożył radzie rejonu projekt uchwały pozbawiającej Gulbinowicza honorowego obywatelstwa. Projekt przepadł: za głosowało 11 radnych, czterech było przeciw, a 12 wstrzymało się od głosu. Szczególnie oponowała radna Maria Rekść z Akcji Wyborczej Polaków na Litwie – Związku Chrześcijańskich Rodzin. Nic dziwnego – w 2017 r. podczas Wielkiego Koncertu Kresowego na wrocławskim rynku sama wręczała purpuratowi ten zaszczytny tytuł. – Jestem chrześcijanką i nie mogę podnieść ręki za propozycją, która zniesławia człowieka, który być może niczego nie naruszył – ani prawa, ani zasad moralnych. Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni – pouczała, gdy zagłosowała przeciwko uchwale.

O sprawie napisał brytyjski katolicki magazyn „The Tablet”. Zapytany o sytuację metropolita wileński Gintaras Grušas stwierdził, że wina Gulbinowicza jest bezsprzeczna, potwierdzają ją sankcje nałożone przez Watykan. Tygodnik przytacza też świadectwo Aliny Obolewicz, która jako dziewięciolatka w 1987 r. spowiadała się przed pierwszą komunią u młodego biskupa Gulbinowicza. Wspinający się na szczyty duchowny z Polski wypytał ją o szczegóły relacji z chłopcami, a na stwierdzenie że jest za mała na takie rzeczy, stracił zainteresowanie i odesłał w cholerę.

Sprawa stała się na Litwie na tyle głośna, że obiecała się jej przyjrzeć premier Inga Ruginienė. Polscy biskupi straszą nawet po śmierci i zapewniają nam międzynarodową sławę.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 1d3e1214be

Młyny boże

Ciekawe, że w sprawach sądowych, gdy jeden sukienkowy występuje przeciwko innemu, nikt nie wspomina o neosędziach.

Listopad 2018 r. przyniósł w diecezji łowickiej wydarzenie bez precedensu. Jeden z jej kapłanów, wikariusz znany w dokumentach procesowych jako ksiądz Krzysztof, pozwał do sądu biskupa ordynariusza Andrzeja F. Dziubę, któremu winien był posłuszeństwo przecież.

Kto ty jesteś?

Domagał się 70 tys. zł zadośćuczynienia, które miało pokryć koszty leczenia po wypadku samochodowym, jakiemu uległ cztery lata wcześniej. Dla wiernych i obserwatorów był to pierwszy taki proces w Polsce – ksiądz przeciwko biskupowi, spór nie o teologię czy seksualność, lecz o prawo do podstawowego zabezpieczenia socjalnego.

W sierpniu 2014 r. wikary pracujący w jednej z parafii w powiecie sochaczewskim jechał samochodem do swojego proboszcza. Doszło do wypadku. Po opuszczeniu szpitala klecha skontaktował się z ZUS, pytając o przysługujące mu świadczenia. Odpowiedź była jasna – należy zgłosić zdarzenie do przełożonych i sporządzić kartę wypadku. Ks. Krzysztof napisał więc list polecony do kurii. Odpowiedź wprawiła go w zdumienie. „Nie zgłosimy wypadku, bo nie pracuje ksiądz w diecezji ani w kurii" – przeczytał.

Doszło do rozmowy z biskupem Andrzejem Dziubą. Wikariusz twierdzi, że hierarcha nie tylko nie chciał zgodzić się na procedury, ale i groził mu, nakazując milczenie. – Usłyszałem, że żadnych dokumentów nie będzie, żadnej policji ani ZUS, a ja mam się leczyć z własnych pieniędzy – relacjonował w pozwie. Ksiądz uległ. Podpisał oświadczenie, że nie poinformuje żadnych instytucji państwowych o wypadku i że zaciągnął kredyt w wysokości 40 tys. zł. na własne leczenie.

Mimo to nie przestał walczyć. Przez dwa lata dostarczał do kurii opinie instytucji państwowych, ministerstw i samego ZUS-u, w których powtarzano, że obowiązkiem diecezji jest sporządzenie karty wypadku. Bez niej żaden duchowny, nawet sam opłacający składki, nie otrzyma świadczeń. Odpowiedź kurii pozostawała ta sama – odmowa.

W marcu 2016 r. ksiądz Krzysztof zdecydował się zawiadomić organy ścigania. Śledczy nie dopatrzyli się jednak złamania prawa przez hierarchów, a zażalenie wikariusza odrzucono. Ten pozwał biskupa Dziubę oraz trzech innych duchownych pełniących funkcje kierownicze w kurii, w tym ekonoma i kanclerza.

Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego w Łowiczu. Na wspólny wniosek stron wyłączono jawność rozprawy. W czasie jednego z niejawnych posiedzeń ksiądz Krzysztof nagle wycofał pozew. Przewodnicząca składu ogłosiła, że sprawa została formalnie zakończona. Nie wiadomo było, czy strony zawarły ugodę i na jakich warunkach. Nie wiadomo, czy biskup wypłacił jakiekolwiek zadośćuczynienie ani czy przeprosił swojego podwładnego. Całość okryła mgła milczenia. – To pierwszy taki proces w Polsce, ale zakończył się tak, jakby nigdy go nie było – komentowali wówczas prawnicy.

Sprawa została wyciszona, ale w pamięci wiernych i obserwatorów pozostaje jako symbol księdza, który odważył się pozwać biskupa i przegrał nie z prawem, lecz z systemem.

I nie naskoczył

Na początku marca 2025 r. zapadł wyrok, który już dziś określany jest jako bezprecedensowy w historii polskiego Kościoła. Po 13 latach od chwili, gdy proboszcz z Szalejowa Górnego rzucił wyzwanie swojemu przełożonemu, Sąd Najwyższy w Warszawie ostatecznie zakończył sprawę, która trafi do kronik historii Kościoła w Polsce.

„Orzeczenie oddalające kasację biskupów Ignacego Deca i Marka Mendyka wydane przez Sąd Najwyższy i jego miażdżące uzasadnienie przyjąłem z zadowoleniem" – komentował ksiądz Krzysztof Trybulec.

Zaczęła się tym, że w parafii w Szalejowie Dolnym remontowano zabytkowy kościół filialny. Na papierze wszystko wyglądało pięknie. Dotacja, protokoły, podpisy, firma budowlana, inspektor nadzoru. W rzeczywistości remont za 250 tys. zł okazał się fuszerką. Dach przeciekał, ściany i podłogi pokrył grzyb, a to, co miało być naprawione, zniszczono jeszcze bardziej.

Ksiądz Trybulec zauważył fałszywe podpisy na dokumentach, które uruchomiły wypłatę dotacji



i zgłosił sprawę organom. Wtedy zaczęły się naciski. Biskup świdnicki Ignacy Dec miał domagać się wycofania zawiadomienia. Im bardziej sprawa się rozwijała, tym naciski rosły.

W końcu ks. Trybulec został usunięty z parafii. Oficjalnie nigdy mu nie powiedziano dlaczego. Nieoficjalnie Dec miał rozpowiadać, że ksiądz jest ojcem dziecka swojej gosposi. Te same oskarżenia trafiły do Watykanu. Parafianie zebrali pieniądze na badania DNA. Wynik był jednoznaczny: Trybulec nie był ojcem dziecka.

W 2016 r. sprawą zajęły się media i pilotowały ją do końca. Trybulec pozwał biskupa i diecezję świdnicką. W lipcu 2021 r., w drugiej instancji, zapadł wyrok – po 10 tys. zł zadośćuczynienia i obowiązek pisemnych przeprosin.

Pieniądze wpłynęły szybko. Przeprosin jednak nie było. Trzeba było komornika, trzeba było kolejnych rozpraw i ponad roku walki, aby wyegzekwować to, co zasądził sąd. Biskup Dec i diecezja nie pogodzili się z porażką. W 2022 r. złożyli kasację. Ta została oddalona.

„Prawie 13 lat temu, kiedy cała historia miała swój początek, postawienie się tak znaczącej osobistości, jaką był biskup Kościoła katolickiego w Polsce, nie było tym, czym jest dzisiaj. Trzeba było mieć niesamowitą odwagę i oczywiście zrobić to w słusznej sprawie. Wydawało się, że podejmuję się niemożliwego, a jednak wyrok Sądu Apelacyjnego we Wrocławiu i obecny, Sądu Najwyższego w Warszawie, dowiodły mojej słusznej postawy i opowiedzenia się po właściwej stronie" – mówił ksiądz Trybulec po ogłoszeniu wyroku.

Ja ci dam lawendę!

Wrzesień przyniósł kolejną odsłonę kościelno-kościelnych sporów. Biskup senior diecezji bydgoskiej Jan Tyrawa pozwał księdza Dariusza Oko. Za to, że w książce „Lawendowa mafia. Z papieżami i biskupami przeciwko homoklikom w Kościele" z 2020 r. Oko miał nazwać go członkiem „lawendowej mafii", czyli środowiska homoseksualnego chroniącego osoby o podobnych skłonnościach w strukturach kościelnych.

Tyrawa poczuł się zniesławiony. Domagał się przeprosin opublikowanych w Katolickiej Agencji Informacyjnej oraz zapłaty 5 tys. zł na rzecz Caritasu w Bydgoszczy. Argumentował, że słowa Oko padły nie tylko na kartach książki, ale także na antenie regionalnej stacji TVT w Rybniku, gdzie krakowski duchowny miał powtarzać zarzuty wobec hierarchy.

Pierwsza rozprawa odbyła się w lipcu. Sędzia oddalił roszczenia biskupa. Powiedział: „Czasy palenia na stosach osób homoseksualnych dawno minęły. Jest to jedna z kilku i im równa orientacja seksualna. W konsekwencji nazwanie kogoś homoseksualistą nie obraża". W jego ocenie Tyrawa nie udowodnił, że ksiądz Dariusz Oko naruszył jego dobra osobiste w stopniu wymagającym ochrony prawnej.

Dla zwolenników Oko wyrok był potwierdzeniem, że ksiądz może mówić otwarcie o zjawiskach, które w jego ocenie psują Kościół od środka. Dla obrońców biskupa – był ciosem w autorytet, bo pozostawił go z lawendową etykietą.

Strony sporu mają za uszami co nieco. Tyrawa wyleciał ze stanowiska po dochodzeniu, które wykazało, że przenosił między parafiami księży oskarżanych o wykorzystywanie nieletnich. Przypominano też jego pobłażliwość wobec księdza Kneblewskiego szydzącego m.in. z osób noszących maseczki w czasie pandemii czy ze zwolenników szczepień.

Ksiądz Dariusz Oko w Niemczech w 2021 r. stanął przed sądem za homofobiczne publikacje. Groziła mu grzywna lub areszt, jednak proces ostatecznie nie zakończył się skazaniem.

Sądowe starcie panów sprowadza się teraz do tego, że Tyrawa apeluje, a Oko czeka, co dalej.

Koloratka przenoszona drogą płciową

Lawendowość kościelna zagrała także w grudniu 2024 r., gdy ks. Roman Siatka pozwał diecezję włocławską i jednego z jej księży Dariusza K., twierdząc, że jako kleryk był przezeń wielokrotnie wykorzystywany seksualnie. W pozwie domagał się pół miliona złotych zadośćuczynienia – sumy, która ma pokryć koszty terapii, rekolekcji i leczenia, a także spłatę długów, jakie zaciągnął u znajomych, gdy nie był w stanie samodzielnie radzić sobie z traumą.

Opowieść Siatki jest standardowa. Pod koniec lat 90. rozpoczął naukę w seminarium w Kazimierzu Biskupim. Wybrał swojego kierownika duchowego – był nim właśnie ksiądz Dariusz K. Gdy zwierzał się mentorowi z problemów rodzinnych w seminaryjnej bibliotece, ten poprosił, by uklęknął. – Powiedział, że chce się nade mną pomodlić – relacjonuje. Zamiast modlitwy, ksiądz przytulił go do podbrzusza tak mocno, że kleryk poczuł na skroni jego erekcję. Potem miał chwycić jego głowę i przycisnąć do swojego krocza. Później w różnych miejscach i czasie znów było dotykanie miejsc intymnych i nachalne gesty. Oskarżony klecha wszystkiemu zaprzecza. Watykańska Kongregacja ds. Duchowieństwa kiedyś jednak napisała: „w oparciu o dostępną dokumentację można osiągnąć moralną pewność, iż ksiądz Dariusz popełnił zarzucane mu wykroczenia o charakterze homoseksualnym, które domagałyby się sprawiedliwej kary", ale „domniemane przestępstwa popełnione 20 lat temu są już przedawnione i nie podlegają jakimkolwiek karom". Zamiast kościelnych sankcji po takim stwierdzeniu ksiądz Dariusz awansował. Ścieżka była prosta – proboszcz, prałat, dziekan, kustosz seminarium. Do tego państwowe odznaczenia – w 2017 i 2019 r. uhonorowany został przez prezydenta Dudę.

Pozew złożony przez ks. Romana trafił w czerwcu 2024 r. do Sądu Okręgowego we Włocławku. W grudniu sąd zwolnił go w całości z kosztów sądowych, co dla wielu było sygnałem, że sprawa jest poważna i zasługuje na rozpatrzenie bez dodatkowych barier finansowych. Na wyrok trzeba będzie jeszcze poczekać latami. Kuria włocławska nie zamierza zawieszać ks. Dariusza, argumentując to faktem przedawnienia czynów.

Purpurowemu nie podskoczysz

W styczniu 2021 r. na łamach kieleckiej prasy pojawił się artykuł pod tytułem „Sąd, prokuratura, papież. Ksiądz postawił się biskupowi". Opisywał sprawę duchownego z jednej z parafii w diecezji kieleckiej, który wystąpił przeciwko przełożonemu i instytucji, w której przez lata pełnił posługę. Złożył pozew cywilny, zawiadomił prokuraturę, a nawet skierował skargę do papieża. Klecha twierdził, że padł ofiarą mobbingu ze strony władz diecezjalnych, że nakładano na niego bezzasadne obciążenia finansowe i że naruszano jego godność. W pozwie zarzucał biskupowi, iż stosował wobec niego nieuzasadnione naciski, a kuria bezprawnie naliczała opłaty od księży, które nie miały podstawy w przepisach prawa. Czuł się nie tylko poniżany, ale i osamotniony w walce z machiną instytucji. W rozmowach z dziennikarzami tłumaczył, że nie miał innego wyjścia jak zwrócić się do świeckiego wymiaru sprawiedliwości i do samego papieża.

Sprawa niosła kilka pytań. Gdzie kończy się władza biskupa, a gdzie zaczynają się prawa księdza jako obywatela?

Czy można mówić o mobbingu i bezprawiu wewnątrz instytucji, która przez wieki opierała się na zasadzie posłuszeństwa i hierarchii? Czy duchowny ma prawo dochodzić swoich praw w sądzie świeckim, czy powinien rozwiązywać konflikty wyłącznie w ramach struktur kościelnych?

Odpowiedzi na te pytania nie ma. W publicznych rejestrach sądowych nie odnotowano finału tej sprawy. Nie wiadomo, czy zapadł wyrok, czy sąd oddalił pozew, czy też strony zawarły ugodę. Zainteresowani nie odpowiadają na pytania

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Jak mówił nasz drogi papież Jan Paweł II, „Zło dobrem zwyciężaj". Kochamy te słowa, ale polityka to nie romantyczny idealizm, to codzienna praktyka, czasami codzienna walka – powiedział premier Donald Tusk na konwencji Platformy Obywatelskiej w Warszawie 25 października. Polityka to też lanie wody o rozdziale Kościoła od państwa dla przyciągnięcia baranów do urn.

✚ Doskonałe wiadomości dla sympatyków papki Jana Pawła II. Rachel Popcak, była łyżwiarka figurowa, terapeutka i dyrektor operacyjna portalu CatholicCounselors.com, stworzyła program rozwoju sportowego łączący trening mentalny z duchową formacją inspirowany teologią ciała św. Jana Pawła II. „Z perspektywy katolickiej terapia sportowa nie dotyczy tylko wyników, ale całego człowieka: umysłu, ciała i duszy. To cenne, ale niepełne. Moje podejście łączy naukę o wydajności z prawdą o naszej tożsamości zakorzenionej w Bogu" – podkreśliła emerytowana sportsmenka. Papież Jan Paweł II miał wiedzę o zakorzenionych w nieletnich księżach, ale prawda nieprędko wyszła na jaw.

✚ Pojawiają się kolejne świadectwa w związku ze śledztwem dotyczącym fikcyjnych darowizn na parafię Matki Bożej z Guadalupe w Budach Barczących (pow. miński). Przypomnijmy: na początku października funkcjonariusze Centralnego Biura Antykorupcyjnego zatrzymali 12 osób, w tym proboszcza parafii księdza Adama P., podejrzanych o udział w procederze, który uszczuplił skarb państwa o 2,6 mln zł. Jak poinformowały służby, w połowie października zatrzymano w tej sprawie kolejnych czterech mężczyzn, w tym jednego z dyrektorów francuskiego koncernu kosmetycznego, a także prezesa zarządu spółki skarbu państwa (służby nie informują, o która spółkę konkretnie chodzi). Wszystkim zatrzymanym przedstawiono łącznie 143 zarzuty. Śledztwo jest rozwojowe. Pięciu podejrzanych, w tym proboszcz parafii, przebywa w areszcie tymczasowym. Wielcy inwestorzy podnoszą prestiż przedsięwzięcia biznesowego. Serdecznie gratulujemy proboszczowi.

✚ W niedzielę 19 października parafie w całej Polsce przeprowadziły coroczne liczenie wiernych oraz osób przystępujących do komunii świętej. Ksiądz Daniel Wachowiak z parafii św. Alberta w Koziegłowach pod Poznaniem opublikował w swoich social mediach, jakie liczby zanotował podczas nabożeństw. We wpisie na platformie X przekazał, że łącznie w niedzielnych mszach świętych wzięło udział 609 osób spośród 3094 parafian, którzy powinni się na nich zjawić. Duchowny dodał, że w dzisiejszych czasach nie ma znaczenia, czy księża się starają podczas mszy, czy nie, bo wierni i tak zrzucą swoje religijne lenistwo na kler. „Bogu dzięki przy tym za prawdziwie wierzących. Wolę pusty kościół niż pełen diabłów" – skwitował klecha. Pełna zgoda, my też wolimy puste kościoły.

✚ W związku ze zbliżającą się uroczystością Wszystkich Świętych ksiądz Janusz Chyła przypomniał na łamach katolickiego tygodnika „Niedziela" o szanowaniu religijnych znaków. Jak co roku upomniał wiernych, żeby znicze stawiane na grobach bliskich były pozbawione symboli religijnych jako elementów dekoracyjnych, aby zużyte świecidła z wizerunkami świętych nie trafiły na śmietnik. „Co jednak zrobić, kiedy mamy w domu zniszczony obraz, figurę lub porwany różaniec? Można je zakopać, a jeśli mamy taką możliwość – spalić. Nie będzie to profanacją, wręcz jej uniknięciem" – wyjaśnił klecha. W imieniu milusińskich świętujących Halloween serdeczne Bóg zapłać za inspirację na kreatywne spędzenie wieczoru.

KLECHA

eprasa.pl 1d3e1214be

Nierozerwalne współżycie społeczne

Za tę bzdurę nie odpowiada ani Przyłębska, ani Żurek, ani nawet neoKRS.

Był wieczór, po kolacji. W radiu Sinatra mruczał „Fly Me to the Moon".

– Spójrz na mnie – powiedział Jonathan, kładąc dłoń na ramieniu żony. – Myślę, że powinniśmy spróbować czegoś innego. Otworzyć się. To nas zbliży...

Otwartość zaoceaniczna

Clara uniosła brwi.

– Otworzyć… jak to?

– Na innych. Na wolność. Nie chcę cię tracić, chcę cię mieć bardziej. Ale też chcę mieć… trochę powietrza…

Zabrzmiało jak fragment poradnika o samorealizacji. Tyle że to nie była rozmowa o kursie jogi ani o wspólnych wakacjach. Jonathan chciał otwartego małżeństwa. Clara – wbrew intuicji – chciała spokoju.

Przez kolejne tygodnie słuchała monologów o nowoczesności. Pojawiły się nazwiska z mediów, książki o etycznej niemonogamii. W końcu się poddała: – Dobrze. Zgadzam się. Ale tylko, jeśli będziemy wobec siebie szczerzy.

Były lata 70. Nie było świadków, notariusza ani klauzul o bezpieczeństwie emocjonalnym.

Minęły miesiące. Jonathan korzystał z nowej swobody. Clara zatrudniła detektywa. Po trzech tygodniach dostała kopertę: zdjęcia, rachunki z hoteli. Pozwała męża, powołując się na zdradę.

– To nie zdrada. To była umowa. Ustna, ale jasna – przekonywał Jonathan w sądzie.

– Czy ta umowa została potwierdzona dokumentem?

– Nie. Ale przecież istnieje wolność umów.

– Nie w sprawach, w których wierność jest filarem małżeństwa – odparła sędzia.

Wyrok zapadł błyskawicznie. Jonathan został uznany za wyłącznie winnego rozpadu pożycia. Clara dostała dom, większość oszczędności i – symbolicznie – samochód, którym mąż woził swoje inspiracje.

Amerykańskie media rozpisywały się o precedensie: „Sąd odrzuca ideę ustnej zgody na zdradę". Zaczęła się nowa moda. Pary zaczęły spisywać formalne oświadczenia, dając sobie wzajemnie prawną zgodę na „intymne relacje z osobami trzecimi". Takie dokumenty zaczęto przechowywać razem z intercyzami. Adwokaci nazywali je „klauzulami wolności".

Monogamia kodeksowa

Pół wieku później. Warszawa, dzielnica Wilanów. Małżeństwo: on – informatyk, ona – tłumaczka, oboje po latach w Chicago. Wraz z nowym mieszkaniem zafundowali sobie nową „klauzulę wolności", tym razem po polsku: „Ja, niżej podpisany/a, niniejszym oświadczam, co następuje"… Dalej była zgoda na „pozostawanie w dobrowolnych, intymnych relacjach z osobami trzecimi", deklaracja, iż „fakt ten nie będzie stanowił podstawy do żądania rozwodu", a także zaświadczenie o braku przymusu, pełni władz umysłowych, oraz „poszanowaniu zasad dobrowolności, autonomii i wzajemnego porozumienia". Na końcu państwo stwierdzili, że kwit „ma charakter wyłącznie cywilnoprawny i nie stanowi obejścia przepisów prawa rodzinnego". Dokument powędrował do segregatora, obok gwarancji na pralkę i aktu własności mieszkania.

Po pół roku Ola zauważyła, że Adam zbyt często wychodzi „na spotkania branżowe". Potem przyszły rachunki z hotelu w Toruniu, SMS-y zaczynające się od „Skowronku" i kończące na „tęsknię". W końcu powiedziała, że chce rozwodu.

– Ale przecież podpisałaś.

– Podpisałam, ale się rozmyśliłam.

Sprawa trafiła do sądu. Pełnomocnik męża wnosił o oddalenie pozwu o rozwód z orzeczeniem winy, powołując się na oświadczenie.

– Strony zawarły porozumienie cywilne o poszerzonym modelu małżeństwa – mówił mecenas.

– Małżeństwo w Polsce nie podlega poszerzeniu. Obowiązek wierności nie może być uchylony wolą stron – odparła sędzia.

Wyrok był jednoznaczny: rozwód z winy męża. Sąd uznał, że zdrada, nawet „uzgodniona", stanowi rażące naruszenie obowiązku wierności i współdziałania małżonków, wynikającego z art. 23 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego. Oświadczenie – choć podpisane – nie miało żadnej mocy prawnej, gdyż jego treść była sprzeczna z zasadami współżycia społecznego (art. 58 § 2 Kodeksu cywilnego). „Nie można ważnie zrzekać się ochrony, jaką zapewnia prawo rodzinne" – napisał sąd w uzasadnieniu. Nie da się przenieść amerykańskich obyczajów na polski grunt. A w Polsce nawet zdrada z podpisem dalej pozostaje zdradą.

Ola wygrała. Dostała mieszkanie i wysokie alimenty. Każdy absolwent prawa wie przecież, że w Polsce nie można kontraktowo znosić obowiązku wierności, tak jak nie można podpisać zgody na bicie. Kodeks rodzinny stoi ponad umową stron.

A sąd sądem…

Wierność to nie opcja, to element konstrukcyjny małżeństwa. Wola małżonków, dorosłych osób, które mogą wybierać posłów i prezydenta, nie ma żadnego znaczenia.

Podstawą prawną wyroku były art. 56 i 57 Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego – te same, które wprost stanowią, że sąd musi ocenić winę rozkładu pożycia, jeśli którakolwiek ze stron tego żąda. A ponieważ zdrada jest klasycznym przykładem zawinionego naruszenia obowiązków małżeńskich, to nawet „zgoda" drugiego małżonka nie znosi tej winy.

Bo Polska – jak to ujęła sędzia w uzasadnieniu – „to nie Ameryka, a zasady współżycia społecznego nie są strefą wolnego handlu".

W tym zdaniu kryje się cała różnica między amerykańską wolnością a polskim kodeksem. Tam można spisać umowę, która działa, bo podpisali ją świadomi znaczenia słów ludzie, tu – nawet najlepiej sformułowana klauzula nie zniesie tego, co prawu nie mieści się w granicach współżycia społecznego. Czegoś, pod co sędzia może podłożyć, co chce.

Dzięki takiemu traktowaniu świadomych obywateli w Polsce, niezależnie od kursu dolara i od mody na otwartość, wciąż obowiązuje zasada, że „co Bóg złączył, człowiek niech nie rozdziela". A jeśli rozdzieli – to już niech się nie dziwi, że sąd podzieli mu też majątek.

TOMASZ BOROWIECKI

Zgodnie z poleceniem sądu, publikujemy wyrok Sądu Rejonowego Katowice–Wschód w sprawie przeciwko naszemu byłemu dziennikarzowi Mateuszowi Cieślakowi.

Redakcja

Sygn. akt III K 747/20

WYROK
W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Dnia 23 sierpnia 2024 r.

Sąd Rejonowy Katowice – Wschód w Katowicach w Wydziale III Karnym w składzie następującym:

Przewodniczący: Sędzia Katarzyna Król
Protokolant: Karolina Cebrat

po rozpoznaniu na rozprawach w dniach: 5 sierpnia 2021 r., 26 października 2021 r., 18 stycznia 2022 r., 23 czerwca 2022 r., 27 września 2022 r., 29 listopada 2022 r., 6 grudnia 2022 r., 5 stycznia 2023 r., 7 lutego 2023 r., 28 lutego 2023 r., 21 marca 2023 r., 26 października 2023 r., 19 grudnia 2023 r., 18 stycznia 2024 r., 15 lutego 2024 r., 2 kwietnia 2024 r., 4 czerwca 2024 r., 14 czerwca 2024 r., 12 sierpnia 2024 r. w Katowicach
sprawy **z oskarżenia prywatnego VITO-MED sp. z o. o. z siedzibą w Gliwicach**
przeciwko **Mateuszowi Cieślakowi (Cieślak) synowi Jerzego i Melanii urodzonemu 31 stycznia 1967 roku w Koszalinie**
oskarżonego o to, że: w okresie od dnia 25 września 2020 roku do dnia 24 października 2020 roku w Warszawie oraz Katowicach, działając w krótkich odstępach czasu, w wykonaniu z góry powziętego zamiaru, za pomocą środków masowego komunikowania się, wielokrotnie pomówił spółkę VITO-MED Sp. z o. o. z siedzibą w Gliwicach (KRS: 0000237912) o takie postępowanie i właściwości, które mogły poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla prowadzonej działalności w postaci Pracowni Wirusologii Medycznego Laboratorium Diagnostycznego VITO-MED wykonującego badania w kierunku wirusa SARS-CoV-2 w ten sposób, że:
a) w dniu 25 września 2020 roku opublikował na łamach tygodnika „NIE" oraz w elektronicznej wersji tego czasopisma artykuł pt. „Wirusowe domki";
b) w dniu 26 września 2020 roku jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Albo ta sytuacja zagraża bezpieczeństwu – zdrowiu i życiu kilkumilionowej społeczności woj. śląskiego. Albo COVID to bajka a koronawirus jest mniej groźny niż katar";
c) w dniu 26 września jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Albo ta sytuacja zagraża bezpieczeństwu – zdrowiu i życiu kilkumilionowej społeczności woj. śląskiego. Albo COVID to bajka a koronawirus jest mniej groźny niż katar";
d) w dniu 26 września jako administrator grupy publicznej „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Albo ta sytuacja zagraża bezpieczeństwu – zdrowiu i życiu kilkumilionowej społeczności woj. śląskiego. Albo COVID to bajka a koronawirus jest mniej groźny niż katar";
e) w dniu 2 października 2020 roku jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Ogłaszamy quiz. Który z prezentowanych obiektów to osiedlowy warzywniak? Który natomiast jest laboratorium genetycznym COVID-19, wpisanym na listę laboratoriów akredytowanych przez Ministerstwo Zdrowia? I co różni je prócz wyglądu?";
f) w dniu 2 października 2020 roku jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Ogłaszamy quiz. Który z prezentowanych obiektów to osiedlowy warzywniak? Który natomiast jest laboratorium genetycznym COVID-19, wpisanym na listę laboratoriów akredytowanych przez Ministerstwo Zdrowia? I co różni je prócz wyglądu?";
g) w dniu 2 października 2020 roku jako administrator grupy „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Ogłaszamy quiz. Który z prezentowanych obiektów to osiedlowy warzywniak? Który natomiast jest laboratorium genetycznym COVID-19, wpisanym na listę laboratoriów akredytowanych przez Ministerstwo Zdrowia? I co różni je prócz wyglądu?";
h) w dniu 9 października 2020 roku opublikował na łamach tygodnika „NIE" oraz w elektronicznej wersji tego czasopisma artykuł pt. „COVID ze szklanym okiem";
i) w dniu 16 października 2020 roku opublikował na łamach tygodnika „NIE" oraz w elektronicznej wersji tego czasopisma artykuł pt. „ZWIDY i COVIDY";
j) w dniu 16 października 2020 roku jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post zawierające nieprawdziwe informacje o działalności prowadzonej VITO-MED Sp. z o.o.;
k) w dniu 18 października 2020 roku jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Niezwykłe ustalenia związane z testami na obecność koronawirusa SARS-Co V-2. To się dzieje naprawdę – o czym powiadomione zostały odpowiednie służby i instytucje";
l) w dniu 18 października 2020 roku jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dot. artykułu pt. „Niezwykłe ustalenia związane z testami na obecność koronawirusa SARS-CoV-2. To się dzieje naprawdę – o czym powiadomione zostały odpowiednie służby i instytucje" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl;
m) w dniu 18 października 2020 roku jako administrator grupy „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dot. artykułu pt. „Niezwykłe ustalenia związane z testami na obecność koronawirusa SARS-Co V-2. To się dzieje naprawdę – o czym powiadomione zostały odpowiednie służby i instytucje" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl;
n) w dniu 24 października jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Cuda, cuda ogłaszają w badaniu wymazów od podejrzanych o zakażenie koronawirusem. Czynią coś, co jest niemożliwe"
o) w dniu 24 października 2020 roku jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dot. artykułu pt. „Cuda, cuda ogłaszają w badaniu wymazów od podejrzanych o zakażenie koronawirusem. Czynią coś, co jest niemożliwe" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl;
p) w dniu 24 października 2020 roku jako administrator grupy „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dot. artykułu pt. „Cuda, cuda ogłaszają w badaniu wymazów od podejrzanych o zakażenie koronawirusem. Czynią coś, co jest niemożliwe" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl,

w których to publikacjach zawarł nieprawdziwe informacje oraz sugestie mogące wywołać wśród odbiorców mylne wyobrażenie o niezgodnym z obowiązującymi przepisami i standardami działaniu Pracowni Wirusologii Medycznego Laboratorium Diagnostycznego VITO-MED w zakresie przeprowadzanych badań w kierunku wirusa SARS-CoV-2 a tym samym pomówił VITO-MED Sp. z o.o. o brak profesjonalizmu, niską jakość Pracowni Wirusologii, niską jakość Mobilnej Pracowni Wirusologii z punktem pobrań, brak bieżącej wody w budynku Pracowni Wirusologii, brak uzyskania walidacji Państwowego Zakładu Higieny, nieprzestrzeganie podstawowych wymogów sanitarnych przez pracowników VITOMED Sp. z o.o., niezapewnianie pracownikom VITO-MED Sp. z o.o. należytych środków bezpieczeństwa i ochrony osobistej, stwarzanie niebezpieczeństwa dla mieszkańców Gliwic i personelu laboratorium przez VITO-MED Sp. z o.o., przyczynianie się do rozpowszechniania wirusa SARS-CoV-2 w Gliwicach, nienależyte postępowanie z odpadami medycznymi, nierzetelne wykonywanie badań laboratoryjnych, naruszanie ustawy prawo o ruchu drogowym, stwarzanie niebezpieczeństwa w ruchu drogowym oraz stwarzanie zagrożenia epidemicznego,
to jest o czyn z art. 212 § 1 i 2 k.k. w zw. z art. 12 k.k.

orzeka

1. uznaje oskarżonego Mateusza Cieślaka za winnego tego, że w okresie od dnia 25 września 2020 roku do dnia 24 października 2020 roku w Warszawie oraz Katowicach, działając w krótkich odstępach czasu, w wykonaniu z góry powziętego zamiaru, za pomocą środków masowego komunikowania się, wielokrotnie pomówił VITO – MED Sp. z o. o. z siedzibą w Gliwicach o takie postępowanie i właściwości, które mogły poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla prowadzonej działalności w postaci Pracowni Wirusologii Medycznego Laboratorium Diagnostycznego VITO-MED wykonującego badania w kierunku wirusa SARS-CoV-2 w ten sposób, że:
– w dniu 25 września 2020 roku opublikował na łamach tygodnika „NIE" oraz w elektronicznej wersji tego czasopisma artykuł pt. „Wirusowe domki",
– w dniu 26 września 2020 roku jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Albo ta sytuacja zagraża bezpieczeństwu – zdrowiu i życiu kilkumilionowej społeczności woj. śląskiego. Albo COVID to bajka a koronawirus jest mniej groźny niż katar", jak również jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Albo ta sytuacja zagraża bezpieczeństwu – zdrowiu i życiu kilkumilionowej społeczności woj. śląskiego. Albo COVID to bajka a koronawirus jest mniej groźny niż katar", a nadto jako administrator grupy publicznej „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Albo ta sytuacja zagraża bezpieczeństwu – zdrowiu i życiu kilkumilionowej społeczności woj. śląskiego. Albo COVID to bajka a koronawirus jest mniej groźny niż katar",
– w dniu 2 października 2020 roku jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Ogłaszamy quiz. Który z prezentowanych obiektów to osiedlowy warzywniak? Który natomiast jest laboratorium genetycznym COVID-19, wpisanym na listę laboratoriów akredytowanych przez Ministerstwo Zdrowia? I co różni je prócz wyglądu?", jak również jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Ogłaszamy quiz. Który z prezentowanych obiektów to osiedlowy warzywniak? Który natomiast jest laboratorium genetycznym COVID-19, wpisanym na listę laboratoriów akredytowanych przez Ministerstwo Zdrowia? I co różni je prócz wyglądu?", a nadto jako administrator grupy „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post pt. „Ogłaszamy quiz. Który z prezentowanych obiektów to osiedlowy warzywniak? Który natomiast jest laboratorium genetycznym COVID-19, wpisanym na listę laboratoriów akredytowanych przez Ministerstwo Zdrowia? I co różni je prócz wyglądu?",
– w dniu 9 października 2020 roku opublikował na łamach tygodnika „NIE" oraz w elektronicznej wersji tego czasopisma artykuł pt. „COVID ze szklanym okiem",
– w dniu 15 października 2020 roku jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dotyczący działalności prowadzonej przez VITOMED Sp. z o. o. z siedzibą w Gliwicach,
– w dniu 16 października 2020 roku opublikował na łamach tygodnika „NIE" oraz w elektronicznej wersji tego czasopisma artykuł pt. „ZWIDY i COVIDY",
– w dniu 18 października 2020 roku jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Niezwykłe ustalenia związane z testami na obecność koronawirusa SARS-Co V-2. To się dzieje naprawdę – o czym powiadomione zostały odpowiednie służby i instytucje", jak również jako administrator profilu Katowice Dziś opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dotyczący artykułu pt. „Niezwykłe ustalenia związane z testami na obecność koronawirusa SARS-Co V-2. To się dzieje naprawdę – o czym powiadomione zostały odpowiednie służby i instytucje" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl, a nadto jako administrator grupy „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dotyczący artykułu pt. „Niezwykłe ustalenia związane z testami na obecność koronawirusa SARS-Co V-2. To się dzieje naprawdę – o czym powiadomione zostały odpowiednie służby i instytucje" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl,
– w dniu 24 października 2020 roku jako redaktor naczelny portalu www.katowicedzis.pl opublikował na nim artykuł pt. „Cuda, cuda ogłaszają w badaniu wymazów od podejrzanych o zakażenie koronawirusem. Czynią coś, co jest niemożliwe" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl, a nadto jako administrator grupy „Grupa Katowice Dziś" opublikował w serwisie społecznościowym Facebook post dotyczący artykułu pt. „Cuda, cuda ogłaszają w badaniu wymazów od podejrzanych o zakażenie koronawirusem. Czynią coś, co jest niemożliwe" opublikowanego na portalu internetowym www.katowicedzis.pl,

w których to publikacjach i postach zawarł nieprawdziwe informacje oraz sugestie mogące wywołać wśród odbiorców mylne wyobrażenie o niezgodnym z obowiązującymi przepisami i standardami działaniu Pracowni Wirusologii Medycznego Laboratorium Diagnostycznego VITO-MED w Gliwicach przy ul. Radiowej w zakresie przeprowadzanych badań w kierunku wirusa SARS-Co V-2, a tym samym pomówił VITO-MED Sp. z o.o. z siedzibą w Gliwicach o takie warunki lokalowe i warunki pracy Pracowni Wirusologii, które uniemożliwiały prawidłowe wykonanie badań laboratoryjnych na obecność wirusa SARS-Co V-2, nierzetelność wykonywania tych badań, brak bieżącej wody i toalety w budynku Laboratorium, nienależyte postępowanie z odpadami medycznymi, niską jakość Mobilnej Pracowni Wirusologii z punktem pobrań, stwarzanie zagrożenia epidemicznego i niebezpieczeństwa dla mieszkańców Gliwic poprzez przyczynianie się do rozpowszechniania wirusa SARS-Co V-2 w Gliwicach, nieprzestrzeganie przez pracowników Pracowni Wirusologii VITO-MED Sp. z o.o. podstawowych wymogów sanitarnych i ich nieprofesjonalizm, naruszanie przez kierowców VITO-MED sp. z o.o. przepisów ustawy z dnia 20 czerwca 1997 roku – Prawo o ruchu drogowym i stwarzanie przez nich zagrożenia bezpieczeństwa w ruchu drogowym, czym wyczerpał znamiona występku z art. 212 § 1 i § 2 k.k. w zw. z art. 12 § 1 k.k. i za to na podstawie art. 212 § 2 k.k. w zw. z art. 57b k.k. w zw. z art. 33 § 1 i § la pkt 1 i § 3 k.k. wymierza mu karę grzywny w wysokości 500 (pięciuset) stawek dziennych, ustalając wysokość jednej stawki dziennej na kwotę 30,00 (trzydziestu) złotych;
2. na podstawie art. 212 § 3 k.k. orzeka wobec oskarżonego nawiązkę w kwocie 10.000,00 (dziesięciu tysięcy) złotych na rzecz Polskiego Czerwonego Krzyża;
3. na podstawie art. 215 k.k. orzeka wobec oskarżonego podanie niniejszego wyroku do publicznej wiadomości poprzez jego jednorazową publikację w Tygodniku „NIE" (ISSN: 0867-2237), a nadto poprzez jego publikację na portalu www.katowicedzis.pl przez okres 1 (jednego) miesiąca;
4. na podstawie art. 628 pkt 1 k.p.k. zasądza od oskarżonego na rzecz oskarżyciela prywatnego VITO-MED sp. z o. o. z siedzibą w Gliwicach kwotę 300,00 (trzystu) złotych tytułem zwrotu zryczałtowanych wydatków postępowania w niniejszej sprawie.

eprasa.pl 1d3e1214be

Po lewej stronie sportu

Dla jednych atut, dla innych kłopot

Proszę wybaczyć, że w rubryce sportowej wciąż wracam do pianistycznego konkursu chopinowskiego, ale nawet sam uroczysty finał tej wielkiej muzycznej imprezy miał niespodziewaną piłkarską konotację. Główną nagrodę zwycięzcy Amerykaninowi Ericowi Lu wręczał wbity w smoking kibol Lechii Gdańsk, który brał udział w co najmniej jednej ustawce stadionowych bandytów i wcale się tego nie wypiera, przeciwnie – wygląda na dumnego z tego epizodu swojego życiorysu. Finałowa gala w Teatrze Wielkim trwała długo i wyobrażam sobie, jakie męki przeżywać musiał pan prezydent Karol Nawrocki, który nie jest przyzwyczajony do słuchania takiej muzyki, bo w siłowniach i salach bokserskich trenującym towarzyszy prędzej kielecki scyzoryk Liroy niż II Koncert Fortepianowy f-mol, op. 21, skomponowany przez geniusza z Żelazowej Woli.

Teraz przybliżmy się już do sportu, nie tracąc jednak z pola widzenia wirtuozów fortepianu. Każdy człowiek rodzi się ze sprawniejszą jedną z rąk. Dotyczy to także nóg, co wynika z silniejszego rozwoju jednej z półkul mózgowych. W wielu dyscyplinach sportowych od razu poznamy zawodników o przewadze prawej lub lewej półkuli.

Noga wiodąca

Piłkarz powinien być „dwunożny”, ale zawsze jedna noga jest – jak się mówi – wiodąca, którą lepiej się posługuje. Podczas treningu duży nacisk kładzie się na słabszą kończynę, żeby – jak mawia się w futbolowym żargonie – nie służyła tylko wsiadaniu do tramwaju. Jako chłopak oglądałem czasem zajęcia rówieśników trenujących piłkę nożną. Pamiętam jak trener kazał podopiecznym wyjść na pole w getrach w różnych kolorach, przy czym czerwony oznaczał słabszą nogę. Rozpoczęła się gra, podczas której chłopakom wolno było kopać piłkę wyłącznie nogą odzianą na czerwono.

Mistrzowie osiągają taki poziom, że właściwie wszystko im jedno, którą nogą się posługują. W każdej sytuacji powinni dać sobie radę, ale zazwyczaj zawodnika lewonożnego ustawia się na lewej stronie boiska, a prawonożnego – na prawej, czyli akurat odwrotnie niż w piłce ręcznej, o czym za chwilę. Jak wiadomo, reprezentacja Polski od dawna ma kłopot z powołaniem lewego obrońcy i lewego skrzydłowego. Kontuzja Nikoli Zalewskiego wprowadziła w szeregi kadry Jana Urbana spory popłoch.

Właściwie jedynym grającym obecnie polskim zawodnikiem, o którym można powiedzieć, że równie dobrze gra prawą, jak i lewą noga, jest Piotr Zieliński. Problem z nim polega jednak na tym, że pełnię umiejętności pokazuje tylko podczas treningów. Podczas meczów coś blokuje środkowego pomocnika, a przyczyn tego fachowcy szukają raczej w psychice niż w braku piłkarskich umiejętności.

Bywają trenerzy, którzy nie za bardzo przejmują się zasadą tradycyjnego ustawiania piłkarzy. Wystarczy przypomnieć sobie Bayern Monachium, w którym na prawym skrzydle grał lewonożny Holender Arien Robben, a na lewym – prawonożny Francuz Franck Ribéry. Holender zbiegał do środka i strzelał lewą nogą, Francuz robił to samo na lewym skrzydle, strzelał prawą nogą; niby wszyscy o tym wiedzieli, ale tracili gole na potęgę.

Z pocałowaniem ręki

W piłce ręcznej sprawa jest jasna. Przynajmniej dwie zawodniczki lub dwaj zawodnicy muszą być leworęczni. Nie chcę pisać, że na prawym skrzydle i prawym rozegraniu nie może występować ktoś, kto sprawniej posługuje się prawą ręką, ale jest to bardzo trudne, a na wysokim poziomie po prostu niemożliwe. Problem w tym, że osób praworęcznych rodzi się więcej, leworęczni stanowią tylko 8–15 proc. populacji. Gdy byłem juniorem warszawskiej Spójni, zawsze brakowało nam zawodników leworęcznych – brali ich do drużyny z pocałowaniem ręki, a wśród praworęcznych panowała duża konkurencja. Ponieważ jestem zdecydowanie praworęczny, nie zawsze łapałem się do pierwszego składu, sugerowano mi nawet, żebym stanął na bramce. W młodzieżowych drużynach, zwykle słabszych, odsyła się na tę pozycję, czy w piłce ręcznej, czy nożnej. Nic dziwnego, że w wieku seniora przestałem uprawiać sport, a zacząłem o nim pisać, choć oczywiście nie była to jedyna przyczyna.

Za moich młodych lat osoby leworęczne – zwane wówczas mańkutami, co dziś uznawane jest za określenie niezgodne z poprawnością polityczną – nauczyciele traktowali trochę jak niepełnosprawnych i na siłę przyuczali do praworęczności. Takim przyuczonym do praworęczności mańkutem był nasz najwybitniejszy tenisista stołowy Andrzej Grubba i tym niektórzy tłumaczyli jego wybitny – najlepszy na świecie – bekhend. Przyjaźniłem się z Andrzejem, zanim przedwcześnie zabrała go w 2005 r. choroba nowotworowa. Dla zabawy zagraliśmy parę razy – ja prawą ręka, on – lewą. I tak nie dawał mi choć raz trafić w odbitą przez siebie i podkręconą piłeczkę. Czasem podczas meczów pokazowych przerzucał rakietkę z prawej ręki do lewej i spuszczał baty wybitnym pingpongistom.

Rakietka w tenisie stołowym nie ma określonego regulaminem kształtu. Firma Butterfly, której rakietką grał Andrzej, wypuściła na rynek sprzęt sygnowany jego nazwiskiem (to wielkie wyróżnienie!). Andrzej podarował mi profesjonalną rakietkę, którą grywałem później w amatorskich turniejach, nie była to jednak rakietka „Grubba”, lecz „Secrétin” – prezent od jego ulubionego partnera w grach pokazowych Francuza Jacques’a Secrétina.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Z innej strony

W tenisie ziemnym nie brakuje zawodniczek i zawodników leworęcznych, ale nie potrzebują oni specjalnej rakiety. Ich gra potrafi sprawić jednak problem rywalom przyzwyczajonym, że piłka nadlatuje z innej strony. To nie jedyny kłopot. Mańkuci – proszę wybaczyć, że posługuję się wciąż tym terminem, ale według mnie nie jest on obraźliwy – nadają piłce inną rotację i rywale muszą się do tego przyzwyczaić. Teraz uświadomiłem sobie, że nie wiem, czy tenisistki i tenisiści specjalnie trenują grę z leworęcznymi. Będę musiał o to zapytać.

Najsławniejszym leworęcznym tenisistą jest bez wątpienia Hiszpan Rafael Nadal, który zakończył wspaniałą karierę w ubiegłym roku. Tym, co czyniło go potężnym na korcie, był leworęczny forhend, który siał spustoszenie wśród rywali.

Sławnymi tenisistami-mańkutami byli John McEnroe (znany nie tylko ze wspaniałej gry, ale także z utarczek słownych z sędziami) oraz inny Amerykanin Jimmy Connors.

Martina Navrátilová, czeska, a później amerykańska gwiazda kortów, członkini Galerii Sław, radziła sobie równie dobrze na wszystkich nawierzchniach. Nie naoglądałem się jej za dużo, bo – jak to się wówczas mówiło – wybrała wolność w USA i została wpisana na listę prohibitów w całym obozie socjalistycznym. Nie wolno było jej pokazywać w telewizji ani o niej pisać. A kiedy się przyznała, że jest lesbijką, to już w ogóle wprawiła w obrzydzenie kierownictwo władz komunistycznych reprezentujące – w swoim mniemaniu – postępową część ludzkości.

Spośród leworęcznych tenisistek, których grę mamy świeżo w pamięci, najbardziej znana jest Czeszka Petra Kvitová, dwukrotna zwyciężczyni Wimbledonu (2011, 2014 r.). W 2016 r. została zaatakowana we własnym apartamencie w Prościejowie przez włamywacza. Złoczyńca zranił ją nożem w lewą dłoń i ukradł niewielką w sumie kwotę czeskich koron. Zawodniczka poddana została profesjonalnej rehabilitacji, ale już nigdy nie odzyskała pełnej władzy w ręce. Włamywacza schwytano i skazano na osiem lat więzienia. 35-letnia Kvitová gra nadal, ale już głównie amatorsko. Ostatni zarejestrowany jej ranking WTA to 506. lokata w 2023 r.

Nietypowa postawa

W boksie leworęcznego od razu widać w ringu. Walczy z odwrotnej pozycji, z prawą ręką wysuniętą do przodu. Dla rywala to kłopot. Musi schodzić przed ciosami w inną stronę niż zazwyczaj. Pięściarze radzą sobie jednak z tym bez trudu. Wymaga to jednak specjalnego treningu. I tu uwaga: walczący z odwrotnej pozycji bokser wcale nie musi być leworęczny, po prostu więcej siły ma w lewym ramieniu. Mówimy wówczas o tzw. fałszywym mańkucie, który w dodatku potrafi zmieniać pozycję w trakcie pojedynku.

W niektórych sportach, na przykład w strzelectwie, wykonuje się specjalny sprzęt dla leworęcznych. Gdy byłem w wojsku, w magazynie broni nie dawano Kałachów dla mańkutów. Po prostu nie istniały. No i czy armie Układu Warszawskiego mogły w tej sytuacji wygrać z NATO? Inna sprawa, że nie wiem, czy Amerykanie zaopatrywani byli w karabinki M-16 dla leworęcznych.

Na pewno zwrócili uwagę Czytelnicy śledzący uważnie wydarzenia sportowe, że powszechna jest leworęczność wśród szermierzy. I nic dziwnego,

cecha ta pozwala im przyjmować nietypową dla praworęcznych postawę, która utrudnia przeciwnikowi analizę ruchów i stwarza szansę na niespodziewane kontry. Badania naukowe potwierdzają, że nie jest to wydumany wniosek, a duża liczba mańkutów w szermierce nie jest przypadkowa.

Taką wyliczankę mógłbym kontynuować długo, bo niemal w każdym sporcie ważne jest, która połowa ciała radzi sobie sprawniej w rywalizacji. Siatkarka czy siatkarz leworęczny zawsze przydaje się w zespole, by narobić bałaganu w szeregach rywali itd.

Czy wytrzymam długo, aby nie pisać o uczestnikach konkursu chopinowskiego? Będzie mi trudno. W końcu wielkie wydarzenia jak igrzyska olimpijskie czy też właśnie konkurs chopinowski komentuje się długo po ich zakończeniu.

Na obie ręce

W grze na fortepianie równie ważna jak prawa ręka jest lewa. Tymczasem akurat tego instrumentu nie produkuje się w wersji dla osób leworęcznych; to prosta analogia z karabinkami, w jakie zaopatrywano nas w wojsku. Gitara? Proszę bardzo, wystarczy przestawić struny i grać mogą Paul McCartney, Bob Dylan, a świetnie radził sobie z tym instrumentem nieżyjący już wirtuoz Jimi Hendrix. Wniosek z tego jest prosty: pianista praworęczny musi bardzo dużo czasu poświęcić na trenowanie lewej ręki, a mańkut – przeciwnie. W efekcie obie ręce powinny być równie doskonałe i niejeden wybitny pianista urodził się jako osoba leworęczna, tyle że o tym nie wiemy.

Zauważyć można to tylko podczas podpisywania autografów. Pianiści nie ćwiczą robienia tego prawą ręką. Co ciekawe, wśród znanych mi mańkutów przeuczonych w moich młodych latach na praworęczność występuje inne zjawisko. Piszą i podpisują się prawą ręką, ale wszystkie inne czynności wykonują lewą.

Na pewno leworęczny był sławny XX-wieczny amerykański pianista Leon Fleisher. Urodził się on jednak jako osoba praworęczna, a do gry lewą ręką zmusiła go neurologiczna choroba prawej dłoni. Oczywiście Fleisher miał w repertuarze koncert D-dur Ravela z orkiestrą. Maurice Ravel skomponował go dla swojego przyjaciela pianisty Paula Wittgensteina, który stracił prawą rękę podczas I wojny światowej. Znawcy muzyki podkreślają, że choć koncert Ravela wykonuje pianista tylko lewą dłonią, ma on bardzo skomplikowane brzmienie.

Jeśli chodzi o dziennikarstwo, to lewo- czy praworęczność nie ma znaczenia. Pisaliśmy kiedyś na maszynach, teraz na komputerach i laptopach. Obowiązkowe jest natomiast angażowanie w ten proces obu półkul mózgowych. Czytelnicy, podobnie jak kibice czy melomani, potrafią wychwycić każdy fałsz. Wiem coś o tym, bo po popełnieniu błędu moja poczta internetowa zapełnia się listami pełnymi wyrzutów.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mitelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 28.10.2025 r.

eprasa.pl 1d3e1214be

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Halloween 2025. Spotkanie Przemysława Czarnka z Rafałem Trzaskowskim było tak tajne, że aż niemożliwe. Raczej możliwe, ale niewyobrażalne. A w zasadzie wyobrażalne, lecz zdumiewające.

– Rządzą nami dziadersi – powiedział Czarnek, nie podając Trzaskowskiemu ręki.

Prezydent Warszawy milczał. Wzrok miał taki, jak gdyby przesadził z tabletkami uspokajającymi.

– Musisz się z tym zgodzić, że naszymi partiami rządzą dziadersi – ciągnął pobudzony wiceprezes Prawa i Sprawiedliwości. – Razem mają ze 150 lat.

Trzaskowski pokręcił głową.

– Sto czter-dzieści i czte-ry – rzekł, przeciągając sylaby.

– Czas na młodych – upierał się Czarnek. – A w każdym razie na młodszych. My jesteśmy młodsi.

– Młod-szy to jest mój syn Staś. Ma szes-naś-cie lat.

– Młodzi jak na polityków… Ile razem mamy? 100 lat?

– Sto je-den – odrzekł Trzaskowski, otrząsając się ze stuporu.

– Widzisz! – ucieszył się Czarnek – Mamy przed sobą przyszłość. Musimy tylko pozbyć się dziadersów.

Wzrokiem uciekł w bok, gdzie na stole leżały dwa noże.

• • •

Halloween 2026. W krypcie będzie ciemno, zimno i ponuro. Dotychczasową ciszę zakłóci dźwięk odsuwanej płyty nagrobnej. A potem przesunie się druga płyta. Nie minie minuta, jak z trumien wyjdą dwie postacie. To będą umarli nieumarli.

– I jak? – zapyta blady jak płótno Donald Tusk. Z trumny wyjmie butelkę czerwonego wina i dwa kieliszki.

– Nudno – odpowie Jarosław Kaczyński. – Nudno i sztywno.

Tusk roześmieje się z żartu, pokazując psujące się zęby.

– Wracamy? – spyta.

Kaczyński napije się wina, a potem zegnie kolana, w których coś strzyknie.

– Wracamy do żywych? – powtórzy pytanie nieumarły premier.

Nieumarły prezes PiS-u obnaży zadziwiająco lśniące zęby. Zwłaszcza kły będą imponująco białe.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA z entuzjazmem podróżuje po Polsce. **JOANNA SENYSZYN** z ulgą wróciła do domu.

Wołk-Łaniewska: – Ty nawet nie wiesz, jak pełne zdarzeń jest moje życie. Byłam w Krakowie w teatrze, wpadłam do Warszawy, żeby zrobić podwójny numer, i zaraz jadę do Gdyni na fantastyczną imprezę w elitarnym gronie…

Senyszyn: – To o której będziesz? Bilet już masz?

– Mam, nawet w obie strony. Żebyś nie zdążyła się mną znudzić. O imprezie opowiemy za tydzień, a na razie chciałam o teatrze…

– Dawaj.

– Otóż, byłyśmy prawie pewne, że mamy bilety na „Wesele" Klaty w Teatrze Starym. A okazało się, że owszem, mamy na „Wesele", ale Kleczewskiej i w Słowackim.

– Po pijaku te bilety kupowałyście?

– Nawet nie, ale jak zobaczyłyśmy, że są do kupienia, tośmy się tak ucieszyły, że nie wchodziłyśmy w szczegóły. Zresztą kupowałyśmy je jakoś w czerwcu, więc czas zatarł detale. Ale to nie była miła niespodzianka…

– Dlaczego?

– Bo to po prostu bardzo zły spektakl jest. Ja jestem fanatyczką „Wesela", uważam, że to najwybitniejsze dzieło w historii światowego dramatu, Szekspir niech się schowa, i znam je w większości na pamięć…

– Ja „Wesele" znam na pamięć w mniejszości, ale przyznaję, że jest genialne i w znacznej mierze prorocze: „Cóż tam, panie, w polityce? Chińcyki trzymają się mocno!?"; „Niech na całym świecie wojna, byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna"… Ale opowiadaj dalej o krakowskim spektaklu.

– Tyle mojego, że dzięki temu swojemu fanatyzmowi wiedziałam, co mówią. Ale koleżanki, które są normalne, nieukąszone Wyspiańskim, mówiły, że zrozumieć się w ogóle nie dało. Dialogi są wywrzeszczane przez aktorów przy głośnej muzyce, kompletnie zagubiona została cała finezja wiersza Wyspiańskiego, za to nie zabrakło doniosłych akcentów politycznych.

– Na przykład?

– Zacznę od samokrytyki: otóż, mimo że „Wesele" znam naprawdę dobrze, kompletnie zapomniałam, że Wernyhora przybywa „z Ukrainy". Musiałam sprawdzić, rzeczywiście Wyspiański dwa razy wspomina Ukrainę w tym kontekście: najpierw mówi to Kuba, a później powtarza Czepiec. Co wiąże się z faktem, że Wernyhora – Waligóra po polsku – był kozackim wędrownym wieszczem. Jeśli w ogóle był, bo co do tego są pewne wątpliwości…

– No i dlaczego to sprawdzałaś?

– A bo ja dzisiaj polskim twórcom teatralnym za grosz nie wierzę. Odkąd trzy siostry marzą o tym, żeby pojechać „do Kijowa, do Kijowa", a nie, jak chciał Czechow, do Moskwy. Więc jak usłyszałam u Kleczewskiej, że „gość z Ukrainy, straśnie polskie robił miny", to podejrzewałam, że to jakaś reżyserska interwencja. Ale nie. Więc może oryginalny tekst by wystarczył twórcom do zasygnalizowania proukraińskiej cnoty? Ale gdzie tam! Wernyhora jest młodą Ukrainką, ubraną w dres bojowy jak Zełenski w Białym Domu, i żeby nie było żadnych wątpliwości, na wstępie śpiewa dumkę po ukraińsku. Czy im się naprawdę wszystko musi kojarzyć z wojną na Ukrainie? Jak żołnierzowi z dupą? Zmieniając temat: czy możemy pomówić o kosmosie?

– Figuratywnym czy dosłownym?

– Dosłownym. Bo premier Tusk ostatnio wystawił się do ludu z młodzieńcem nazwiskiem Rafał Modrzewski, którego przedstawił jako „genialnego przedsiębiorcę, który podbija kosmos dzisiaj i maluje ten kosmos na biało-czerwono swoimi satelitami"…



– Niech zgadnę: znowu chcesz wygłosić jakąś ojkofobiczną uwagę na temat biało-czerwonego kosmosu?

– A właśnie że nie. Ten akurat Tuskowy geniusz otworzył mi inną klapkę: żarliwej nienawiści do kapitalizmu. Otóż młodzieniec ów wygłosił następujący monolog – czekaj, zanotowałam sobie: „Kosmos to dzisiaj biznes, to jest coś, na czym dzisiaj możemy robić pieniądze i powinniśmy robić pieniądze"… Serio? Kiedyś eksploracja kosmosu służyła wiedzy, zrozumieniu istoty i pochodzenia świata, nieprawdopodobnemu rozszerzaniu horyzontów poznania – a teraz chodzi o to, ile można zarobić na obesraniu orbity karłowatymi satelitami?!

– Ale skoro kosmos jest i tak zanieczyszczony, to niech będzie także biało-czerwonymi karłami, pardon, satelitami. A jeśli one nie generują kosztów, tylko przynoszą zyski, to bardzo dobrze. Właśnie wracam z Łodzi z trzydniowych „Igrzysk wolności". Ostatnim punktem programu było bardzo ciekawe spotkanie ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim, który między innymi poinformował, że każdy 1 zł zainwestowany w kosmos przynosi od 4 do nawet 8 zł. To imponująca stopa zwrotu. Polska stawia dopiero pierwsze kroki. Wyobraź sobie, że Japonia ma udział w stacji kosmicznej ISS 12 proc., Unia Europejska 8 proc., a Polska zaledwie 3 proc. w tych 8.

– Ale dlaczego we wszystkim musi chodzić o stopę zwrotu? To już chyba wolę wątek patriotyczny… W czasach zimnej wojny polityka kosmiczna – jak może być historyczna, to czemu nie kosmiczna – służyła oczywiście do jakiejś tam propagandy, inspirowania jakichś tam patriotycznych uniesień po obu stronach żelaznej kurtyny…

– Zważywszy, że masz w domu plakat z Gagarinem, mogę zgadnąć, z którą stroną się utożsamiasz…

– Ależ oczywiście, że z naszą, Układu Warszawskiego. Zwłaszcza że na plakacie jest napisane „Boga niet". Ale nawet ten nieco egzaltowany monolog Kennedy'ego: „Chcemy polecieć na Księżyc w tej dekadzie i zrobić inne rzeczy, nie dlatego, że są łatwe, ale dlatego, że są trudne" – nawet on miał w sobie jakąś wartość inspiracyjną. A teraz albo kasa z karłowatych satelitów, albo dupa miliardera na orbicie okołoziemskiej… Dokąd zmierza ten świat?

– Jak zwykle przesadzasz. Na stacji kosmicznej prowadzone są badania naukowe, które poszerzają ludzką wiedzę w różnych dziedzinach, więc powinnaś się cieszyć zamiast narzekać.

– Jestem całym sercem za eksperymentami naukowymi, choć nie jestem pewna, czy „analiza mimiki w wideodziennikach" musi kosztować 20 baniek. A „kontrolowanie aktywności mózgowej poprzez skupienie lub relaksację" drugie 20…

– No i widzisz? Sama mówisz o kasie w kosmosie, a u tuskowego geniusza cię to oburzało.

– Bo on chce zarabiać, a ja nie wydawać…

– Czyli oszczędzać? To u ciebie coś nowego. Zmieniając temat: opowiem o moim panelu na „Igrzyskach wolności". Dotyczył rządowych założeń do projektu ustawy o związkach partnerskich…

– Teraz to się nazywa „o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu"…

– Owszem, przez dziki upór PSL. Tytuł ma ponoć przeciwdziałać skojarzeniom z małżeństwem. Najwyraźniej, według Kosiniaka-Kamysza, mąż i żona nie są osobami najbliższym i dopiero w związku nieheteronormatywnym możliwa jest bliskość. To co najmniej dziwne podejście do małżeństwa…

– Moim zdaniem, całkiem zasadne… Jak w tym dowcipie o facecie, który ogląda parki w parku na wiosnę i mówi sobie smutno: „Każdy kogoś ma, tylko ja jestem żonaty"…

– Wiem, wiem, że nie jesteś zwolenniczką formalizowania relacji przez ślub, co o tyle uzasadnione, że od kiedy rozwody się spopularyzowały, śluby stały się powtarzalne. Tym bardziej państwo powinno się cieszyć, że są ludzie, którzy marzą o zawarciu ślubu i marzą o równości małżeńskiej – i dać im taką możliwość, a nie bajdurzyć o umowie notarialnej na wspólne pożycie. Wyobraź sobie, że jeśli ten knot wejdzie w życie, obok związków sakramentalnych będą związki notarialne, też miłosne, choć prezydent Nawrocki uważa, że notarialne mogą dotyczyć np. kombatanta i wolontariusza. Tak czy siak, w ogóle nie wiadomo, jaki będzie ostateczny kształt projektu, więc na razie można rządową robotę podsumować cytatem z „Wesela": „a jak będę zakochana, przyszlę panu list i klucz"…

– „A włócz się, poezjo, włócz"…

senyszyn@wp.pl, wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 1d3e1214be